

# JOHN O'FARRELL



najlepsze dla  
mężczyzny

# O'Farrell John

## Najlepsze dla mężczyzny

*Michael Adams wynajmuje mieszkanie wraz z trzem innymi mężczyznami pod trzydziestkę. Całe dni spędza w łóżku, bawi się w gry komputerowe, czasami trochę popracuje. A kiedy przyjdzie mu ochota, wraca jak gdyby nigdy nic do żony i dzieci. To jego podwójne życie jest wynikiem od wykańczającej monotonii opieki nad dziećmi. Żonie mówi, że musi pracować całą noc albo wyjechać z miasta. Sądzi, że może mieć jedno i drugie, aż do momentu, gdy jego oszustwo wychodzi na jaw...*

## Rozdział 1

### NAJLEPSZE DLA MĘŻCZYZNY

Stwierdziłem, że kiedy ktoś jest sam sobie szefem, trudno jest mu pracować wiele godzin dziennie. Szef stale dawał mi wolne popołudnie. Czasem dawał mi też wolne przedpołudnie. Czasem mówił: „Słuchaj, naharowałeś się dzisiaj, może jutro zrobisz sobie zasłużony odpoczynek”. Jeśli zasnę, nigdy nie dzwonił, aby zapytać, gdzie jestem; jeśli spóźniony siadałem za biurkiem, zawsze zjawiał się dokładnie w tej samej chwili; jakie wymyśliłbym usprawiedliwienie, zawsze mi wierzył. Być swoim własnym szefem to supersprawa. Być swoim własnym pracownikiem to już mniej super, ale od tej strony nigdy tego nie rozpatrywałem.

W ten konkretny dzień zbudziły mnie jazgoczące dzieci. Z doświadczenia wiedziałem, że oznacza to jedną z dwóch możliwości: jest tuż przed dziewiątą rano, kiedy to dzieci nadciągają do szkoły w głębi ulicy, albo jakiś kwadrans po jedenastej — duża przerwa. Przetoczyłem się na drugi bok i cyferki na radiobudziku poinformowały mnie, że jest 1:24. Pora lunchu. Przespałem czternaście bitych godzin, rekord życiowy.

Nazwałem to urządzenie radiobudzikiem, lecz w rzeczywistości służyło wyłącznie jako duży, zajmujący miejsce zegar. Z funkcji radiobudzika przestałem korzystać dawno temu, kiedy raz po raz budziłem się z poranną erekcją i słyszałem, że w Sudanie szerzy się głód albo że księżniczce Annie właśnie usunięto zęby mądrości. Niesamowite, jak szybko potrafi zniknąć erekcja. W każdym razie budziki są dla ludzi, którzy mają do roboty ważniejsze rzeczy niż spanie, a ja nie bardzo umiałem coś takiego wymyślić. W niektóre dni budziłem się, uznawałem, że nie warto się ubierać, i zostawałem w łóżku aż do pory kładzenia się spać.

Nie było to jednak apatyczne leżenie w łóżku w stylu: „Jaki jest sens wstawać?” To było pozytywne leżenie w łóżku w stylu: „Czyż życie nie jest piękne?” Twardo postanowiłem, że czas rekreacji będę wykorzystywał na prawdziwą rekreację. Gdyby to ode mnie zależało, to Ośrodek Rekreacyjny w Balham składałby się wyłącznie z rzędów łóżek zaślanych niedzielnymi gazetami.

Poddałem moją sypialnię takim przekształceniom, aby ograniczyć do minimum potrzebę wstawania z łóżka. Zamiast nocnego stolika przy łóżku stała lodówka, w której trzymałem mleko, chleb i masło. Na lodówce stał czajnik, walczący o miejsce z tacą z kubkami, pudełkiem herbaty w torebkach, różnymi rodzajami płatków śniadaniowych, tosterem i przeciążoną złodziejką. Włączyłem czajnik i włożyłem chleb do tosteru. Sięgnąłem po gazetę z tego dnia i trochę się zdziwiłem, kiedy zsunęły się z niej klucze i spadły z brzękiem na podłogę. Potem przypomniałem sobie, że jednak nie spałem czternaście godzin non stop. Bardzo wczesnym rankiem odbyłem dziwną i denerwującą rozmowę. O ile sobie przypominam, przebiegała z grubsza następująco:

— Przepraszam...

— He? — odparłem spod kołdry.

— Przepraszam, to ja, roznosiciel gazet — powiedział urywany, speszony głos nastolatka.

— Co chcesz?

— Mama mówi, że nie wolno mi więcej dostarczać gazet do pańskiego łóżka.

— Czemu? — jęknąłem, nie wysuwając głowy na wierzch.

— Mówi, że to podejrzane. Chciała dzwonić do pogotowia dziecięcego, musiałem ją powstrzymać.

— Która godzina?

— Siódma. Powiedziałem jej, że dodatkowo płaci mi pan dwa funty tygodniowo za to, że przynoszę na górę i tak dalej, ale ona mówi, że to podejrzane i że wolno mi tylko wrzucać przez listownik, jak w innych domach. Tu zostawiam klucze od drzwi frontowych.

Jeśli później coś jeszcze zostało powiedziane, to nie zapamię-

tałem tego. Przypuszczalnie w tym momencie na powrót zasnąłem. Brzęk kluczy przywołał tę rozmowę jak półzapamiętany sen. Kiedy przebiegałem wzrokiem po doniesieniach o wojnach, brutalnych przestępstwach i katastrofach ekologicznych, ogarniało mnie narastające przygnębienie. „Dzisiaj po raz ostatni doręczono mi gazetę w nogi łóżka” — pomyślałem sobie.

Wyskoczyła lekko zrumieniona grzanka, a bulgoczący czajnik wyłączył się. Masło i mleko trzymałem na górnej półce lodówki, żebym mógł ich dosięgnąć z łóżka. Kiedy wstawiłem sobie lodówkę do pokoju, z rozpaczą osunąłem się na kolana, nie wierząc własnym oczom. Drzwi lodówki otwierały się w złą stronę — z łóżka nie mogłem dosięgnąć klamki. Próbowałem postawić lodówkę do góry nogami, ale wyglądało to trochę idiotycznie. Z kolei ustawienie jej z drugiej strony łóżka wymagało przestawienia syntezatora, stołu mikserskiego i innego sprzętu, który tłoczył się w mojej sypialni połączonej ze studiem nagraniowym. Po kilku godzinach przestawiania mebli nareszcie znalazłem dla łóżka takie miejsce, że mogłem wygodnie wyjmować rzeczy z lodówki, robić śniadanie, sięgać po telefon i oglądać telewizję, bez konieczności podejmowania tak uciążliwych czynności jak wstawanie. Gdyby Boots rozprawdzało samoobsługowy cewnik, byłbym pierwszym klientem.

Jeżeli istnieje coś bardziej leniuchowatego niż śniadanie w łóżku, jest to śniadanie w łóżku w porze lunchu. Wprowadza to klimat dekadencji, który powoduje, że cienko posmarowany masłem tost smakuje jak strawa bogów. Popijałem herbatę i jednym z kilku pilotów włączyłem telewizor, akurat na czas, żeby zobaczyć początek jednego z moich ulubionych filmów, *Garsoniery* Billy'ego Wildera. „Pooglądałem tylko kilka minut” — pomyślałem sobie, spulchniając poduszki. „Tylko ten fragment, kiedy Wilder pracuje w tym wielkim biurze ubezpieczeniowym z setkami innych ludzi i wykonuje ciągle tę samą, monotonną pracę”. Czterdzieści minut później komórka wyrwała mnie z hipnotycznego transu.

Wyłączyłem dźwięk w telewizorze i zdjąłem komórkę z ładowarki.

— Dzień dobry, Michael, tu Hugo Harrison z DD&G. Dzwonię

na wypadek, gdybyś zapomniał, że powiedziałeś, że przypuszczalnie będziesz w stanie dzisiaj przynieść nam swój kawałek.

— Zapomniałem? Chyba żartujesz. Pracuję nad nim od tygodnia. Jestem teraz w studiu.

— Myślisz, że będziesz w stanie nam go dzisiaj dostarczyć?

— Hugo, czy-ja kiedykolwiek zawałem termin? Właśnie robię remiks, więc najprawdopodobniej będziesz to miał koło czwartej albo piątej.

— Świetnie. — W głosie Hugo słuchać było rozczarowanie. — Nie dałoby się trochę wcześniej? Bo w sumie to objamamy się i czekamy, kiedy będziemy mogli podłożyć tekst.

— Postaram się. Szczerze mówiąc, zamierzałem wyjść coś przegryźć, ale popracuję, jeśli pilnie tego potrzebujecie.

— Dzięki, Michael. Genialnie. To na razie. Wyłączyłem komórkę, położyłem się z powrotem do łóżka i oglądałem *Garsonierę* do końca.

Nie powiedziałem Hugonowi z DD&G jednej rzeczy. Utwór skończyłem komponować cztery dni wcześniej, ale kiedy ktoś płaci ci tysiąc funtów za kawałek, to nie możesz im go dać dwa dni po podpisaniu umowy. Muszą mieć poczucie, że dostają coś, co jest warte wyłożonych pieniędzy. Mogli chcieć mój kawałek jak najwcześniej, ale ja wiedziałem, że dużo bardziej go docenią, jeśli będą myśleli, że praca zajęła mi cały tydzień.

Hasło reklamowe, pod które agencja chciała podłożyć moją kompozycję, brzmiało: „Rodzinny sedan, który uważa się za samochód sportowy”. Dałem więc powolny popowy wstęp, który przechodził w zgrzytliwy dźwięk gitary elektrycznej. Rodzinny sedan, samochód sportowy. Pop na cześć banalnego życia tych wszystkich ponadtrzydziestoletnich właścicieli rodzinnych sedanów i gitara elektryczna na cześć ostrego, ekscytującego życia, które — jak zaczynają zdawać sobie sprawę — na zawsze ich ominęło. Hugo zachwycił się tym pomysłem, kiedy mu go przedstawiłem, do tego stopnia, że niedługo zaczął o nim mówić jak o swoim.

Generalnie każde zamówienie robiłem od razu, a potem dzwo-

niłem do klienta w regularnych odstępach czasu i rzucałem teksty w stylu:

— Słuchaj, mam coś, z czego jestem bardzo zadowolony, ale to trwa tylko trzynaście sekund. Naprawdę musi być dokładnie piętnaście sekund?

A on na to:

— Jeśli jesteś bardzo zadowolony, to może powinniśmy posłuchać. Ale nie dałoby się jakoś przedłużyć do piętnastu? No wiesz, trochę spowolnić albo coś?

— Trochę spowolnić! O czym ty gadasz?

— Nie wiem. Nie jestem kompozytorem.

Potem udawałem, że szukam rozwiązania, i klient odkładał słuchawkę spokojny, że pracuję nad zleceniem, i zadowolony, że pomógł mi przybliżyć się do celu. Tymczasem piętnastosekundowy dzingiel cały czas był na kasecie cyfrowej w moim studiu. Za każdym razem, kiedy wysyłałem agencjom reklamowym swoją pracę od razu po skończeniu, z początku zawsze byli zachwyceni, ale po kilku dniach zwracali się do mnie, żebym coś zmienił. Nauczyłem się, że znacznie lepiej dać im kompozycję w ostatniej chwili, bo wtedy nie mają innego wyjścia, jak tylko uznać, że jest świetna.

Przekonałem sam siebie, że w rzeczywistości pracuję mniej więcej tyle samo, co wielu ludzi w moim wieku, a mianowicie dwie albo trzy godziny dziennie. Postanowiłem jednak, że nie będę marnował reszty życia na udawanie, że pracuję, przeskakiwanie na monitorze z gier komputerowych na arkusz kalkulacyjny czy nagłe zmiany tonu rozmów telefonicznych po wejściu dyrektora do biura. Z tego, co słyszałem od swoich rówieśników, wiele posad polegało na tym, że przychodziło się rano, plotkowało przez parę godzin, wykonywało jakąś naprawdę pożyteczną robotę między jedenastą a lunchem, wracało po południu, wysyłało głupiego maila Gary'emu z rachunkowości i spędzało resztę popołudnia w pozornym stanie pełnej koncentracji przy ładującym się do komputera obrazku gołego transseksualisty z <http://www.cyce-i-fiuty.com>.

Film był przerywany reklamami i odruchowo przysłuchiwałem się muzyce. Dżingiel do reklamy Gillette twierdził, że nowa ruchoma głowica z dwoma ostrzami i lubrastrip to „najlepsze dla mężczyzny”. Pomyślałem, że to dosyć śmiała teza o jednorazowej maszynce do golenia. Nowe ferrari albo noc w łóżku z Pamelą Anderson przypuszczalnie znalazłyby się na czele listy preferencji większości mężczyzn, ale nie w opinii tego piosenkarza, nie, jego w każdy dzień tygodnia postawcie przed lustrem z maszynką do golenia. Potem znowu puścili *Garsonierą* i pomyślałem: „Nie, to jest najlepsze dla mężczyzny: leżysz sobie ciepło i przytulnie, oglądasz genialny film, pijąc herbatę i jedząc tosty, i nie masz na głowie żadnych zmartwień”.

Kiedy ludzie pytali mnie, co robię, z reguły mruczałem pod nosem, że pracuję „w reklamie”. Dawniej mówiłem, że jestem kompozytorem albo muzykiem, ale to wzbudzało fascynację, która z kolei zamieniała się w rozczarowanie, kiedy wychodziło na jaw, że napisałem muzykę do reklamy oleju silnikowego dla Capital Radio. Byłem gościem robiącym z wolnej stopy dżingle —choć inni ludzie z branży byli za bardzo pretensjonalni, żeby nazywać je dżinglami — funkcjonującym w najniższych sferach rynku dżingli pisanych z wolnej stopy. Jeśli człowiek, który skomponował „Gillette! Najlepsze dla mężczyzny!” był reklamowym odpowiednikiem Paula McCartneya, to ja byłem perkusistą w zespole, który zajął piąte miejsce w ubiegłorocznym konkursie Euro wizji.

Reklama wszystkim się kojarzy z dużą kasą, ale do mnie zaczęło docierać, że nigdy nie dorobię się fortuny, pisząc dwudziestosekundowe dżingle radiowe, nawet jeśli zacznę pracować osiem godzin dziennie.

Był w moim życiu okres, kiedy naprawdę wierzyłem, że zostanę gwiazdą rocka i milionerem. Po skończeniu studiów muzycznych wróciłem do mojego rodzinnego miasta i stworzyłem grupę, która grała w pubach i na uniwersyteckich balach w lecie. Może jestem nieskromny, ale mogę uczciwie powiedzieć, że w pewnym okresie pod koniec lat osiemdziesiątych



byliśmy najlepszą kapelą w Godalming. Później wszystko się rozleciało, po tym, jak perkusista odszedł z grupy z powodu „różnic muzycznych”. Różnice polegały na tym, że my byliśmy muzykalni, a on nie. Chociaż w życiu nie spotkałem tak beznadziejnego pałkera, stanowił trzon zespołu, bo miał furgonetkę. Okazało się, że skuterem człowiek nie przewiezie zbyt wielu wzmacniaczy. Kiedy minął ten zenit kariery, dalej nagrywałem piosenki i próbowałem tworzyć zespoły, ale wszystko, co mi zostało po tych latach, to pudło z taśmami demo i jedna bezcenna kopia mojej pocztówki dźwiękowej.

Wstałem z łóżka, jeszcze raz puściłem sobie ten kawałek i słuchałem go, ubierając się. Dalej byłem z niego dumny i nigdy do końca nie wybaczyłem producentowi Johna Peela, który powiedział, że nie puszczają pocztówek dźwiękowych. Podróż do miejsca pracy polegała na przejściu z jednego końca sypialni do drugiego. Z reguły lubiłem przed rozpoczęciem pracy przerobić pokój z sypialni na studio, co oznaczało przekształcenie łóżka w sofę oraz usunięcie z syntezy wszelkich skarpetek i majtek. Oprócz Rolanda XP-60 w studiu nagraniowym stał komputer, osiemnastościeżkowy stół mikserski, sampler, urządzenie pogłosowe, złącze MIDI, kilka rezerwowych modułów dźwiękowych, wzmacniaczy i magnetofonów, a za tym wszystkim wiło się siedem i pół mili splątanych kabli. Jeśli ktoś zupełnie nie zna się na muzyce, całe to oprzyrządowanie może na nim zrobić spore wrażenie, ale rzeczywistość była znacznie bardziej chaotyczna. Im więcej miałem kupionego sprzętu, tym dłużej musiałem szukać za każdym razem, kiedy jakieś tajemnicze buczenie uniemożliwiało jakąkolwiek pracę. Ogólnie mówiąc, używałem głównie syntezatora z wbudowanym modułem dźwiękowym i samplera o szerokim zastosowaniu, który udatnie naśladował odgłosy wydawane przez większość instrumentów muzycznych. Chociaż wyglądało na to, że mam do dyspozycji mnóstwo najnowszych osiągnięć techniki, sprzęt albo był przestarzały o kilka lat, albo miał się zestarzeć do chwili, kiedy ja nauczę się nim posługiwać. Ponieważ nigdy nie zdołałem się zabrać do czytania instrukcji

obsługi, byłem jak właściciel ferrari, który jeździ tylko na pierwszym biegu.

Zawlokłem się do łazienki i spojrzałem w lustro. W ciągu nocy siwe pasemka z boku głowy przecisnęły się na przód i całe połacie włosów nad uszami nabrały srebrzystego połysku. Drutowata odmiana maści siwej była grubsza i mocniejsza niż mimozowate czarne włoski, które stopniowo wypierała. Siwki wciąż stanowiły mniejszość, ale wiedziałem, że podobnie jak wiewiórki o tym samym, przygnębiającym ubarwieniu, po zdobyciu paru przyczółków zepchną rdzenne włosy na krawędź zagłady, może zostawiając parę kolonii rozrodczych na obu brwiach plus ewentualnie kilka czarnych włosków sterczących nieśmiało z nosa. Duży pryszcz z żółtą kopułą z boku nosa dojrzał i został natychmiast wyciśnięty ze sprawnością zrodzoną z prawie dwudziestu lat praktyki. Jako nastolatek sądziłem, że nastanie kiedyś szczęśliwy okres w moim życiu, po ustąpieniu pryszczy i zanim włosy zaczną mi siwieć. Teraz zdałem sobie sprawę, że byłem bezgranicznie naiwny. Tuż po trzydziestce już dawno miałem za sobą szczyt możliwości fizycznych. Wydaje nam się, że to dopiero początek lata, a już sobie uświadomiamy, że noce stają się coraz krótsze.

Koło czwartej nareszcie przespacerowałem się do salonu, gdzie Jim spędził parę ostatnich godzin na zbieraniu materiałów do doktoratu. Tego dnia polegało to na grze w Tomb Raidera z Simonem. Obu udało się wymamrotać do mnie: „Cześć”, ale ponieważ żaden nie zdołał oderwać oczu od ekranu, mógłbym równie dobrze być stworzeniem z czarnej laguny, które przyszło włączyć czajnik. Jim i Simon wyglądali jak rysunki „Przedtem” i „Potem” w reklamach kulturystycznych Charlesa Atlasa. Jim był wysoki i umięśniony i miał zdrową cerę chłopaka, który od piątego roku życia każdej zimy jeździł na nartach, z kolei Simon był chudy, blady i niepozbierany. Gdyby zrobili Tomb Raidera jeszcze bardziej realistycznie, Lara Croft obróciłaby się i powiedziała z ekranu telewizora: „Przestań się tak gapić na moje cycki, ty kurdupłu obleśniaku”, po czym zdmuchnęłaby go z sofy. Czekala go obiecująca kariera: miał podawać w plastikowych

szklankach piwo studentom uniwersytetu, na którym sam się uczył kilka lat wcześniej. Dostał tę pracę w tym samym dniu, w którym skończył studia, i miał nadzieję zarobić dosyć pieniędzy, aby któregoś dnia spłacić długi zaciągnięte po drugiej stronie barn.

W tym momencie strzeliły drzwi frontowe i wrócił do domu Paul. Rzucił na stół kuchenny stos podartych zeszytów z cierpiętniczym westchnieniem, które było zbyt nachalnie jawnie obliczone na sprowokowanie zatroskanych pytań o to, jak minął mu dzień, toteż żadne pytania nie padły.

— O rany — powiedział Paul, ale żaden z nas nie dał się skusić.

Paul włożył karton mleka z powrotem do lodówki i wyjął ze zlewu dwie stare torebki herbaty, narzekając pod nosem. Jego westchnienia obwieszczały nie tylko irytację (nikt z pozostałych nie sprząta po sobie), ale również złość (że zadanie to spada na jego barki po całym dniu ciężkiej pracy pedagogicznej). Kryła się w tym sugestia, że wieczorna praca Simona, doktorat Jima czy moje komponowanie przy syntezatorze wymagają więcej wysiłku. Fakt, że była to prawda, nie miał absolutnie nic do rzeczy.

Mieszkaliśmy we czwórkę od czterech lat. Żaden z pozostałych nie znał mnie, kiedy się wprowadziłem, i z pewnych względów wolałem, żeby tak zostało. Z mieszkania rozciągały się widoki na wspaniałości Balham High Road i było ono dogodnie zlokalizowane nad sklepem, gdzie mogliśmy skoczyć i kupić mięso ubitych zgodnie z zasadami islamu zwierząt o każdej porze dnia lub nocy. Nie była to jednak zapuszczona nora, czego można by się spodziewać po czterech lokatorach płci męskiej. Mieliśmy ściśle przestrzegany harmonogram sprzątanego, który polegał na tym, że po kolei zostawialiśmy całe sprzątanego Paulowi.

Paul włożył reszkę masła do maselniczki, po czym starannie złożył sreberko, zanim wyrzucił je do kosza. Ponieważ przemawianie do ogółu zebranych w pokoju nie spotkało się z żadnym odzewem, postanowił zwrócić się wprost do kogoś konkretnego.

— Jak minął dzień, Michael?

— Tragicznie.

— Och, nie, co się stało? — spytał szczerze zatroskanym tonem.

— Ten cholerny roznosiciel gazet obudził mnie o siódmej, żeby mi powiedzieć, że nie będzie już doręczał gazety w nogi mojego łóżka. Powiedział, że jego matka uważa to za podejrzanę. Dokładnie pamiętam, że jak uzgadnialiśmy sprawę, to mu powiedziałem, że byłoby chyba mądrzej nie wspominać o tym rodzicom.

— To ja powiedziałem jego matce — wyznał Paul po chwili milczenia, ze zdeterminowaną miną człowieka, który przygotowywał się do tej konfrontacji.

— Ty! Po kiego diabła żeś to zrobił?

— No, po pierwsze, nie jestem szczególnie zachwycony, że dajesz klucze do naszego mieszkania trzynastoletniemu chuliganowi.

— Nie jest chuliganem.

— Owszem, jest, a wiesz, skąd to wiem? Bo go uczę. Troy jest w mojej klasie. Przedwczoraj, o siódmej rano, wyszedłem z łazienki goły, z jajami na wierzchu, i zobaczyłem Troya, który stał na półpiętrze i gapił się na mnie.

Jim roześmiał się tak gwałtownie, że musiał wypluć herbatę z powrotem do kubka.

— I co powiedziałaś?

— No, powiedziałem: „Dzień dobry, Troy”.

— A on co na to?

— On na to: „Dzień dobry, panie Hitchcock”. Prawdę rzekłszy, wyglądał na trochę skołowanego. Trzeba przyznać, że miał sporego pecha. Unikał mnie od kilku dni, bo zalegał z wypracowaniem na temat *Władcy much*. Chyba przez chwilę sądził, że włamałem się do tego domu o siódmej rano na golasa tylko po to, żeby go spytać o wypracowanie.

Dalej byłem zirytowany.

— Więc wpadłeś na niego na półpiętrze. I co z tego? To nie znaczy, że musisz kablować jego matce.

— Jestem jego nauczycielem. To nie wygląda dobrze, prawda?

UCZEŃ ZACHODZI PRZED LEKCJAMI DO MIESZ-

KANIA NAGIEGO NAUCZYCIELA. Poza tym nie sprawia mi przyjemności tłumaczenie mojej klasie, że moje nazwisko poprawnie wymawia się Hitchcock, a nie Titchycock. — Herbata Jima została tyle razy wypluta, że nie nadawała się do picia. — Więc na ostatniej wywiadówce powiedziałem jego matce, że jej syn ma klucz do mojego mieszkania i że poprzedniego ranka widział mnie nagiego.

— To chyba nie był najlepszy sposób przedstawienia sprawy.

— Z obecnej perspektywy dostrzegam, że mogłem to inaczej sformułować. Matka się wściekła i zaczęła mnie okładać butem. Wicedyrektor musiał ją odciągać.

Paul z urazą zareagował na fakt, że wbrew swoim intencjom jest przedmiotem ogólnego rozbawienia.

— Nie traktuj tego osobiście, Paul — powiedziałem. — Nie śmiejemy się z ciebie.

— Ja śmieję się z niego — stwierdził Jim.

— No, ja też — zawtórował mu Simon.

Paul zabrał się do oceniania zadań domowych i jego uczniowie dostali znacznie niższe noty, niż gdybyśmy byli dla niego miłsi. Najwyraźniej należał do tych nauczycieli, którzy nie umieją zapanować nad klasą. Było w nim coś, co wyróżniało go jako ranną antylopę gnu kulejącą na skraju stada. Zawsze próbował to bagatelizować, nawet kiedy jeden z uczniów sprzedał jego samochód.

Nie wiem, dlaczego posuwali się do tak wyrafinowanych metod, żeby go zdenerwować, skoro byle drobnostka doprowadzała go do furii. Powiedział nam kiedyś, że od tej pory będzie usuwał tylko swoje włosy zatykające odpływ wanny, bo nikt inny tego nie robił, i zobaczyliśmy później, jak kuca w pustej wannie i próbuje oddzielić rude włosy od pozostałych. Nie to, żeby Paul był pedantem, po prostu denerwowało go, kiedy wszyscy wyciskali pastę do zębów ze złej strony tubki. Właściwie wszystko, co się z nami wiązało, irytowało go.

Siedzieliśmy przy stole kuchennym jeszcze jakiś czas, po czym Jim oznajmił, że idzie zaparzyć herbatę. Paul zawsze odrzucał tego rodzaju propozycje Jima, bo w sposobie parzenia

herbaty przez Jima streszczało się wszystko, czego Paul nie potrafił w nim znieść.

Technika zaparzeniowa Jima stanowiła triumf nieudolności marzyciela. Najpierw wyjmował z szafki kubki i ustawiał je na tacy. Następnie stawał w pobliżu zlewu i z nieco zagubioną miną próbował sobie przypomnieć, co zamierzał zrobić. Potem przychodziło olśnienie: wyjąć mleko z lodówki. Kiedy mleko zostało już wlane do wszystkich kubków, wyjmował torebki z herbatą i wrzucał do czajniczka. Wreszcie, kiedy już to wszystko zrobił, kiedy wszystko było gotowe i zdał sobie sprawę, że wyjął o jeden kubek za dużo, i kiedy włożył go z powrotem do szafki, postawił na tacy cukierniczkę i uznał, że nie zostało mu już nic więcej do zrobienia, wtedy włączał czajnik.

Dla Paula kolejność ta określała Jima jako człowieka, z którym właściwie nie da się żyć. Nie dosyć, że włączał czajnik dopiero na samym końcu, to jeszcze nalewał wody do pełna, przez co trwało to dużo dłużej, niż potrzeba na trzy kubki herbaty. Kiedy woda się gotowała, on stał całe wieki i czekał, od czasu do czasu przestawiając kubki na tacy. Żył w błogiej nieświadomości faktu, że Paul może w każdej chwili eksplodować ze złości na niepraktyczność takiej metody. Choć Paul starał się jak mógł, było to ponad jego siły, żeby pozwolić Jimowi robić wszystko po swojemu. Wiedziałem, że w ciągu sześćdziesięciu sekund spyta Jima, dlaczego najpierw nie włączył czajnika.

— Jim, dlaczego najpierw nie włączyłeś czajnika? — spytał trzy sekundy później.

— Hm?

— Chciałem tylko powiedzieć, że byłoby ciut szybciej, gdybyś najpierw włączył czajnik. Wiesz, zanim wyjmiesz kubki i tak dalej.

Jim obojętnie wzruszył ramionami.

— Woda nie gotowałyby się od tego prędzej, nie? Uchwycenie logiki wyводу Paula szło mu równie powoli jak robienie herbaty.

— Nie, ale prędzej byłyby zagotowana, bo wcześniej byś ją

nastawił, a torebkami, mlekiem i wszystkim innym mógłbyś się zająć w trakcie gotowania.

Z trudem powstrzymał się przed wykrzyczeniem trzech ostatnich słów Jimowi w twarz. Jim był zaskoczony faktem, że jego współlokator aż tak bardzo przejął się tą sprawą.

— Nigdzie im się nie spieszy ani trochę, prawda? Spieszy ci się gdzieś, Simon?

Simon podniósł głowę znad gazety.

— Mnie? Nie.

— Nikomu się nie spieszy, więc co za różnica? Widziałem, że frustracja Paula wzrasta. Jego twarz zrobiła się jasnoczerwona, dzięki czemu ryża bródka nareszcie mniej się odcinała.

— Chodzi mi o to, że to jest bardzo niewydajny sposób na zrobienie herbaty.

— Przecież ty nawet nie pijesz.

— Nie, nie piję, bo strasznie mnie denerwuje, że nie umiesz tego zrobić jak należy.

Po tych słowach wymaszerował z kuchni. Jim miał zupełnie zdezorientowaną minę.

— Czyżbym słodził Paulowi herbatę, której on nie pije albo coś?

Simon mruknął, że nie wydaje mu się, a Jim wzruszył ramionami i postąpił chwilę koło zlewu, a po pięciu minutach zdał sobie sprawę, że nie nacisnął guzika „1” z boku czajnika.

Kiedy herbata była gotowa, nasza pozostała trójka piła ją w kontemplacyjnym milczeniu. Simon czytał rubrykę porad sercowych w „Sun”. Deirdre rozwiązywała w niej problemy seksualne czytelników, w moim przekonaniu wymyślone przez dziennikarzy z sąsiedniego pokoju.

— „Mój szwagier jest moim kochankiem — przeczytał na głos. — Droga Deirdre, jestem atrakcyjną blondynką i ludzie mówią, że mam niezłą figurę. Któregoś wieczoru, kiedy mojego męża nie było w mieście, przyszedł jego brat i jakoś tak wyszło, że wylądowaliśmy w łóżku...” — Przerwał. — Zawsze tak mó-

wią: „Jakoś tak wyszło”. Co dokładnie trzeba zrobić, żeby jakoś tak wyszło, bo chyba właśnie tutaj popełniam błąd. Rozumiem, że przyszedł brat, i rozumiem, że byli razem w łóżku, ale jak przeszli od fazy pierwszej do ostatniej?

— To proste, Simon — powiedział Jim.

— No? Jak się to robi?

— Poznajesz dziewczynę.

— Tak.

— Przychodzi do ciebie na kawę.

— Tak, ale co potem?

— No, potem jakoś tak wychodzi.

Po drugim kubku herbaty uznałem, że skończyły mi się rozsądne uzasadnienia pozwalające kazać agencji reklamowej czekać, więc wziąłem ze swojego pokoju kasetę i ruszyłem w stronę stacji metra. Trzydzieści minut później szedłem Berwick Street, gdzie para francuskich studentów z jednorazową kamerą o mało nie została rozjechana, próbując odtworzyć okładkę *What's the Story Morning Glory?* Uwielbiałem przyjeżdżać do Soho. Miało się tam ekscytujące poczucie, że coś się dzieje, i lubiłem przez krótką chwilę udawać, że w tym uczestniczę. Byli tam ludzie, którzy zarabiali tysiąc funtów dziennie za głos z offu do jednej reklamy, a potem przepuszczali tę forszę na krewetki i awokado na foccacia popite cafe latte.

Spojrzałem na drugą stronę ulicy i zobaczyłem Hugona z DD&G, wpatzonego w witrynę sklepową. „To dziwne” — pomyślałem. „Dlaczego Hugo wpatruje się w witrynę azjatyckiej hurtowni biżuterii?” Potem szybko rozejrzał się na lewo i prawo i zniknął w zapyziałej bramie pod blaskiem czerwonego światła z niebezpiecznie zwisającymi kablami. Byłem zszokowany. Zbliżyłem się do otwartej bramy i zajrzałem do środka. Słowa: „Nowy model. Bardzo życzliwa. Pierwsze piętro” były nabazgrane na kawałku tektury przyklejonej koło wejścia grubą brązową taśmą maskującą. Spojrzałem w górę rozklekotanych schodów bez dywanu i zastanawiałem się, co jest dalej. Może Hugo poszedł do nich z propozycją usprawnienia ich reklamy, przysłania zawodo-



wego copywritera, który wymyśliłby chwytliwsze hasło i umiałby poprawnie napisać „piętro”. Wydawało się to mało prawdopodobne. Byłem rozdarty między niesmakiem a zafascynowaniem i dziwnie rozczarowany Hugonem, jakbym osobiście się na nim zawiódł.

Pomaszerowałem dalej Berwick Street i nareszcie wszedłem do recepcji wystawnych biur DD&G, gdzie wisiał certyfikat zaświadcający chętnie, że zdobyli drugą nagrodę w kategorii inwestycji i bankowości na ubiegłorocznym konkursie reklam radiowych. Hugo wyskoczył ponoć na chwilę, żeby kupić żonie kartkę z życzeniami urodzinowymi, więc kasetka została złożona u pięknej, osamotnionej recepcjonistki, która siedziała w oknie ujęta w bujne aranżacje świeżych kwiatów.

Skończyłem już pracę na ten tydzień. Czas było kierować się do północnego Londynu. W godzinie szczytu wcisnąłem się do metra ze wszystkimi ludźmi, którzy spędzili dzień w pracy. Setki zapoconych pracowników biurowych przyciskało się nawzajem do siebie, a jednak umieli stworzyć wrażenie, że zupełnie sobie nie uświadamiają, iż nie są sami w wagonie. Ramiona wyginały się pod nieprawdopodobnymi kątami, trzymając złożone na pół książki w wydaniu broszurowym. Szyje wyciągały się, aby przeczytać cudzą gazetę. Chrześcijanie ponownie czytający Biblię, jakby nie znali jej na pamięć.

Nagle zwolniło się miejsce i ruszyłem w jego stronę na tyle szybko, żeby mi go ktoś nie zajął, i na tyle wolno, żeby nie wyglądało to niegodnie. Usiadłszy, z zadowoleniem wypuściłem powietrze, lecz poczucie odprężenia wkrótce wyparł niepokój. Na wprost mnie stała kobieta i spod sukienki wystawała jej „buła niepewności”. Szósty miesiąc ciąży czy może dziewczyna trochę, no... przy kości? Nie umiałem tego ocenić. Obejrzałem ją od stóp do głów. „Czemu nie da mi jakiegoś znaku?” — pomyślałem. Czemu nie nosi torby Mothercare albo jednej z tych kiczowatych bluz z napisem: „Tak, jestem!” Spojrzałem jeszcze raz. We wszystkich innych miejscach sukienka zwisała luźno. Tylko na zaokrąglonym brzuchu materiał był naprężony. „Co jest gorsze —

zastanawiałem się — nie ustąpić miejsca ciężarnej kobiecie czy ustąpić miejsca kobiecie, która nie jest w ciąży, ale tylko tak wygląda?" Może dlatego mężczyźni ustępowali kiedyś miejsca wszystkim kobietom: w celu uniknięcia tego kłopotliwego dylematu. Nikt inny się nie przejął, ale ja uznałem, że muszę zachować się przyzwoicie.

— Przepraszam, chciałaby pani usiąść? — spytałem, wstając.

— Czemu miałabym chcieć usiąść? — odparła napastliwie. „Niech to szlag trafi” — pomyślałem.

— Yyy... No, wygląda pani na trochę zmęczoną... hm, a ja i tak wysiadam na następnej stacji — skłamałem.

Postanowiła, że w takim układzie skorzysta z propozycji, a ja musiałem zmienić wagon, żeby się nie wsypać. Przedzierając się przez tłum na peronie, pobiegłem dwa wagony do tyłu. Nie będąca w ciąży kobieta rzuciła mi bardzo dziwne spojrzenie, ale nie takie dziwne jak to, które mi posłała, kiedy piętnaście minut później oboje przechodziliśmy przez bariery na stacji Kentish Town.

Kiedy ponownie znalazłem się na powietrzu, moja komórka zasygnalizowała, że mam wiadomość. Była od Hugona. Powiedział, że bardzo mu przykro, że się ze mną nie zobaczył, ale przez całe popołudnie wchodził i wychodził. Nie potrzebowałem znać aż tylu szczegółów. Mój kawałek mu się spodobał, stwierdził, że napisałem coś „kompletnie odjazdowego”. Chociaż generalnie uważałem Hugona za człowieka bardzo nieszczerego i na niczym się nie znającego, w tym wypadku gotów byłem zrobić wyjątek. Nigdy nie miałem pewności, czy pisane przeze mnie muzyczne urywki mają jakkolwiek wartość. Kiedy pojawiła mi się w głowie jakaś znośna melodia, nie mogłem uwierzyć, że jej komuś podświadomie nie ukradłem, więc byłem łasy na wszelkie pochwały. Niestety, utwór miał posłużyć tylko do prezentacji i istniało duże prawdopodobieństwo, że agencja nie skorzysta z usług firmy produkcyjnej Hugona, co by oznaczało, że nikt nie usłyszy mojego kawałka. Wiedziałem o tym, kiedy brałem zlecenie, ale wiedziałem też, że potrafię zrobić to szybko, dostanę pieniądze

na opłacenie rachunków i będę mógł spędzić kilka bezstresowych dni w kokonie, który dla siebie stworzyłem.

Skręciłem w Bartholomew Close. Wysokie, monolityczne szare kubły na śmieci na kółkach stały po obu stronach ulicy niby posągi na Wyspie Wielkanocnej niewzruszenie oczekujące gości. Podeszedłem do numeru 17 i włożyłem klucz do zamka. Kiedy otworzyłem drzwi frontowe, uderzył we mnie taran chaosu i jazgotu.

— Tatuś! — krzyknęła z zachwytem moja dwuletnia córeczka Millie, przybiegła do przedpokoju i ścisnęła mnie za nogę. Z magnetofonu szła kasetka z rymowankami. Alfie, mój bobas, z rozkoszą wymachiwał rękami w ramionach matki.

— Jesteś wcześniej, niż się spodziewałam — powiedziała z uśmiechem Catherine. Omijając porozrzucane na dywanie drewniane klocki, podeszedłem do niej, pocałowałem ją i wziąłem od niej Alfiego.

— No i wiesz co? Skończyłem to zlecenie i przez cały weekend nie będę musiał pracować.

— Fantastycznie. W takim razie mamy podwójne święto. Bo zgadnij, kto dzisiaj nasiusił do nocniczka?

— Naprawdę, Millie?

Millie skinęła głową z niezmierną dumą, która nie dorównywała jednak dumie jej matki.

— I nic ci nie kapnęło na podłogę, Millie? Twój tatuś ma trzydzieści dwa lata, a rzadko mu się to udaje.

Dźgnąłem Catherine czule w żebra.

— Słuchaj, to nie moja wina, że sedes zawsze spada.

— Nie, to wina tego idioty, który go montował — potwierdziła, odnosząc się do wieczoru, kiedy po trzech godzinach zmagania źle założyłem nowy drewniany sedes.

Millie wyraźnie się spodobało, że została zasypana pochwałami, więc szybko znalazła nowy sposób na skupienie na sobie uwagi.

— Narysowałam kotek — powiedziała, pokazując mi kawałek papieru, który od niej wziąłem i bacznie obejrzałem. Szczerze powiedziawszy, rysunek Millie był do niczego. Chcąc przedsta-

wić naszego kota, wzięła niebieską kredkę i mazała nią z góry na dół po papierze.

— Och, Millie, superobrazek. Zdolna z ciebie dziewczynka. Wiedziałem, że któregoś dnia mi odpowie: „Nie traktuj mnie protekcyjnie, tato, oboje wiemy, że rysunek jest guzik wart”, ale na razie wyglądało na to, że wzięła moje peany za dobrą monetę. Uwielbiałem wracać do domu po paru dniach niewidzenia się z nimi. Zawsze byli tacy zachwyceni moim widokiem. To był powrót ojca marnotrawnego.

Catherine skorzystała z okazji i zaczęła sprzątać kuchnię, gdy ja przez chwilę zajmowałem się dziećmi. Bawiłem się w chowanego z Millie, która nie utrudniała mi zadania i trzy razy pod rząd ukryła się w tym samym miejscu za zasłonami. Potem Alfie się rozchichotał, kiedy podrzucałem go do góry, a potem Catherine wróciła do pokoju, żeby sprawdzić, dlaczego nagle zaczął płakać.

— Nie wiem — powiedziałem, próbując nie podnosić oczu na metalowy żyrandol, który kołysał się nad jej głową. Zabrała mi płaczące dziecko i w tym momencie pomyślałem, że wygląda na trochę zmęczoną, więc zaproponowałem, że ja posprzątam. Wymknąłem się na górę, zbierając po drodze porozrzucone zabawki. Napuściłem wody do wanny, wlałem płyn do kąpieli, zgasilem światło i zapaliłem dwie świece. Przyniosłem do łazienki przenośny odtwarzacz kompaktowy i puściłem symfonię *Pastoralną* Beethovena.

— Catherine, mogłabyś przyjść na minutkę na górę? — zawołałem. Przyszła i potoczyła spojrzeniem po zbudowanej przeze mnie świątyni instant. — Zajmę się dziećmi, załaduję zmywarę i w ogóle. Ty wskakuj do wanny, przyniosę ci kieliszek wina i nie wolno ci wyjść aż do końca ostatniej części: „Pieśń pasterska. Radosne i dziękczynne uczucia po burzy”.

Oparła się o mnie.

— Och, Michael, czym sobie na to zasłużyłam?

— No, zajmowałaś się sama dziećmi przez dwa dni i na pewno potrzebujesz chwili wytchnienia.

— Tak, ale ty też ciężko pracowałeś. Nie potrzebujesz odpoczynku?

— Ja nie pracuję tak ciężko jak ty — odparłem szczerze. Trochę poprotestowała bez przekonania, po czym włączyła kaloryfer ręcznikowiec i pogłośniła muzykę, żeby zagłuszyć oburzone okrzyki: „Mamusi!” już dochodzące z kuchni.

— Michael — powiedziała, całując mnie w policzek — dziękuję ci za to, że jesteś najlepszym mężem na świecie.

Uśmiechnąłem się półgębkiem. Kiedy żona mówi coś takiego, nie jest to raczej właściwy moment na wyprowadzanie jej z błędu.

## **Rozdział 2**

### **ŻYJ NA MAKSA**

Wszystkim nam się to zdarzało. Wszyscy mieliśmy swoje małe tajemnice przed naszymi partnerami. Wszyscy unikaliśmy powiedzenia im jakiegoś niewygodnego szczegółu albo omijaliśmy sprawy, co do których woleliśmy ich utrzymywać w nieświadomości. Wszyscy wynajmowaliśmy w sekrecie pokój po drugiej stronie miasta, gdzie mogliśmy się schronić na pół tygodnia, aby uciec przed nudnym, wykańczającym zajmowaniem się dziećmi. Nie, ta ostatnia sprawa dotyczy, zdaje się, tylko mnie.

Każde małżeństwo inaczej funkcjonuje. Adolf Hitler i Ewa Braun pobrali się, spędzili jeden dzień w bunkrze przeciwbombowym i razem popełnili samobójstwo. W porządku. Jeśli stwierdzili, że takie rozwiązanie będzie najlepsze, to nie nam wydawać wyroki. Każda para ma swoje nawyki — dziwaczne rytuały, niespotykane u innych obyczaje, które trzymają ją razem. Obyczaje te często ewoluują i rozrastają się, by w końcu wyjść poza obszar racjonalnych zachowań. Na przykład rodzice Catherine co wieczór idą do ogrodu i szukają stonóg, które potem rytualnie rozgniatają tłuczkiem i rozsypują ich szczątki po różach. Uważają to za najzupełniej normalne.

— Mam jeszcze jedną, Kenneth.

— Zaczekaj, skarbie, wrzuciłaś mi też gąsieniczkę — ciebie przecież nie chcemy rozgnieść, moja mała, prawda?

Catherine i ja pojechaliśmy kiedyś na wakacje z inną parą i w ostatnią noc usłyszeliśmy, jak rozmawiają o nas nonszalancko za ścianą. Mówili, że nie wyobrażają sobie życia z kimś tak dziwnym jak Catherine albo ja. Uważali nasz związek za kompletnie pomyłony. Potem usłyszeliśmy zduszony głos żony: „Idziesz do łóżka czy nie, bo cycki mi się pocą od tego celofanu”. Wydawało nam się, że on odpowiedział: „Zaraz, zaciał mi się zamek w stroju pletwonurka”. Okazuje się, że każde małżeństwo ma swoje dziwactwa, jeśli trochę powęszyć.

Istnieje, oczywiście, mnóstwo związków, które nie szyją sobie skrojonych na miarę strategii przeżycia, lecz związki takie nie trwają długo. Moi rodzice rozeszli się, kiedy miałem pięć lat, i pamiętam, że pomyślałem sobie: „Nie moglibyście po prostu udawać, że jesteście małżeństwem?” Przeżywszy ponure i pokręcone intrygi związane z rozwodem mamy i taty, postanowiłem, że rodzice moich dzieci zostaną razem. Właśnie dlatego, że moje małżeństwo było dla mnie tak ważne, stale dawałem mu odpocząć. Stres, jaki wniosły do naszego życia dzieci, nagle wytworzył między nami tyle napięć i małodusznej wrogości, że przeraziłem się, iż szkody będą nie do naprawienia. Nie da się ukryć, że opracowałem własne rozwiązanie wspólnego problemu, nie omówiwszy tego z Catherine. Nie mogłem jednak przyznać, że chcę mieć trochę wolnego od dzieci. Nie jest to coś, czym kandydaci na prezydenta chwala się w przedwyborczych przemówieniach. „Wiecie, lubię czasami przespacerować się sam plażą, bo przypomina mi to o cudzie Bożego stworzenia i o tym, jak mało mamy czasu na tym świecie, aby uczynić z niego lepsze miejsce. Ale przede wszystkim mogę dzięki temu uciec na jakiś czas od moich cholernych bachorów”. Kochałem Catherine, kochałem Millie i kochałem Alfiego, ale czasami czułem, że doprowadzają mnie do szaleństwa. Czy nie lepiej było robić sobie przerwy, zamiast pozwolić, by ciśnienie nieustannie wzrastało i całe małżeństwo eksplodowało, co skończyłoby się tym, że dzieci, tak jak ja, przez siedem dni w tygodniu nie miałyby ojca?

Nie dręczyły mnie więc z tego powodu wyrzuty sumienia. Jestem pewien, że przygotowałbym Catherine kąpiel w pianie, nawet gdybym rzeczywiście pracował tak ciężko, jak ona sobie wyobrażała. Zaniósłem jej butelkę wina i, hello!", chociaż martwiłem się, że nie czyta już tego pisma z ironicznym dystansem. Nalałem nam obojgu po kieliszku i pociągnęła mnie w dół, aby pocałować mnie z miłością w usta, w co zaangażowałem się trochę nieporadnie.

— Co robią dzieci?

— Millie ogląda *Listonosza Pata* na wideo, ten odcinek, gdzie Pat urządza sobie strzelaninę w Greendale. Alfie siedzi przypięty do krzeselka i ogląda Millie.

— Przynajmniej telewizor włączony. Nie można ich zostawiać bez opieki.

— Nigdy byś nie zgadła, co dzisiaj widziałem: Hugona Harrisona znikającego w bramie burdelu.

— Naprawdę? A gdzie ty byłeś?

— Jak to gdzie? Schodziłem po schodach, zapinając spodnie.

— On jest żonaty, no nie? Pamiętasz, poznaliśmy jego żonę. Ciekawe, czyjej powie.

— Oczywiście że jej nie powie! „Jak minął ci dzień w biurze, kochanie?”, Dziękuję, bardzo miło. Po południu skoczyłem zaliczyć kurwę”. „To rzeczywiście miło, kochanie. Kolacja prawie gotowa”.

— Biedna kobieta. Wyobraź sobie, co by było, gdyby się dowiedziała.

— Szczerze mówiąc, trochę mnie to zirytowało. Chciałem się dowiedzieć, co myśli o kawalku, który mu przyniosłem, a on zniknął, żeby się grzmocić z prostytutką.

— Dowiedziałeś się, jak mu się podobało?

— Raczej trudno mi było o to pytać.

— Chodziło mi o twój kawalek.

— A, tak, zadzwonił do mnie na komórkę. Powiedział, że jest świetny.

— Nie wiem, jak ty to robisz. Znowu pracowałeś do czwartej nad ranem?

— Nie, nie aż tak długo.

— Nie rozumiem, dlaczego nie możesz pracować przez jakąś rozsądną liczbę godzin i po prostu im powiedzieć, żeby dłużej poczekał.

— Bo znaleźliby sobie kogoś innego i nie mielibyśmy pieniędzy, więc ja musiałbym zajmować się dziećmi, kiedy ty byś pracowała jako prostytutka dla takich jak Hugo Harrison.

— Absolutnie nie do pomyślenia... żebyś ty miał się zajmować dziećmi.

Parsknęliśmy śmiechem i znowu ją pocałowałem. Uwielbiałem te chwile po dwóch dniach niewidzenia się z nią. Nigdy nie czuliśmy się ze sobą lepiej.

Catherine miała gładką jasną skórę, spiczasty nosek i duże brązowe oczy, z którymi starałem się utrzymać kontakt wzrokowy, kiedy poruszała się w parującej kąpeli. Zawsze protestowała, jak jej mówiłem, że jest piękna, bo ubzduriała sobie, że ma za krótkie palce u rąk. Czasami łapałem ją na tym, że chowała dłonie w rękawach bluzy, i wiedziałem, dlaczego to robiła: sądziła, że wszyscy na nią patrzą i myślą sobie: „Popatrz na tę kobietę. Wyglądałaby ślicznie, gdyby nie te potwornie krótkie palce”. Włosy miała długie i ciemne i chociaż nie nosiła jakichś szczególnie wyrafinowanych fryzur, podróżowała ponad dwadzieścia kilometrów do fryzjera, bo człowiek, który zawsze ją strzygł, przeniósł swój zakład, a ona nie chciała ryzykować powierzenia swoich włosów komu innemu. Byłem zadowolony, że fryzjer nie emigrował do Paragwaju, bo mielibyśmy problemy z uskładaniem pieniędzy na bilet lotniczy co dwa miesiące.

Miałem ochotę wskoczyć do wanny i przymierzyć się do niewygodnego seksu w pianie, ale nie zasugerowałem tego, bo nie chciałem zepsuć klimatu przedwczesną erekcją. Co ważniejsze, wiedziałem, że w domu nie ma prezerwatyw, a nie miałem najmniejszego zamiaru ryzykować poczęcia trzeciego dziecka. Już dla pierwszych dwóch nie byłem idealnym ojcem.

Kiedy pierwszy raz się kochaliśmy, uwieńczyliśmy to taką właśnie kąpielą w pianie. Na pierwszej randce Catherine powie-



działa, że zna cudowne miejsce na drinka, i zawiozła mnie aż do Brighton, gdzie zarezerwowała stolik w luksusowym hotelu. Po drodze zatrzymał japolijant za przekroczenie prędkości. Spuściła szybę, policjant podszedł powoli i powiedział:

— Zdaje sobie pani sprawę, że jechała pani pięćdziesiąt trzy mile na godzinę na odcinku, gdzie obowiązuje ograniczenie do czterdziestu?

Z pełnym wyższości uśmiechem czekał, jak Catherine będzie się próbowała wytłumaczyć.

— *Pardonnez-moi, je ne parle pas l'anglais donc je ne comprends pas ce que vous dites...*

Zupełnie zbiło go to z pantałyku. Mnie też prawie przekonała, mimo że oblała francuski na maturze. Policjant uznał, że język angielski będzie dla niej bardziej zrozumiały w wersji głośniejszej i zawierającej pewną liczbę rażących błędów gramatycznych.

— Pani złamać ograniczenie prędkość. Pani za szybko. Prawo jazdy?

Odpowiedziała jednak zdezorientowanym galijskim wzruszeniem ramion, mówiąc:

— *Pardonnez-moi, mais je ne comprends rien, monsieur.* Zmieszany funkcjonariusz spojrział na mnie i spytał:

— Mówi pan po angielsku?

Czułem się zmuszony, żeby powiedzieć: „Yyy... non!”, z fatalnym francuskim akcentem. Nie miałem tyle hucpy, żeby zagadać do policjanta tak jak Catherine. Mój francuski był znacznie bardziej ograniczony, a nie sądziłem, żeby policjantowi jakoś szczególnie zaimponowało moje spostrzeżenie, że „na moście w Awinionie tańczą, tańczą”. Wskoczyła do środka, zanim zdążyłem się zdemaskować, ale tym razem wygrzebała z pamięci kilka angielskich słów:

— *Mais Gary Lineker... on bahrdzo dobhra!* Funkcjonariusz wyraźnie zmiękł i częściowo odbudowawszy

w sobie poczucie patriotycznej dumy, uznał, że może wysłać nas w dalszą drogę ze zbyt dobitnie wyartykułowanym: „Jechać — znacznie — wolniej”.

— *D'accord* — odparła, a on nie zauważył nic dziwnego w tym, że na odjeźdźnym rzuciła: — *Auf Wiedersehen*.

Musieliśmy zjechać na pobocze sto metrów dalej, bo tak strasznie się śmialiśmy, że mogłaby spowodować wypadek.

Poznaliśmy się przy okazji reklamy, w której ona występowała, a ja zaaranżowałem muzykę. Właśnie skończyła wydział aktorski na Manchester University i udział w tej reklamie był jej pierwszą profesjonalną rolą. Obsadzono ją jako jeden z pięciu tańczących kubków jogurtu. Grała owoce leśne i była zdecydowanie najlepsza. Do tej pory nie mogę przeboleć, że pomarańcza i passiflora została gwiazdą w *EastEnders*. Potem Catherine załapała się na kilka drobnych, niemych ról w pomniejszych operach mydlanych oraz wystąpiła w nagraniu wideo rozpowszechnianym przez Ministerstwo Zdrowia, informującym widzów, że nie powinni wchodzić w szklane drzwi, tylko najpierw je otworzyć. Byłem bardzo podekscytowany, kiedy mi powiedziała, że dostała rolę Sarah Mclsaac w poważnym filmie telewizyjnym zatytułowanym *Dziwny przypadek Sarah Mclsaac*. Pokazała mi scenariusz. Na pierwszej stronie kobieta siedzi za biurkiem, pracuje do późna w londyńskim biurze. Wchodzi jakiś mężczyzna i mówi: „Pani Sarah Mclsaac?” „Tak”. Mężczyzna wyjmuje pistolet i zabija ją. Mimo wszystko była to rola tytułowa i niezaprzeczalny krok do przodu.

Potem dostała sporą rolę w sztuce na West Endzie — a dokładniej na zachodnim końcu Essexu — i co wieczór jeździłem ją oglądać w wystawnej scenerii Kenneth More Theatre w Ilford. Z początku mówiła, że to bardzo troskliwe z mojej strony, ale po jakimś czasie chyba stwierdziła, że trochę ją rozprasza, kiedy ja siedzę w pierwszym rzędzie i razem z nią mamrocę pod nosem tekst. Przez znaczną część sztuki była na scenie sama i grała wprost urzekająco, chociaż nie podobało mi się, że inni mężczyźni na widowni nic, tylko cały czas się na nią gapili.

Najlepsze występy dawała jednak w sytuacji, kiedy chciała sobie coś załatwić. Potrafiła wybuchnąć płaczem, jeśli kierowca autobusu nie chciał jej wpuścić bez odliczonej kwoty na bilet, i była gotowa paść zemdlna na krzesło, jeśli recepcjonistka próbowała uniemożliwić jej widzenie się z lekarzem. Pewnego razu, kiedy koleś w wypożyczalni

wideo nie chciał nam dać dwóch filmów na jedną kartę, nagle jej się wydało, że go poznaje.

— O mój Boże, pan jest Darren Freeman, prawda?

— Eee, no i co? — odparł z osłupiałą miną.

— Pamiętasz mnie ze szkoły?

— Eee, no, bardzo mgliście.

— Boże, zawsze się interesowałeś filmami i tak dalej. Co za zbieg okoliczności, że tu pracujesz. A niech mnie, Darren Freeman! Pamiętasz tego kretyna od geografii?

Urządzili sobie dziesięciminutowe „przeżyjmy to jeszcze raz”. Okazało się, że Darren ożenił się z Julie Hails, którą Catherine, jak powiedziała, zawsze lubił. Dał nam dwie kasety na jedną kartę. Kiedy nam je wręczał, zauważyłem, że ma przypiętą na piersi plaketkę z napisem: „Nazywam się Darren Freeman, w czym mogę pomóc?”

Oboje mieliśmy samorozgrzeszający stosunek do tego rodzaju oszukaństw. Kiedy mnie spytała, czy się z nią ożenię, spojrzałem na nią z ukosa, żeby sprawdzić, czy nie robi ze mnie balona. Ujrzałem siebie jako dziewięćdziesięcioletniego starca na pogrzebie swojej żony, która nagle siada w trumnie i mówi: „Ha, ha! Nabrałam cię!” Zatem człowiekowi z zewnątrz moje podwójne życie mogłoby się wydawać szokującą zdradą, ale ja wolałem myśleć, że wpisuje się to w nasz krotocwilny wspólny styl życia. Kolejna runda w naszej nieustannej grze w „kto kogo wykołuje”. Jej żarty zawsze mnie rozśmieszały. Jedyne problem z moim kanciarstwem był taki, że nie miałem pewności, jaka będzie puenta.

Moje podwójne życie zaczęło nabierać kształtu wkrótce po przyjeździe na świat Millie. Cztery lata naszego związku były idealne i szczęśliwe. Nie wyobrażałem sobie, iż cokolwiek mogłoby sprawić, że chciałbym uciec. Ale potem ona zakochała się w kim innym. Może tego się bałem. Może z tego powodu tak długo próbowałem opóźnić decyzję o dzieciach.

Nigdy nie powiedziałem, że nie chcę ich mieć, mówiłem tylko, że na razie nie chcę. Oczywiście wiedziałem, że kiedyś będę miał dzieci, tak jak kiedyś umrę, ale nie poświęcałem zbyt dużo czasu na planowanie ani jednego, ani drugiego. Jednak Catherine zawsze mówiła o naszych przyszłych dzieciach tak, jakby miały się urodzić za chwilę. Nie chciała dwudrzwiowego samochodu, bo wkładanie i wyjmowanie fotelika byłoby mordęgą. „Jaki fotelik?” — miałem ochotę zapytać. Pokazywała dziecięce ubrania w witrynach sklepowych i uparcie nazywała zapasowy pokój „dziecinnym”. „Chodzi ci o studio nagraniowe” — korygowałem ją za każdym razem. Niektóre jej aluzje były jeszcze mniej subtelne. „Fajnie byłoby mieć dziecko urodzone w lecie, no nie?” — powiedziała dokładnie dziewięć miesięcy przed latem. Znajomi z małymi dziećmi byli zapraszani w niedzielę i musiałem udawać zainteresowanego, kiedy matka i ojciec snuli rozważania o stolcach maleństwa.

Nie wiem, dlaczego rodzicom się wydaje, że takie zachowanie jest do przyjęcia. Nie jest to temat, o który zahaczamy, kiedy uprzejmię dowiadujemy się o zdrowie naszych bliźnich.

— Cześć, Michael, jak się masz?

— Dziękuję, dobrze. Zrobiłem dzisiaj rano całkiem dużą kupę, ale potem zrobiłem jeszcze jedną, mniejszą i trochę luźniejszą, co jest do mnie niepodobne, bo normalnie robię tylko jedną kupę dziennie.

Czynności fizjologiczne niemowląt są szeroko omawiane dlatego, że ich życie ogranicza się do tych czynności. Ssą pierś, ulewają pokarm, robią kupę, śpią, płaczą i od nowa to samo. I chociaż niczego więcej nie da się powiedzieć o poczynaniach noworodka, rodzice o niczym innym nie chcą rozmawiać. Jeżeli jakimś cudem goście z Planety Niemowlęcej zboczyli z fascynującego tematu układu trawiennego dzieciątka, rozmowa przechodziła na równie mało apetyczny temat funkcji fizjologicznych matki. W tym momencie przynajmniej niektórzy ojcowie mieli na tyle taktu, żeby zrobić zakłopotaną minę, kiedy Catherine i świeżo upieczona matka bardzo szczegółowo dyskutowały o od-

ciągaczach pokarmu i nacięciach krocza. Ci tatusiowie byli jeszcze do odratowania. Nie potrafiłem natomiast tolerować tych ojców, których te ciężkie przeżycia zamieniły w bredzących idiotów. Ci oszukujący siebie samych zabawiacze niemowląt przetaczali się jak obłąkani po moim dywanie, posyłali swoim dzieciątkom całusy i wykrzykiwali wymyślone słowa w ramach z góry skazanej na porażkę próby wzbudzenia choćby najdrobniejszej reakcji u swego nowego potomstwa.

„Ooooooooo-bla-bla-bla-bla-bla bum-bum” — piszczele. „Och, jest tym zachwycona” — mówiła matka z pełnym aprobaty uśmiechem. Że dziecina jest zachwycona, dało się poznać po tym, że raz — w porywach — mrugnęła.

Po chwili matka karała mnie za moją widoczną obojętność, mówiąc:

— Chciałbyś potrzymać dziecko, Michael?

— Och, byłoby cudownie — odpowiadałem posłusznie i brałem dziecko na ręce z takim samym rozluźnieniem i opanowaniem, z jakim minister ds. Irlandii Północnej przyjmuje tajemniczą paczkę wręczoną mu podczas oficjalnego spaceru po Zachodnim Belfaście. Matka i ojciec przez cały czas stali nade mną, trzymając ręce pod głową, plecami i nogami dziecka, chcąc pokazać, ile mają wiary w to, że w ciągu dwunastu sekund, na które trzyipółkilowe dziecko zostało powierzone w moje ręce, nie upuszczę go na podłogę.

Ci świeżo upieczeni rodzice przypominali mi ludzi, którzy w dorosłym wieku nawrócili się na chrześcijaństwo. Zadufane i pełne wyższości miny, które sugerowały, że moje życie jest w jakimś sensie niepełne, że nie słyszałem Dobrej Nowiny o dzieciach. W pełni człowiekiem zostanę dopiero po wstąpieniu do klubu rozszczebiotanych rodziców, którzy co tydzień chodzą do kościoła zaśpiewać *Trzech ludzików w latającym spodku*. Wszyscy uważali, że prędzej czy później się nawrócę. Kiedyś moja dusza zostanie zbawiona i przyjmę do swego życia dzieci. Taki był plan Catherine, stąd kampania wystawiania mnie na uroki noworodków. Jeśli próbowała mnie przekonać, że posiadanie dziecka byłoby dla mnie przyjemne, to wybrała najgorszą możli-

wą metodę. W końcu jednak mnie zmoęła. Co mogłem zrobić? Spłodzenie dziecka, które miało przynieść największe szczęście kochanej przeze mnie kobiecie, leęało w mojej gestii i nie mogłem jej tego bez końca odmawiać.

Wreszcie, w jeden z dni pod hasłem „niech żyje miłość małżeńska”, zgodziłem się, że powinniśmy spróbować. Są takie chwile pełne intymności i wzajemnej adoracji, kiedy człowiek pragnie się zgodzić z każdym słowem partnerki. Wtrącić się i zaprzeczyć jej, mówiąc: „Nie, ja uważam, że *Hotel California* to straszny paw”, zupełnie zepsułoby nastrój, wobec czego kiwasz głową, uśmiechasz się i mówisz: „Mhm, no, ja też bardzo to lubię”. W jednym z takich momentów przystałem na pomysł z rodzicielstwem. Zgodziłem się na całe życie poświęcone ojcostwu, żeby nie zepsuć miłego popołudnia.

Nigdy nie mogłem zrozumieć mężczyzn, którzy się skarżyli, że próby zapłodnienia partnerki zajęły im wiele lat. Miesiąc po miesiącu seks z napaloną kobietą! Catherine zaszła w ciążę w pierwszym miesiącu prób. „Jesteś taki sprytny” — powiedziała, ściskając mnie. W jej pojęciu powinienem być dumny, że tak szybko nam się udało. Ja jednak myślałem sobie w sekrecie: „Psia mać, to już koniec? Nie możemy dla pewności powtarzać tego co noc?” Nasikała na tester i patrzyliśmy, jak zmienia kolor. W instrukcji obsługi było napisane, że jasnoróżowy oznacza wynik negatywny, a ciemnoróżowy oznacza ciążę. Tester zrobił się różowy, gdzieś w połowie drogi między jasnoróżowym a ciemno-różowym, taki różowawy z delikatną sugestią różowego. Poszła do lekarza, bo tylko w ten sposób można mieć całkowitą pewność, że jest się w ciąży, a najlepszy początek, na jaki może liczyć matka przy nadziei, to siedzenie przez półtorej godziny w przegrzanej, dusznej poczekalni i wdychanie zarazków możliwie jak największej liczby zakaźnych chorób.

Zanim dziecko się urodziło, siedziałem w tych sprawach jeszcze głębiej niż Catherine. Przeczytałem wszystkie podręczniki o ciąży, jakie udało mi się zdobyć, przeprowadziłem badania na temat najlepszych foteli samochodowych i monitorowałem

przyrost wagi Catherine, który nanosiłem na wiszący w kuchni wykres. Trochę mnie zraniło, kiedy go zdjęła przed kolacją, na którą zaprosiliśmy gości. Wykres wszystkim by pokazał, jaki jestem troskliwy i zaangażowany. Narodziny dziecka były moim nowym projektem, moim nowym przedsięwzięciem, egzaminem, który byłem w stanie zdać pod warunkiem, że będę wystarczająco pilnie powtarzał materiał. Nauczyłem się na pamięć rozmówek dla przyszłych rodziców.

— Co byś wolał, chłopca czy dziewczynkę?

— Wszystko jedno, byle było zdrowe. Dobra odpowiedź.

— Na jaki poród się decydujecie?

— Możliwie najbardziej naturalny, ale nie wykluczamy interwencji, jeśli to okaże się konieczne.

Dobra odpowiedź.

Może sądziłem, że opanowanie tematu pozwoli mi lepiej kontrolować przebieg zdarzeń, ale z upływem czasu zacząłem dostrzegać znaki ostrzegawcze. To kobiety mają dzieci, nie mężczyźni; tego faktu nie da się obejść. „To nie nasza impreza, koledzy” — powiedział jeden z przyszłych tatusiów w szkole rodzenia. Chociaż posłusznie chodziłem na wszystkie zajęcia, byłem zatroskany i zaangażowany, kiwałem głową i słuchałem razem z innymi milczącymi, zakłopotanymi mężczyznami, nie mogłem się powstrzymać od myśli: „W takim razie co właściwie mamy robić?” Jeśli matka poprawnie oddycha, chodzi, skupia się, nie prze przy skurczach, żeby nie pójść za wcześnie do szpitala, co mężczyzna ma do roboty?

Wygląda na to, że odpowiedź brzmi: „Zrobić kanapki”. Instrukcja ta, jako jedyna z zapisanych przeze mnie, była niepodważalnie skierowana do mnie. I rzeczywiście, zrobienie kanapek to jedyna — po tej pierwszej — rzecz, do której mężczyźni są potrzebni przez całe dziewięć miesięcy. Jeden plemnik na początku, dwie porcje sandwicz z serem i korniszonem na końcu. Mój entuzjazm był wszakże niespożyty — skoro tylko tyle mam do zrobienia, to niech przynajmniej zrobię to dobrze.

Wykładowca

wrócił do opisywania pierwszej fazy skurczów, nie udzieliwszy żadnych porad co do tego, jak powinniśmy wykonać nasze zadanie, więc podniosłem rękę.

— Chciałem na chwileczkę wrócić do kwestii kanapek: z czym powinny być, żeby najlepiej służyły rodzącej?

— Eee, no, żeby nie były zbyt ciężkostrawne, ale ogólnie z tym, co partnerka najbardziej lubi na co dzień.

— Bo pomyślałem sobie, że może hormony wpływają na kubki smakowe czy coś; może u rodzących występuje ostra awersja do jakichś składników.

— Może najlepiej byłoby zrobić kilka rodzajów kanapek, tak na wszelki wypadek. A więc rozwarcie szyjki wynosi już dziesięć centymetrów...

— Chleb biały czy pełnoziarnisty?

— Słucham?

— Biały czy pełnoziarnisty chleb do kanapek? Wie pan, chcę, żeby wszystko było idealne dla dziecka, więc tak się zastanawiałem, co byłoby lepsze. Wiem, że pełnoziarnisty w normalnych warunkach jest zdrowszy, ale czy nie jest zbyt ciężkostrawny? Chyba powinien być pełnoziarnisty, skoro decydujemy się na naturalny poród.

Jeden z pozostałych mężczyzn podjął wątek i zasugerował, żebyśmy zrobili kilka rodzajów kanapek zarówno na białym, jak i pełnoziarnistym chlebie, co wydawało się rozsądną sugestią, ale w tym momencie kobieta w dużych okularach powiedziała, że przykro jej, jeśli mężczyźni nie są przyzwyczajeni do zebrań, na których nie odgrywają pierwszoplanowej roli, ale czy moglibyśmy przestać pieprzyć, bo jej się w cychach przewraca. Wykładowca spędził ostatnią godzinę na rozprawianiu o stosunku płciowym, pochwach i piersiach, lecz zarumienił się, słysząc taki język.

Z powodu drobnych problemów ginekologicznych podczas ciąży Catherine przydzielono lekarza specjalistę w szpitalu Św. Tomasza. Było to dla niej bardzo stresujące; kobieta z północnego Londynu dowiaduje się, że będzie musiała jeździć na południe od



rzeki. Nigdy jednak nie pojawiły się żadne kłopoty oprócz tego, że musiałem jechać przez pół Londynu w godzinie szczytu z moją rodzącą żoną na tylnym siedzeniu. Kiedy znaleźliśmy się w sali rodzenia, Catherine robiła wszystko, czego ją wcześniej nauczono, oddychała, parła, czekała, znowu parła i urodziła śliczną dziewczynkę. Ja też robiłem wszystko, co do mnie należało, ale kanapki przeleżały cały ten czas w torbie. Oczywiście wycierałem jej chusteczką czoło i mówiłem: „Świetnie sobie radzisz”, „Doskonale ci idzie” i tym podobne, ale normalnie tak nie mówię, więc na pewno nie brzmiało to zbyt przekonująco. No, ale w tym dniu nic nie było normalne. Kiedy z Catherine w końcu wyskoczyło to pozaziemskie stworzenie, było to zdecydowanie najbardziej surrealistyczne doświadczenie w moim życiu. Dziecko podano Catherine, która od pierwszej chwili sprawiała wrażenie, że czuje się z nim swobodnie i pewnie. Gruczoł radości wydzielił hektolitry hormonu szczęścia i zalała się łzami. I chociaż byłem głęboko wzruszony tą chwilą, w duchu czułem się winny, że najwyraźniej nie jestem tak głęboko wzruszony jak ona. Zmusiłem się więc do mizernego uśmiechu, niepewny, czy powinienem spróbować ją pocieszyć czy udawać, że też płaczę. Sądzę, że byłem w stanie głębokiego szoku.

Choć formalnie rzecz biorąc, w tym momencie zostałem ojcem, tak naprawdę dotarło to do mnie dopiero po paru godzinach. Catherine spała, a ja pólleżałem w obitym skajem fotelu koło jej łóżka. Z kojca rozległ się cieniutki odgłos kaszlenia, a ponieważ nie chciałem budzić Catherine, nerwowo sam wziąłem małą na ręce. Wydawała się taka krucha i mikroskopijna, zaniósłem ją na swój fotel, jakby to była bezcenna antyczna waza.

— Dzień dobry, dziewczynko, jestem twoim tatusiem — powiedziałem.

A potem przez jakąś godzinę trzymałem ją w ramionach, wpatrując się w ten idealny pomniejszony model człowieka, i wzbierało we mnie poczucie ogromnej odpowiedzialności. To dziecko było całkowicie zależne od Catherine i mnie. Nie kazano nam zdawać żadnych egzaminów ani odbywać rozmów kwalifi-

kacyjnych, ale oto nagle mieliśmy dziecko pod swoją opieką. Było to wzruszające, ekscytujące, niesamowite, ale przede wszystkim przerażające. Kiedy tak siedziałem, patrząc na nią, pomyślałem o tych wszystkich rodzicach przychodzących do nas z dziećmi i uśmiechnąłem się na myśl, jacy wszyscy byli głupi. Naprawdę im się wydawało, że ich dzieci są najpiękniejsze, a przecież dla każdego było oczywiste, że dziewczynka trzymana przeze mnie w ramionach jest bezkonkurencyjnie najpiękniejszym stworzeniem, jakie widział świat. Nie miałem wątpliwości, że każdy, kto ją zobaczy, uzna ten fakt. Była taka niewinna, taka nieskalana, taka nowa. Chciałem ją uchronić przed wszelkim złem w świecie, a jednocześnie pokazać jej wszystko, co jest na ziemi cudowne. Kiedy w końcu zrobiła się niespokojna, podszedłem z nią do okna i przy szarzącym nad Londynem brzasku spojrzałem na miasto z wysokości siódmego piętra szpitala św. Tomasza.

— Tam w dole jest Tamiza, dziewczynko — powiedziałem jej. — A to są Izby Parlamentu. Ten wielki zegar nazywa się Big Ben, a to takie wielkie, co jedzie przez most, to jest autobus. Powiedz: „Autobus”.

— Bus — powiedział ku mojemu zdumieniu dziecinnie głosik.

Albo spłodziłem geniuszkę, albo Catherine się obudziła i podsłuchiwała mnie. Dziecko było coraz bardziej rozdrażnione, więc Catherine wzięła je ode mnie i przystawiła do piersi. Dziewczynka ssała, jakby robiły to razem od lat.

Catherine i ja uzgodniliśmy imię Millie kilka tygodni przed porodem. Ale teraz, kiedy dziewczynka naprawdę przyszła na świat, chciałem ją ochrzcić po mojej nieodżałowanej matce. Podzieliłem się tym pomysłem z Catherine, która powiedziała, że to piękna myśl.

— Twoja matka musiała być wspaniałą kobietą i żałuję, że nie spotkałam cię wcześniej, bo wtedy bym ją poznała. Byłoby cudownie dać dziecku imię po babci, której nigdy nie zobaczy. To wzruszający i romantyczny pomysł. Problem tylko w tym, mój drogi mężu, że twoja matka miała na imię Prunella.

— Wiem.

— Nie sądzisz, że świat jest na tyle okrutnym miejscem do życia, że nie należy jeszcze dodatkowo obarczać nowo narodzonego stworzenia imieniem Prunella?

Ustaliliśmy, że prześpijemy się z tym pomysłem i dwa dni później zabraliśmy Millie do domu.

Po przybyciu do domu położyliśmy dziecko na środku przedpokoju i pomyśleliśmy: „Co dalej?” Wtedy zdałem sobie sprawę, że przerobiłem materiał tylko do tego punktu. Poświęciliśmy tak dużo uwagi samemu dniowi narodzin, że prawie w ogóle nie zastanawiałem się nad tym, co będzie potem. Nic mnie nie przygotowało na to, że dziecko wywróci moje życie do góry nogami. Nawet to, iż każdy rodzic mi mówił, że dziecko wywróci moje życie do góry nogami, nie przygotowało mnie na to, że moje życie zostanie odmienione. To było tak, jakby najuciąźliwszy i najbardziej wymagający krewny przyjechał zamieszkać u ciebie na stałe. Ba, byłoby łatwiejsze do zniesienia, gdyby to moja dziewięćdziesięcioletnia babcia pakowała nam się do łóżka o trzeciej nad ranem; przynajmniej może znowu by zasnęła na jakiś czas.

Kiedy tej nocy w szpitalu po raz pierwszy poczułem, że jestem rodzicem, byłem już parę godzin z tyłu za Catherine, a teraz odległość ta stale się powiększała. Od początku czułem się zbędny. Zwykle kiedy Catherine czegoś naprawdę chciała, ja byłem osobą, która wyjmowała ów przedmiot z pudła i podłączała głośniki. Ale kiedy zabraliśmy dziecko do domu, stałem się bezużyteczny, nie miałem pojęcia, co robić. Wydawało się, że nie istnieje logika ani system, którym można by się kierować. Millie czasami spała, a czasami całą noc płakała. Czasami ssała pierś, a czasami odmawiała. W jej poczynaniach nie było żadnych reguł ani obyczajów, żadnego rytmu ani porządku — po raz pierwszy w życiu zostałem postawiony przed problemem, który zdawał się pozbawiony rozwiązania. Życie wymknęło się spod kontroli; nie miałem pojęcia, co sprawiło, że dziecko wrzeszczy i jakie należy podjąć działania, podczas gdy Catherine po prostu wiedziała.

Potrafiła poznać, kiedy Millie jest zgrzana, zmarznięta, głodna, spragniona, marudna, smutna i tak dalej. Chociaż dziecko jakoś nie płakało mniej, kiedy Catherine zastosowała właściwy w danych okolicznościach środek zaradczy, nigdy nie śmiałem kwestionować przekonania, z jakim mi mówiła, co dziecku dolega. Millie miała mi dawać radość i poczucie spełnienia, lecz najsilniejszym z doznawanych przeze mnie uczuć był przejmujący niepokój. Niepokój od pierwszego wejrzenia. Nie byłem zakochany w moim dziecku, byłem w nim „zamartwiony”.

Jednak u Catherine to było jak ponownie przeżywana pierwsza miłość. Wszechpotężna, nie zostawiająca miejsca na nic innego, totalna, obsesyjna miłość. Każda myśl Catherine dotyczyła Millie.

— Uważaj na ten czerwony samochód! — wołałem ogarnięty paniką, kiedy jechała zapatrzona w dziecko przypięte do fotelika na tylnym siedzeniu.

— Aach. Millie ma czapkę w tym kolorze — mówiła rozmarzona.

— Auć! Rozciąłem sobie dłoń nożem do chleba.

— O, pokaż Millie, jeszcze nigdy nie widziała krwi.

— Czytałaś ten artykuł o tym, że Stany próbują zmusić Europę do importu bananów od amerykańskich korporacji międzynarodowych?

— Millie lubi banany.

Zamieściła imię Millie w powitaniu na sekretarce.

„Dzień dobry. Jeśli chciałbyś zostawić wiadomość dla Catherine, Michaela lub Millie, to proszę, nagraj ją po usłyszeniu sygnału”. Millie nie umiała jeszcze korzystać z telefonu ani mówić po angielsku, nic więc dziwnego, że nie było dla niej zbyt wielu wiadomości.

Wszystko obracało się wokół dziecka. Kupowałem w sklepie nową wieżę i Catherine powiedziała:

— Myślę, że powinniśmy kupić te kolumny, bo mają bardzo dobre basy, a to podobno pomaga dziecku się uspokoić.

Jak widać, najważniejszym kryterium przy zakupie wieży jest

to, który sprzęt najlepiej uspokaja dziecko. Miałem już upatrzone inne kolumny, ale Boże, uchwaj, żebym okazał obojętność na potrzeby dzieciątka.

— Te są lepsze — odparłem. — Mają bardziej zaokrąglone krawędzie. Nie zrobi sobie krzywdy, jak się na nie przewróci.

Catherine była zachwycona moim wyborem.

Nagle jakoś tak wyszło, że nigdy nie robiłem tego, na co naprawdę miałem ochotę. Uświadomiłem to sobie podczas naszych pierwszych wspólnych wakacji. Dotarło do mnie, że to wcale nie są wakacje. Że mieszkanie z Millie raczkującą po wynajętej chałupie ze schodami bez balustrady, nie zabezpieczonymi gniazdkami elektrycznymi i prawdziwym ogniem w kominku pryskającym rozżarzonymi drzazgami drewna jest jeszcze mniej relaksujące niż siedzenie w domu i patrzenie, jak moja córeczka wsuwa do wideo półprzeżute sucharki. Podczas tych pierwszych wakacji jako rodzic uzmysłowiłem sobie, że ponownie stałem się nastolatkiem, że naburmuszony daję się ciągać z placu zabaw na farmę dla dzieci i że to wszystko jest kompletnie głupie, żałosne i bez sensu. „Patrz, Millie, patrz, jak lama je siano”. No, z całą pewnością zerknęła wtedy na lamę, więc rzecz była warta zachodu. Dlaczego nie mogliśmy po prostu zostać w Londynie? Z chęcią bym ją wyniósł od czasu do czasu przed dom i powiedział: „Patrz, Millie, patrz, jak piesek robi kupę”. Byłaby pod równie wielkim wrażeniem. Ale nie, musieliśmy wlec się aż do Devon i mieszkać w wyzębionej chałupie, żeby biedne, zdezorientowane dziecko mogło się budzić co dwie godziny i zostać znowu posadzone w foteliku samochodowym, bo jedenaście mil dalej była farma dla dzieci, gdzie mieli lamy, za mało krzesełek i huśtawkę całkiem podobną do tej na końcu naszej ulicy. Cały ten wysiłek nie był dla niej, lecz dla nas. Musieliśmy zrobić bardzo dużo, aby przekonać siebie samych, że nie robimy za mało.

Poza tym, oczywiście, były noce. Pamiętałem, jak Catherine i ja przytulaliśmy się i zasypialiśmy spleceni ze sobą. Potem Millie weszła do naszego łóżka — całkiem dosłownie nas roz-

dzieliła. Próbowaliśmy ją kłaść do łóżeczka, lecz Catherine stwierdziła, że lepiej śpi z Millie przy swoim boku, to znaczy, kiedy już przestała czuć się zobligowana do panicznego siadania na łóżku w reakcji na każde stęknienie, każdy gulgot i każdą chwilę ciszy. Dziecko zasypiało i budziło się uwieszone u piersi Catherine — tej samej piersi, której mnie nie wolno już było dotykać — a ja leżałem bez snu i myślałem z urazą: „Słowo honoru, czy to dziecko nie wie, dla kogo są te piersi?”

Stwierdziłem, że ciężko mi jest spać pośród nieustannego wiercenia się i wierzganania dziecka, wczepionemu w skraj materaca. Parę razy autentycznie spadłem i wylądowałem twarzą na drewnianej podłodze. Odkryłem, że przy czymś takim również trudno się nie obudzić.

— Ciii, obudzisz Millie — szepnęła Catherine, kiedy ja sprawdzałem, czy leci mi krew z nosa. Po kilku nieprzespanych przeze mnie nocach Catherine zasugerowała, żebym spał na dole na sofie. Nie sypiała już zatem ze swoim mężem, lecz ze swoją miłością, dzieckiem. Wyglądało na to, że zrobiła się zupełnie niewrażliwa na uczucia kogokolwiek poza dzieckiem. Była zadurzona, zauroczona, opętana. Tak samo jak wtedy, kiedy zakochała się we mnie. Tyle że tym razem przedmiotem jej uczuć był kto inny.

Millie eksmitowała mnie. Zająła moje miejsce w łóżku, odebrała mi życie towarzyskie i czas spędzany z Catherine, obrabowała mnie nawet z moich urodzin. „Jaki wspaniały prezent urodzinowy” — mówili wszyscy, bo Millie przyszła na świat w dniu, w którym skończyłem trzydzieści lat. To były ostatnie urodziny w moim życiu. Rok później, na nasze „wspólne” urodziny, Millie dostała klocki edukacyjne, piłkę, która odbijała się w nieoczekiwanych kierunkach, wózek z kolorowymi klockami, plastikową zabawkę do kąpieli, małpi gaj, piszczącą książeczkę i około trzydziestu pluszaków. Ja dostałem album na zdjęcia Millie. Sto lat, Michael! „Przepraszam, że tylko tyle, ale nie miałam czasu chodzić po sklepach” — wyjaśniła Catherine, napelniwszy worek na śmieci opakowaniami po zabawkach, które kupiła dla Millie.

Chętnie wyszedłbym gdzieś w ten wieczór, ale Catherine

powiedziała, że czułaby się dziwnie, gdyby zostawiła Millie w jej pierwsze urodziny. Zwróciłem Catherine uwagę, że Millie nie tylko twardo śpi, ale również kompletnie sobie nie uświadamia, że ma urodziny, a jeśli się obudzi, to z radością pozwoli się z powrotem ululać matce Catherine. Moja żona powiedziała jednak, że nie miałyby z tego żadnej przyjemności i ja też nie, więc zostaliśmy w domu i oglądaliśmy program o ogrodnictwie.

Dla ukoronowania wspaniałego wieczoru Catherine wysłała mnie do supermarketu po pampersy, a ponieważ były to moje urodziny, postanowiłem zaszaleć i kupiłem sobie dwie puszki piwa i paczkę chrupek serowych. Zajechawszy pod dom, zobaczyłem jednak, że światła są pogaszone. Od razu wiedziałem, co zrobiła Catherine. Moja ukochana żona urządziła dla mnie przyjęcie-niespodziankę. Misja zakupu pampersów służyła tylko pozbyciu się mnie z domu. Sprawdziłem w lusterku wstecznym włosy, wszedłem do domu, podreptałem na palcach do salonu, gotowy zrobić zaskoczoną i zachwyconą minę, gdy wszyscy krzykną: „Sto lat, Michael!” Zebrałem się w sobie i nacisnąłem kontakt. Chyba rzeczywiście miałem zaskoczoną minę. W pokoju nie było nikogo. W kuchni też. Poszedłem na górę — Catherine twardo spała w łóżku. Wróciłem na dół, padłem na sofę, wypięłem puszkę piwa i przerzucałem kanały telewizyjne. W chrupkach serowych znalazłem darmowy bilet na *Gwiezdne wojny*, co stanowiło jakąś pociechę. „Żyj na maksa” — powiedzieli w reklamie telewizyjnej, więc wypięłem drugą puszkę piwa przed pójściem spać.

Dawniej myślałem, że młodość i wolność będą trwały wiecznie. Kiedy miałem osiemnaście lat, wyprowadziłem się z domu i wynająłem z kolegami mieszkanie, sądząc, że nareszcie jestem wolny, że teraz będę mógł robić, co tylko będę chciał — do końca życia. Nikt mi nie powiedział, że ta emancypacja jest tylko tymczasowa, że z całkowitej wolności będę korzystał tylko przez krótki okres życia. W dzieciństwie robiłem to, co chcieli robić moi rodzice, i zapowiadało się, że w dorosłym życiu będę robił to, co będą chciały robić moje dzieci. Wróciłem za kratki; mój dom zamienił się w więzienie. Nie mogłem już wychodzić i przy-

chodzić, kiedy mi się podobało; okna na piętrze były zakratowane, przy schodach stały bramki zabezpieczające, wszędzie były monitory, zamki, alarmy, wkrótce czekał mnie nawet cuchnący nocnik do opróżnienia. Dziecko, które się zjawilo, było po części strażnikiem, a po części więziennym postrachem. Millie nie pozwalała mi spać dłużej niż do szóstej rano, od tej pory byłem jej gońcem, jej lokajem, biegającym aportującym wyłącznie dla jej rozrywki. Poniżała mnie, rzucając na podłogę sztuciec i żądając, żebym go podniósł, a kiedy byłem jej posłuszny, robiła to ponownie.

Każdy więzień marzy o ucieczce. Ja najpierw robiłem to podświadomie. Leżałem w wannie i chowałem uszy pod wodą, dzięki czemu ścieżka dźwiękowa z płaczem dzieci i rozgniewanymi okrzykami zamieniała się w monotony i odległy szum. Któregoś razu, kiedy Millie spała w wózku, zaproponowałem, że pójdę z nią na spacer do Hampstead Heath, żeby Catherine mogła się położyć i odpocząć w pustym domu. Kiedy pchałem wózek po jedynych stromych wzgórzach w Londynie, zdałem sobie sprawę, że złożyłem tę z pozoru szlachetną propozycję tylko dlatego, że chciałem mieć trochę czasu dla siebie, bo teraz miałem potrzebę, aby uciec także od Catherine. Czułem się przez nią tak, jakbym zawsze robił wszystko źle. Skierowałem się w stronę Buli and Last i wypilem w ogródku pubu dwa piwa; nie pamiętałem, kiedy ostatni raz czułem się taki odprężony i beztroski. Millie cały czas spała i wkrótce wszystkie moje zmartwienia i napięcia utonęły w pianistym trunku. Idąc do domu, byłem w błogim nastroju, czułem się pogodzony ze światem, do momentu, gdy wściekła twarz Catherine w oknie z przykrym łupnięciem ściągnęła mnie z powrotem na ziemię. „Och, nie, co znowu złego zrobiłem?” — pomyślałem sobie. Postanowiłem udawać, że nie zauważam jej wyraźnie widocznego niezadowolenia, lecz kiedy z wesołą miną i z rękami w kieszeniach podchodziłem do drzwi frontowych, wyszła mi na spotkanie.

— Gdzie Millie? — spytała.

— Millie?



— Tak, twoja córka, którą zabrałeś na spacer do Hampstead Heath...

Teraz wiem, że z mojego domu do Buli and Last można dobiec w cztery minuty i czterdzieści siedem sekund.

Myślę, że w tym wypadku część winy muszę wziąć na siebie. Większość winy. Jednak Catherine potrafiła się przyczepić do wszystkiego, co robiłem z dziećmi. Wycierałem je nie tym ręcznikiem, robiłem mleko nie na tej wodzie i smarowałem im pupy za małą albo za dużą ilością kremu. Odnosiłem wrażenie, że Catherine szybciej i łatwiej jest zrobić wszystko samej. Posłusznie stawiałem się w porze ubierania, karmienia i kapania, mając nadzieję, że się do czegoś przydam, ale z reguły tylko plątałem się jej pod nogami. Wyciągałem pomocną dłoń, ale tylko metaforycznie, bo w rzeczywistości ręce zwisały mi po bokach, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. W dzieciolandii Catherine była królową, a ja księciem Filipem, kręcącym się nieporadnie w tle i wygłaszającym durne komentarze.

Czy ze wszystkimi ojcami jest tak samo? Czy dlatego, od tysięcy lat, mężczyźni dają dyla z domu: aby oszczędzić sobie upokorzenia, że są w jakiejś konkurencji dopiero na drugim miejscu? Bardzo szybko moje nieobecności stały się regułą. Zebrania zawsze się przedłużały; nie spieszyłem się już do domu, gdzie czekała mnie bura za włożenie plastikowych łyżeczek do zmywarki. Jeśli pracowałem poza miastem, zawsze zdążałem dopiero na późniejszy pociąg do Londynu i wracałem, kiedy Catherine już spała.

Któregoś dnia wróciłem późno do domu i zakradłem się do pokoju, który wytrwale nazywałem swoim studium nagraniowym. Wtedy zobaczyłem. Cała ściana została pokryta tapetą w motywy z *Komu szumią wierzby*. Tam, gdzie wcześniej wisiał plakat z Joe Strummerem z Clash rozwalającym gitarę, teraz były dziecinne rysunekczki Szczura Wodnego i Kreta w tweedach i bryczesach. To była moja rodzicielska Kristallnacht, moment, kiedy wiedziałem już, że zostałem wydziedziczony.

\*

Mieliśmy od dawna uzgodnione, że kiedy dziecko dostanie swój pokój, ja będę musiał wynająć coś sobie poza domem, lecz był to jeden z tych odległych problemów, o których wolałem nie myśleć. Z faktu, że zgodziłem się zabrać swoje rzeczy, nie wynikało, żebym planował coś konkretnego w tej sprawie. Zwróciłem uwagę, że znalezienie czegoś odpowiedniego będzie długie i skomplikowane.

— Jest wolny pokój w domu brata Heather w Balham. Możesz go wynająć od ręki.

Catherine zawsze była o kilka kroków przede mną. W następny weekend zapakowaliśmy wszystkie rzeczy, których potrzebowałem w moim nowym studiu nagraniowym, i jeszcze trochę innych. Kiedy zbliżało się południe, przedpokój tarasowała wielka sterta pudeł zawierających całą moją młodość. Kompakty, kasety, czasopisma muzyczne, czapka bejsbolowa z autografem Elvisa Costello i wszystkie głupawe kubki, które kupiłem, zanim zamieszkaliśmy razem. Dwa lata wcześniej dałem jej na urodziny chromowany stojak na kompakty w kształcie gitary elektrycznej; on również pojawił się w stercie przed drzwiami frontowymi. Poczułem, że jest pewien obszar mojej osobowości, który Catherine chętnie usunęłaby z domu rodzinnego.

— Och, musisz mieć w swoim studiu lustro z Beatlesami. Będzie tam świetnie wyglądało, a do sypialni nie pasuje — powiedziała, zdejmując je ze ściany trochę za bardzo skwapliwie.

Zacząłem więc dojeżdżać do małego pokoju w południowym Londynie. Do Balham jechało się tylko pół godziny czarną linią, ale czułem się tam jak w innym świecie. Jeśli Catherine chciała ze mną porozmawiać, mogła zadzwonić na komórkę, nie licząc tych momentów, kiedy naprawdę siedziałem po uszy w pracy i komórkę miałem wyłączoną. Wygląda na to, że często siedziałem po uszy w pracy. Nic nie robiło lepiej naszemu małżeństwu niż przebywanie osobno. Im więcej czasu spędzałem w moim studiu, tym bardziej się lubiliśmy. Zawsze pracowałem w nietypowych godzinach i mając sofę, która rozkładała się pomiędzy wzmocniaczami i syntezatorami, dalej tak robiłem. Z punktu widzenia Catherine, im dłużej byłem w studiu, tym dłużej — z tego

wniosek — pracowałem, a ona była dumna, że ma męża, który tak dużo pracuje, lecz mimo to po powrocie do domu wkłada tyle wysiłku w życie rodzinne.

— Skąd ty czerpiesz energię? — spytała, leżąc na łóżku po kąpieli i patrząc, jak kręcę Millie w koło.

— Zmiana otoczenia działa tak samo jak odpoczynek — odparłem skromnie, myśląc sobie, że jeszcze lepsza jest zmiana otoczenia plus odpoczynek. Szybko popluskalem dzieci w perfumowanej pianie, podczas gdy Catherine leżała na łóżku i dopijała butelkę wina. Zapewniła mnie, że nie jest na tyle pijana, aby nie dała rady opowiedzieć Millie bajki na dobranoc, i rzeczywiście czytała bezbłędnie, urwała tylko dwa elementy trójwymiarowej książeczki. Niedługo potem Millie i Alfie spali i w domu panowała cisza. Catherine leżała na naszym łóżku, zawinięta w gigantyczny ręcznik; wciąż biło od niej ciepło po godzinnej kąpieli. Podniosła na mnie wzrok.

— Gdybyśmy chcieli mieć więcej dzieci, to najlepiej byłoby w niedużych odstępach, prawda?

Ten konkretny tekst z jakiegoś powodu pominięto w *Erotycznym poradniku uwodzenia*. Trudno było jej się oprzeć, ale dwójka dzieci mi wystarczała.

— Alfie ma dopiero dziewięć miesięcy, nie ma się co spieszyć — odparłem, starając się uniknąć kłótni.

Catherine zawsze jednak wiedziała, że będzie miała czworo dzieci, a teraz dysponowała bardzo przekonującym argumentem na rzecz próby spółdzenia następnego w tej właśnie chwili, a mianowicie, że leżała naga na ciepłym, miękkim łóżku. Nie kochaliśmy się od trzech tygodni i czterech dni, a tu moja żona przyciskała się do mnie i przywarła swoimi wilgotnymi ustami do moich. Bardzo mnie kusiło, nie będę się tego wypierał, ale wiedziałem, że muszę być silny. Bez żadnych zabezpieczeń to byłaby po prostu zbyt duża loteria. Dla kilku minut rozkoszy nie byłem gotów ryzykować kolejnych lat nieprzespanych nocy, małżeńskich napięć i dalszego oszukiwania przeze mnie rodziny, a takie właśnie skutki pociągnęłyby za sobą następne dziecko. Z której-

kolwiek strony by na to spojrzeć, nie było warto. Nie, nie będzie pięciu minut erotycznych uniesień z moją piękną żoną.

Co do tego ostatniego nie pomyliłem się — całość trwała tylko półtorej minuty. Przeklinając swoją słabość, przyciągnąłem Catherine do siebie i po chwili miałem orgazm. Zdaje się, że wielu mężczyzn wywrzaskuje w tym momencie wulgaryzmy, ale moje wyjęczane: „O kurwa!” nie znaczyło: „Jejku, to było niesamowite!” Sens był raczej taki: „O kurwa, co ja zrobiłem!” Seks był przestępstwem, a ja właśnie naruszyłem warunki warunkowego zwolnienia z więzienia. Pozwoliłem się ukształtować mojemu podwójnemu życiu, sądząc, że będzie to posunięcie jedynie tymczasowe, że nasze pociechy wkrótce osiągną wiek pozwalający nam na wyjście z wojennej strefy małych dzieci, i będę mógł się stać normalnym mężem i ojcem. Na szczęście szanse na to, że Catherine zajdzie w ciążę, były mizerne. Dalej karmiła piersią raz dziennie, więc uznałem, że nie ma zagrożenia.

Dwa tygodnie później Catherine oznajmiła mi, że jest w ciąży.

### **Rozdział 3**

#### **ZRÓB SOBIE PRZERWĘ**

Kiedy Catherine nosiła w sobie nasze pierwsze dziecko, w jednej z przeczytanych książek natrafiłem na sugestię, że jeśli chcę zrozumieć, przez co przechodzi moja żona, powinienem napełnić balon wodą i przez jeden dzień chodzić z nim przypiętym do brzucha. Aby pokazać, jaki ze mnie troskliwy mąż, postanowiłem spróbować. Kierując się rysunkami, przywiązałem sobie chlupoczący balon do talii i poszedłem do kuchni z jedną ręką u nasady szyi, zrobiwszy promienną minę. Później uważałem, że mam prawo spojrzeć mojej żonie prosto w oczy i powiedzieć, że teraz nareszcie rozumiem, jak to jest chodzić z wypełnionym wodą balonem wsuniętym pod bluzę. Robiłem to tylko przez godzinę. Kiedy przycinałem róże, wody nagle mi odeszły.

Dobry przyszły ojciec powinien być zdolny do empatii. Przeczytałem, że najbardziej wrażliwi mężczyźni autentycznie doznają niektórych spośród fizycznych objawów ciąży swoich partnerek, choć wyskoczenie trzypółkilogramowego dziecka z pochwy z pewnością do nich nie należy. „Zespół Couvade'a”, jak to się fachowo nazywa, zdarzył mi się podczas pierwszej ciąży Catherine. Gdzieś koło szóstego tygodnia, kiedy Catherine zaczęła przybierać nawadze, dzięki jakiejś wrażliwościowej symbiozie ja również zacząłem tyć. Niesamowite, ale odkąd przestaliśmy grać razem w squasha i zaczęliśmy zamawiać telefonicznie pizzę i lody Ben and Jerry's, mój obwód w talii zwiększał się mniej więcej w tym samym tempie co u Catherine. Natura to coś naprawdę niezwykłego.

Wszystkie te koncepcje i sugestie zostawiły we mnie poczucie, że powinienem spróbować nastroić się bardziej macierzyńsko. Tego ode mnie chcieli: żebym był zapasową matką. Powinienem czuć to, co ona czuje. Powinienem mieć te same co ona instynkty. Prawie miałem wyrzuty sumienia, że nie szlocham, kiedy mleko jakoś nie chciało mi się produkować. Nic dziwnego, że nie czułem się stworzony do macierzyństwa, bo ta ambicja była niemożliwa do spełnienia. Wiedziałem, że moja żona zawsze będzie lepszą kobietą niż ja.

Jeśli chodzi o wpasowanie się w stereotypy ról społecznych, to byliśmy chyba dosyć konwencjonalną parą. Catherine postanowiła przerwać karierę aktorską, dopóki dzieci trochę nie podrosną. Czowała, że nie posuwa się do przodu, mimo że przestała już być obsadzana jako „przechodzień”, lecz awansowała na „przechodnia z dzieckiem na ręku”. Zdecydowała więc, że zostanie matką w pełnym wymiarze godzin. „No, to jest najtrudniejsza rola ze wszystkich” — powiedział jej irytujący ojciec sto dwanaście razy. Catherine była natomiast zaskoczona, że każe jej się odczuwać wyrzuty sumienia z tego powodu, iż nie jest dążącą po trupach do celu karierowiczką. Kiedy mówiła ludziom, że zrezygnowała z pracy, zastygali w kłopotliwym milczeniu. Mówiła, że nie ma już ochoty chodzić na bankiety, chyba że wolno by jej było

dawać sygnał dzwonkiem i nosić na szyi tabliczkę z napisem: „Zupełnie nieciekawa”. Chciała być z dzieckiem, a ja z ochotą wsparłem ją w jej decyzji, mimo że zawsze lubiłem, kiedy od czasu do czasu pojawiała się w telewizji, już nie wspominając o czekach, które niekiedy pojawiały się na macie w przedpokoju.

Zawsze lubiliśmy myśleć o sobie jako o bohemie artystycznej, ja muzyk, ona aktorka, ale w rzeczywistości nie różniliśmy się od księgowych i ubezpieczeniowców mieszkających przy naszej ulicy. Zajmowaliśmy mały dom z dwoma sypialniami w Kentish Town, określony przez agencję nieruchomości jako „willa”. Oznaczało to, że akurat dało się przepchnąć wózek inwalidzki przez drzwi frontowe, ale samemu w nie potem wejść było już fizyczną niemożliwością, toteż trzeba było spać w ogrodzie. Chciałoby się powiedzieć: „Ciasne, ale własne”, jednak bank mógł mieć w tej sprawie inne zdanie.

Ponieważ aspirowaliśmy do tego, żeby mieszkać w okolicy z kodem pocztowym różniącym się najwyżej o kilka numerów od kodu pocztowego dzielnicy położonej niezbyt daleko od jakiejś modnej części Londynu, nie mieliśmy wyboru, jak tylko mieszkać w małym domu. Pamiętam, że wdrapałem się do domku do zabawy dla dzieci w hipermarkecie z zabawkami i pomyślałem sobie, a niech mnie, przestronnie tu! Upchnięcie w naszej chatynce jeszcze jednego dziecka było zadaniem przekraczającym moje możliwości intelektualne, lecz skoro staruszka z dziecięcej rymowanki potrafiła mieszkać w bucie, to i my nie powinniśmy się poddawać. Nie rozumiałem tego wierszyka, dopóki nie przeprowadziłem się do Londynu. Gdyby to było dzisiaj, jakiś przedsiębiorca budowlany wykupiłby but staruszki i rozparcelował go na mieszkania.

Trzecie dziecko miało się zjawić dopiero za osiem miesięcy i było długie na centymetr, ale mimo to potrafiło doprowadzić swoją matkę do mdłości, zmęczenia i łez. Jest to chyba wczesny sygnał alarmowy, że nie istnieje związek między rozmiarami dziecka a skalą katastrofy, jaką potrafi ono spowodować. Rzecz jasna, płód burzy człowiekowi życie inaczej niż niemowlę, a nie-

mowlę inaczej niż parolatak. Teraz jednak wszystkie te trzy kategorie jednocześnie siały spustoszenie. Niewielu z nas pamięta cokolwiek z okresu przed czwartym rokiem życia. Jest to niezbędny mechanizm wykształcony przez ewolucję—gdybyśmy pamiętali, jakimi byliśmy draniami dla naszych rodziców, sami nigdy nie mielibyśmy dzieci. Millie miała dwa i pół roku, Alfie dziesięć miesięcy, płód cztery tygodnie, a ja czułem się jak stupełciolatak. Nic nie mogło przygotować mnie na to, jak bardzo czułem się zmęczony, już nie mówiąc o Catherine.

Przetrzymywanie bez snu to popularna metoda tortury stosowana przez indonezyjską tajną policję i małe dzieci. Alfie przynajmniej nie mógł kopnąć mnie w jądra za każdym razem, gdy nareszcie udało mi się przysnąć. Zostawiał to swojej starszej siostrze, która z reguły wchodziła nam do łóżka koło trzeciej nad ranem. Stwierdziłem, że nawet kiedy śpię sam, osłaniam sobie krocze dłońmi jak piłkarz w murze.

Catherine zawsze była najbardziej wykończona na początku każdej z ciąży, kiedy pozostawały one jeszcze tajemnicą dla świata. Musiałem tłumaczyć znajomym, że moja żona ustawicznie mdleje i wybuch płaczem, bo do późna w nocy oglądaliśmy stare filmy z Jamesem Stewartem, ale ona zawsze się upierała, że nic jej nie dolega. „Zmęczona? Nie, nie jestem zmęczona” — powiedziała jednego razu, gdy zabierałem ze stołu talerze, lecz moje podejrzenia nasiliły się, kiedy po powrocie z deserem zastałem ją twardo śpiącą z głową na stole.

Chociaż byliśmy ze sobą od pięciu lat, jeszcze się nie nauczyłem, że jej słowa zawsze trzeba sobie przetłumaczyć. Przed swoimi ostatnimi urodzinami powiedziała: „Nie kupuj mi nic specjalnego w tym roku”, a ja w swojej prostoduszności zrozumiałem, że to znaczy: „Nie kupuj mi nic specjalnego w tym roku”. Nie rozszyfrowałem jej subtelnej intonacji, słuchałem tekstu, zamiast muzyki. Na tej samej zasadzie potrafiła na dwanaście różnych sposobów powiedzieć: „Nie jestem zmęczona”. Czasem należało to rozumieć dosłownie, a czasem sens był następujący: „Jestem bardzo zmęczona, proszę, każ mi się położyć do łóżka”.

Wiedziałem, że Catherine nie jest sobą w ten wieczór, kiedy

do naszych drzwi zadzwonili świadkowie Jehowy. „Dziwne zachowanie — pomyślałem — czemu nie chce z nimi rozmawiać?” Normalnie zaprosiłaby ich do środka, poczęstowała herbatą i spytała, czy rozważali możliwość wpuszczenia do swych serc szatana. Prawie udało jej się nawrócić jednego z nich, kiedy ze szczerym zapałem opisała skutki duchowego oczyszczenia, jakie przynosi spędzenie nocy nago w dmuchanym zamku.

Jednak tego wieczoru zmęczenie zamieniło ją w nudnego robota. Wykonała wszystkie czynności potrzebne do położenia dzieci do łóżek, przez co nie miała energii ani entuzjazmu do niczego innego. Alfie koncertował przez trzy noce z rzędu, toteż byliśmy kompletnie wykończeni i zniechęceni. Nie mogę powiedzieć, że źle spaliśmy, bo wydaje mi się, że w ogóle nie spaliśmy. Niespanie w nocy zupełnie nas skołowało i straciliśmy poczucie czasu; za nic w świecie nie mogłem pojąć, jakim cudem zegar biologiczny Catherine pamięta, żeby kazać jej rano zwymiotować.

Kiedy wreszcie oderwała wymiętą twarz od blatu stołu, próbowałem ją przekonać do spania na sofie na dole przy zamkniętych drzwiach, żeby była poza zasięgiem płaczów Alfiego. Chciałem, żeby scedowała trochę bezsenności na mnie, zanim pójdę rano do pracy. Jej wszakże ciężko było na to przystać. Była pazerna, chciała zagarnąć cały ten koszmar dla siebie. Ja się jednak nie poddawałem i w końcu Catherine zabrakło energii do odpierania moich argumentów. Posadziłem ją więc na sofie, przyniosłem kołdrę i poduszki, ucałowałem ją na dobranoc i skierowałem się na górę, gdzie czekała mnie noc walki w pojedynkę.

To było jak nadciągająca burza, w którą zanurzyłem się z nerwowym drżeniem. Zamknijcie włązy; jedziemy w noc. W epoce przed dziećmi często celowo nie kładłem się spać aż do rana. To był przyjemny i wariacki styl życia. Przełaziliśmy przez ogrodzenie Hyde Parku i huściliśmy się na huśtawkach. Poszedłem na całonocny festiwal filmów fantastyczno-naukowych w niezależnym kinie. Chodziłem na imprezy, brałem speed albo kokę i siedziałem na najwyższym wzniesieniu Hampstead Heath, patrząc, jak słońce wschodzi nad Londynem. Kiedy miałem jakieś więk-



sze zlecenie, lubiłem spędzić wieczór z Catherine, a potem, kiedy ona położyła się spać, znikąłem w swoim studiu, zakładałem słuchawki i do świtu pracowałem przy syntezatorze. Jadłem z Catherine śniadanie, zanim poszła na próbę czy gdzie indziej, a potem spałem do jej powrotu. Uwielbiałem pracować w nocy, bo kiedy dokoła panuje absolutna cisza, można naprawdę zatopić się w swoich myślach. Wpadała mi do głowy jakaś melodia, a ja myślałem sobie: „Skąd się to wzięło?” Ktoś inny zawładnął moim ciałem i daje mi za darmo tę melodię. Czasami, kiedy utknąłem, szedłem na spacer w środku nocy i namacalnie czułem spokój śpiącego miasta. Noce były czasem, który miałem wyłącznie dla siebie. Nazywała mnie panem Hyde'em. Tego pieszczotliwego określenia Catherine używała wobec swojego chłopaka, który zajmował się po nocach swoimi ciemnymi sprawkami. W chwilach intymności i czułości nadal mówiła do mnie „pan Hyde”, ale teraz, kiedy rzeczywiście prowadziłem podwójne życie, przydomek ten trochę mnie uwierał.

Wszedłem na palcach do pokoju Millie i sprawdziłem, czy śpi. Wyglądała tak uroczo, ufnie i bezpiecznie. Ostrożnie obchodząc klepkę, która skrzypiała, podniosłem z podłogi kilka szmacianych zabawek i włożyłem jej pod poduszkę, starając się nie narobić przy tym hałasu. Najciszej i najdelikatniej jak umiałem, naciągnąłem na nią z powrotem kocyk. Ze starannością i precyzją neurochirurga wzięłem w dwa palce plastikową lalkę wciśniętą w policzek Millie i położyłem z boku łóżka. Potem, kiedy się prostowałem, łupnąłem głową w karuzelę z pozytywką nad łóżkiem. Hałas zbudził Millie, która otworzyła oczy i spojrzała na mnie z zaskoczeniem i niedowierzaniem.

— Skąd się tu wzięłeś? — spytała zaspanym głosem.

Na żadnym poziomie abstrakcji nie było łatwo odpowiedzieć na to pytanie.

— Śpij — powiedziałem i ku mojemu zaskoczeniu posłuchała. Alfie spał w wózku, który z przyczyn niegdyś sprawiających wrażenie sensownych, lecz teraz dla mnie niezrozumiałych, co wieczór zanosiliśmy na górę do sypialni. Spał smacznie, odpo-

czywał, żeby nabrać jak najwięcej sił przed czekającą go długą nocą. Cicho i samotnie przygotowywałem się do pójścia spać, rozmyślając o tym, jak potoczy się następne kilka godzin, niby żołnierz w przeddzień bitwy. Świadomość, że wkrótce zostanę wyrwany ze snu, wpędziła mnie w gorączkowy nastrój. Chciałem jak najszybciej zasnąć, więc położyłem się i panicznie skupiłem na jednej myśli: „Musisz zasnąć, musisz zasnąć”, przez co zajęło mi to więcej czasu niż zwykle. Wreszcie odpłynąłem.

W pierwszej godzinie mój umysł pędził w najgłębsze otchłanie snu, lecz podczas tego biegu w dół po stromej pochyłości zawsze byłem brutalnie wyszarpywany do góry, wyrywany ze snu przez nagły rozniewany wrzask dziecka. Tej nocy Alfie nie przegapił swojego *entrée* i chociaż nagle miałem świadomość, że nie śpię, przez kilka pełnych strachu sekund leżałem unieruchomiony, sparaliżowany, podczas gdy moje ciało walczyło o to, żeby dogonić umysł i również zastartować. Potem, niby jakiś pijany automat, zrzuciłem z siebie kołdrę, zataczając się, podszedłem do wózka i wsadziłem Alfiemu do buzi mały palec. Płacz ustał, gdy dziecko ssało i ssało, a ja usiadłem na skraju łóżka, wciąż tylko półprzytomny. Drapiąc się w bolącą głowę, spojrzałem do lustra i zobaczyłem zgarbioną, siwiejącą postać wycieńczonego mężczyzny, cień mojego dawnego ja; rzędzące włosy sterczały mi do góry, a twarz była wymięta i pobrużdżona. Kiedy Alfie się urodził, na jednej z przysyłanych nam kartek było czarno-białe zdjęcie umięśnionego mężczyzny przyciskającego gołe niemowlę do pagórkowatego torsu. Nie tak przeżywałem teraz ojcostwo. Zegar powiedział mi, że przespałem tylko godzinę i czterdzieści minut i że jest o wiele za wcześnie na karmienie Alfiego. Po jakimś czasie ssanie zrobiło się mniej gorączkowe. Jako dodatkowy środek zastosowałem delikatne huśtanie wózkiem i Alfie powoli się uspokoił. Kiedy zręcznie usunąłem palec z jego buzi, prawie nie zareagował.

Mój mały palec służył jako cumel, który skutecznie uspokajał oboje dzieci. Jak można się było spodziewać, długie, ostre paznokcie Catherine działały na nie mniej kojąco. Sztuczne formy do

ustnego uspokajania były zakazane. Początkowo nieśmiało sugerowałem zakup gumowych smoczków, lecz Catherine argumentowała, że smoczki są niehigieniczne, że powodują wady wymowy, że ukrećilibyśmy sobie bicz na sobie samych, bo dzieci ciężko byłoby później odstawić, plus kilka innych zapożyczonych obiekcji. Nigdy nie wspomniała o prawdziwym powodzie swojej niechęci: w skrytości serca uważała, że smoczki wyglądają pospolicie, a nie wchodziło w rachubę, żeby którekolwiek z jej dzieci wyglądało pospolicie. Nie mogłem się spierać z poglądem, o który nie miałem odwagi jej oskarżyć, toteż jedynym dozwolonym gryzaczkiem pozostał mój mały palec. Miałem więc twardy orzech do zgryzienia.

Wiedziałem, że aby Alfie mocno usnął, muszę dalej delikatnie huścić wózek, więc centymetr po centymetrze przysunąłem go do łóżka. Teraz mogłem się przynajmniej położyć. Przypuszczalnie tylko pogarszałem sprawę. Jak alkoholik, który idzie do pubu wypić szklanek wody, wystawiałem się na pokusę. Byłem jednak po prostu za bardzo zmęczony, żeby wytrzymać na siedząco, więc położyłem się na skraju łóżka i powoli jeździłem wózkiem tam i z powrotem, a krew z wolna odpływała mi z wyciągniętego ramienia. Wiedziałem, że dopóki ten ruch zachowa w miarę zwane tempo, Alfie — niechętnie, bo niechętnie — będzie leżał w milczeniu, a ja będę mógł sobie wmawiać, że zaraz uśnie. Był jednak zrobiony z twardszego kruszcu niż ja. Huśtanie robiło się coraz mniej energiczne, spowalniało i słabło, aż wreszcie moje wyczerpane ramię opadło bezwładnie obok łóżka. Dla Alfiego był to sygnał do ponownego rozplakania się. Moje ramię, funkcjonujące niezależnie od pogrążonej w śpiączce reszty ciała, chwyciło za rączkę wózka i zaczynało go ponownie popychać. Schemat ten powtórzył się wielokrotnie; przez następną godzinę na zmianę przysypialiśmy. Potem przestałem huścić wózkiem. Cisza. Czyżby nareszcie pozwolił mi zasnąć i dał mojemu znużonemu, zniechęconemu do życia ciału chwilę odpocząć? Nie potrafiłem myśleć o niczym innym oprócz spania.

Och, spać, muszę spać, dałbym wszystko za osiem godzin

solidnego, niczym nie zakłócanego snu. Nie tego gwałtownego przeskakiwania z półsnu do półjawy, lecz prawdziwego, głębokiego snu, snu, co się zowie. To jedyny narkotyk, jakiego potrzebuję: sen. „Oj, wyśpij, wyśpij się za cały tydzień”. Gdybym tylko znalazł dealera i zażył trochę snu; dobrze bym za niego zapłacił, nie obchodziłoby mnie, czy to jest legalne i komu został ukradziony; zabrałbym pieniądze z portmonetki mojej matki, po prostu musiałem sobie walnąć dawkę snu; zaaplikowałbym go sobie przez nos, wypalił, wziął w tabletkę, dał sobie w kanał — nawet używaną przez kogoś innego igłą, gdyby inaczej się nie dało, wstrzyknąłbym sobie potężną dawkę czystego, chemicznie nieprzetworzonego snu, a potem położyłbym się i czekał, aż spłynie na mnie narkotyczna błogość, czułbym, jak mózg mi drętwieje, a ciało rozluźnia się, a potem zamknąłbym oczy i fru, odjazd, odlot na orbitę; nie ma drugiego takiego narkotyku i po prostu muszę go skądś skołować, bo inaczej umrę; proszę, proszę, proszę, dajcie mi trochę snu; ukradnę sen Catherine; no, ona go nie potrzebuje; to jest to, jej zabiorę; rano wrócę za rzekę, powiem jej, że muszę pracować, pójdę do swojego pokoju, wyłączę komórkę, rozbiore się, spulchnię poduszki, naciągnę sobie kołdrę na głowę, poczuję ciężar swoich kończyn na miękkim materacu, poczuję, jak odlatuję, odlatuję, zsuwam się, a potem strzelę sobie potężną dawkę, poczuję się po niej super, jak sportowiec, jak mistrz świata wagi ciężkiej, mógłbym startować w maratonie, ale teraz zasypiam i to jest genialne uczucie; to jest wszystko, czego chcę; proszę, pozwól mi spać, dziecko, pozwól mi spać; potrzebuję tego natychmiast, nie mogę czekać; muszę spać i odlatuję, odlatuję...

Śniło mi się czy słyszałem cichutki jęk z wózka? Wstrzymałem oddech, żeby nie robić hałasu. Rzeczywiście, rozległo się kolejne ledwo słyszalne jęknięcie i ogarnęła mnie rozpacz. Schemat był zawsze ten sam. Jęknięcia z początku słabe — przerywane, mało imponujące próby rozbudzenia się, jakby ktoś bezskutecznie usiłował zapalić samochód z wyczerpanym akumulatorem. Ale kiedy zamknąłem oczy i próbowałem nie zwracać na

uwagi, jęknięcia przechodziły w stęknięcia, a stęknięcia w kasła-jące krzyki, krzyki coraz bardziej rytmiczne i natarczywe, aż w końcu silnik startował, warczał, wył na wysokich obrotach, dziecko wrzeszczało z siłą niewspółmierną do jego maleńkich rozmiarów.

Leżałem bezsennie, słuchając rozgniewanego płaczu, nie potrafiąc zmobilizować w sobie entuzjazmu niezbędnego do tego, żeby ponownie podnieść swój ciężki zezwłok. Catherine na moim miejscu zerwałaby się dużo wcześniej, żeby Alfie nie obudził Millie, ale ja zawsze uważałem, że jest to bardzo mało prawdopodobne. Zaliczałem to do wynikających z nadopiekuńczości zmartwień, którymi ciągle zasypywała mnie Catherine. W drzwiach zaskrzypiała klepka podłogi.

— Alfie mnie obudził — powiedziała płaczliwie Millie. Stała w półmroku, przyciskając do siebie koc, który jednocześnie żuła.

— Och, nie — westchnąłem.

Wziąłem małego na ręce, żeby przestał płakać, co skłoniło Millie do wyciągnięcia do mnie prosząco ramion, więc ją też wziąłem. A potem stałem samotnie pośród najgłębszej nocy, uginając się pod brzemieniem dwójki płaczących dzieci. Moje zmęczone ciało ugięło się pod tym ciężarem, a ja zastanawiałem się, co dalej.

Pomyślałem, że jest tylko jedna gorsza rzecz niż dzieci, które nie chcą spać, a mianowicie zadowoleni z siebie rodzice dzieci, które chcą spać. Za każdym razem, kiedy Catherine i ja byliśmy na dnie rozpaczy, musieliśmy wysłuchiwać uwag jej kretyńskiej siostry hipiski, Judith, która tłumaczyła nam protekcyjnie, co źle robimy. Miałem ochotę potrząsnąć nią i wrzasnąć:

— Bo mieliście szczęście, i tyle! Bo przypadkiem trafiło się wam dziecko, które spało. Nie dlatego, że urodziłaś w wodzie, karmiłaś je ekologicznymi odżywkami i urządziłaś pokój dziecięcy zgodnie z zasranym feng shui. Po prostu wam się fuksło.

Catherine i ja wypróbowaliśmy na Alfim i Millie wszystkie metody i teraz zostały mi już tylko czcze pogrózki.

— Zaczekajcie, aż będziecie miały po kilkanaście lat, wtedy się zemszczę — ostrzegłem je. — Będę was odbierał od kolegów

i koleżanek w fioletowej koszuli w kwiatki, zatańczę twista na szkolnej dyskotece, a kiedy przyprawicie do domu swoje pierwsze sympatie, wyjmę wasze zdjęcia, na których pełzacie na golasa po dywanie.

Nic sobie jednak nie robiły z moich gróźb, a teraz stawka wzrosła. Nie chciałem, żeby Catherine się obudziła, bo rozpaczliwie potrzebowała snu. Przy obojgu urzędujących dzieciach zagrożenie to było większe, a gdyby rzeczywiście się obudziła i zobaczyła, że pozwoliłem Alfiemu wyrwać ze snu Millie, zaczęłaby się awantura trwająca aż do momentu włożenia przez Catherine głowy do muszli klozetowej następnego ranka. To, że Millie nie spała, pod każdym względem było katastrofą. Poza wszystkim karmienie i przewijanie niemowlęcia niedługo po północy to niebezpieczna, wymagająca precyzji operacja. Generalnie biorąc, stojąca u boku marudząca dwuipółlatka raczej przeszkadza, niż pomaga w jej przeprowadzeniu.

— Chcę obejrzeć wideo z Barneyem — powiedziała Millie. Nie byliśmy zbyt surowymi rodzicami, ale jeden z uzgodnionych przez nas punktów regulaminu brzmiał, że Millie nie może nas budzić w środku nocy, aby obejrzeć na wideo filmy dla dzieci. Na papierze taki przepis wygląda świetnie, ale nie uwzględniliśmy faktu, że Millie miała osobowość Margaret Thatcher. Nie należała do osób, z którymi można negocjować i zawierać kompromisy, które można przekupywać czy przekonywać. Zajmowała jakieś stanowisko i w jej demonicznych oczach widać było, że jest absolutnie przeświadczona o słuszności swojej sprawy. W tym momencie nic jej nie mogło zachwiać w przekonaniu, że obejrzy wideo z Barneyem.

W jednym z podręczników wychowania dzieci przeczytaliśmy, że z parolatkami nie należy wchodzić w bezpośrednią konfrontację, lecz przechytrzyć je, zmieniając temat lub kierując ich uwagę ku czemuś nieoczekiwanemu. Techniki sprytnego odwracania uwagi doskonale nadają się na chwile, kiedy człowiek nie czuje się zmęczony ani rozdrażniony. Sądzę, że stan ten można osiągnąć, kiedy parolátky urosną i pójdą do szkoły.

— Nie! Nie obejrysz wideo z Barneyem, Millie — uciałem. Usłyszawszy moją stanowczą odmowę, Millie rzuciła się na ziemię z rozpaczą godną rodzica, który stracił dziecko. Powtórzyła swoje żądanie sto czterdzieści siedem razy, podczas gdy ja podjąłem działania zmierzające do przewinięcia Alfiego. Postanowiłem nie reagować. Wszystko jest dobrze, panuję nad sytuacją, nie będę reagował i nie pozwolę, żeby wytrąciła mnie z równowagi.

— NA LITOŚĆ BOSKĄ, ZATKAJ BUZIĘ, MILLIE! — wrzasnąłem. W głębi duszy wiedziałem, że w taki czy inny sposób uda się jej obejrzyć Barneya, zanim nadejdzie ranek. Wciąż zmagalem się z pieluchą Alfiego, który nie chciał leżeć spokojnie. Krem, którym próbowałem mu posmarować odparzoną pupę, wylądował na wierzchniej części pampersa, tam, gdzie przykleja się paski, więc pampers nie dał się zapiąć. Rzuciłem go na podłogę i postanowiłem zacząć od nowa. Rozejrzałem się za opakowaniem, które gdzieś cisnąłem. Alfie wybrał sobie ten moment na oddanie moczu. Wysoki łuk sików wystrzelił mu nad głowę, jakby ktoś nagle włączył spryskiwacz ogrodowy. Próbowałem złapać kilka ostatnich kropli na zmarnowanego pampersa, lecz był to bezcelowy trud, bo Alfie rozchlapał już większość zawartości pęcherza we wszystkich kierunkach i zarówno body, jak i śpiochy miał przemoczone.

Millie udobitniała teraz swoją regularnie powtarzaną propozycję obejrzenia Barneya na wideo, bijąc mnie w ramię za każdym razem, gdy to mówiła. Nie miałem świadomości, że w drugiej ręce ścisnęła jasnoczerwony drewniany klocek. W pewnej chwili zamachnęła się i rąbnęła mnie tym klockiem prosto w twarz. Ostry kant trafił mnie tuż nad okiem. Przeszył mnie ból. W napadzie wściekłości podniosłem ją i rzuciłem trochę zbyt brutalnie na łóżko, łupnęła głową o pionową deskę. Teraz już wrzeszczała jak opętana. Wystraszony natężeniem protestów swojej siostry, a może po prostu kierując się poczuciem solidarności z rodzeństwem, Alfie również rozdarł się na całe gardło.

Bliski paniki spróbowałem zasłonić mu usta dłonią, ale, jak można się było spodziewać, nie uspokoilo go to — zapluwał się i wyrwał głowę — więc zabrałem dłoń. A potem przestraszyłem się i zawstydziłem, że kipiący gniewem i frustracją byłbym zdolny do tego, żeby całkiem zatkać dziecku usta i trzymać na nich rękę aż do momentu, gdy dziecko całkiem umilknie i znieruchomieje.

Zostawiłem wrzeszczące dzieci, odwróciłem się i z całej siły uderzyłem pięścią w poduszkę, a potem ponowiłem cios jeszcze wiele razy, krzycząc:

— ZAMKNIJCIE SIĘ, DO JASNEJ CHOLERY! POZWÓLCIE MI SIĘ TROCHĘ PRZESPAĆ, DO JASNEJ CHOLERY!

Kiedy podniosłem wzrok, Catherine stała w drzwiach i przyglądała się tej scenie.

Jej mina sugerowała, że nie radzę sobie zbyt dobrze. Catherine wzięła Millie na ręce i powiedziała jej, że zabierają z powrotem do łóżka. Dzięki jakiemuś tajemnemu szyfrowi, którego chyba używała, Millie pogodziła się z takim obrotem sprawy.

— Właśnie zamierzałem to zrobić — powiedziałem nieprzekonująco. — Czemu mi nie pozwolisz zająć się tym po mojemu? — Nie zareagowała. — Miałaś się trochę wyspać! — krzyknąłem za nią z pretensją, jakby wstała i niepotrzebnie tu przyszła.

— Czy Millie obudził płacz Alfiego? — spytała bez ogródek po powrocie.

— No. Znaczy, wstałem do niego od razu i w ogóle, ale nie dało się go uspokoić.

— No to pięknie, jutro będzie w świetnej formie. — Westchnęła z irytacją, a potem zauważyłem, że przyszła z podgrzaną butelką mleka dla małego. — Dlaczego Alfie nie dostał butelki?

— Nie była jeszcze pora.

— Jest trzecia.

— Tak, teraz jest już pora, ale nie była, kiedy zaczął płakać. Powiedziałaś, żeby go nie karmić, zanim nie przyjdzie pora. Stosowałem się tylko do twoich wskazówek.

Catherine podniosła Alfiego z miejsca, w którym go przewijałem, i wsunęła mu do buzi plastikowy smoczek butelki.



— Ja go nakarmię — zaprotestowałem. — Powiedziałem, że dzisiaj jest moja noc. Ty idź do łóżka i śpij.

Podawała mi małego i butelkę, lecz zamiast wrócić na sofę na dole, położyła się w naszym podwójnym łóżku, dzięki czemu przerwę od karmienia Alfiego w środku nocy mogła spędzić na patrzeniu, jak ja karmię Alfiego w środku nocy.

— Za bardzo pionowo trzymasz, nie będzie ciągnął — krytykowała z ławki rezerwowych.

Z powodu tonu, jakim udzieliła mi tej informacji, czułem się zobligowany ją zignorować, i rzeczywiście, mały zaczął się wykrecać i płakać.

— Co ty robisz? Czemu specjalnie źle go karmisz?

— Nie robiłem tego specjalnie.

— Daj mi go.

Wstała i wzięła dziecko, ja zaś siedziałem na łóżku naburmuszony, wściekły i oburzony, kiedy ona dawała Alfiemu butelkę. Mały ciągnął rytmicznie i radośnie, szczęśliwy i spokojny w ramionach matki. Kiedy zwalniał i zaczynał zapadać w otępiały sen, Catherine delikatnie stukała go palcem w podeszwy stóp, żeby go rozbudzić. Jakby na tych maleńkich, kluchowatych stopkach mieścił się sekretny guziczek, o którym tylko Catherine wiedziała i którego naciśnięcie powodowało, że proces karmienia na drugim końcu wracał do normy. I chociaż leżałem, czując się skrzywdzony i obrażony, to gdzieś w głębi duszy pomyślałem: „Jakie to cudowne, że ona umie to robić”.

W końcu ponownie zajęła miejsce w łóżku obok mnie, ja zaś postanowiłem nie wracać do tezy, że doskonale poradziłbym sobie sam.

— Miałem tylko półtorej godziny snu — jęknąłem w nadziei na odrobinę współczucia.

— To więcej niż ja ostatnio miewam — odparowała. Mały był nakarmiony, przewinięty, dobrze przykryty. Teraz

na pewno będzie spał. Leżeliśmy obok siebie, sztywno i w milczeniu, oboje wiedzieliśmy, że to drugie nasłuchuje, kiedy rozlegnie się pierwszy rozdzierający jęk z wózka. Jak w fotelu

dentystycznym, nie sposób było się odprężyć, bo czekaliśmy na ten moment, kiedy wiertło zaatakuje ząb — na ten pierwszy rozdrażniony okrzyk oznajmiający, że łzawa histeria dziecka znowu się zaczyna. Kiedy ten okrzyk się rozległ, nic nie powiedziałem, lecz poczułem, że Catherine szarpnęła się obok mnie. Nie była niczyja kolej, toteż kiedy jęki stały się częstsze i bardziej natarczywe, żadne z nas nie zmieniło beznadziejnie optymistycznych pozycji do snu, jak para próbująca się opalać w ulew-  
nym deszczu.

— Spróbujmy dać mu się wypłakać — powiedziałem, gdy płacz przeszedł w regularne wycie.

— Nie mogę tego zrobić, kiedy ty pracujesz, a ja jestem tutaj sama.

— Ale dzisiaj jestem, więc niech to będzie noc, kiedy Alfie się nauczy, że nie zawsze będziemy do niego biegali.

— Nie mogę.

— Tylko do za dziesięć czwarta.

Kiedy to powiedziałem, zegar wskazywał 3.42. Wstałem i zamknąłem drzwi, żeby Millie znowu się nie obudziła. Catherine się nie odezwała, tylko leżała twarzą w stronę rozjarzonego cyfrowego wyświetlacza radiobudzika, a mały emitował napięte, pozbawione tchu wrzaski.

Po czasie, który wydawał się wiecznością — 3.43 — Catherine z wściekłością schowała głowę pod poduszkę. Myślę, że zamierzała mi w ten sposób coś przekazać, bo zauważyłem, że trochę uniosła poduszkę z jednej strony, aby dalej móc słuchać płaczu Alfiego. Sądziłem, że wskazówka głośności u dziecka znalazła się już na czerwonym polu, że maleńkie płuca i mikroskopijne struny głosowe więcej z siebie nie wykrzeszą, ale o 3.44 wrzask nagle przeszedł w kwadrofoniczny hiperdźwięk, o zdwojonej mocy, wściekłości i głośności. Gdyby to był spektakl „światło i dźwięk”, w tym momencie wystrzeliłyby fajerwerki i chór by wstał. Skąd Alfie nagle wziął taką energię? Skąd on czerpie wytrwałość i determinację o tej porze nocy, kiedy jego rodzice, dwadzieścia razy od niego ciężsi i silniejsi, już od paru godzin najchętniej

poddaliby walkę? Teraz zrozumiałem, dlaczego matki się martwiły, że duża metalowa zapinka pieluchy rozpięła się i kłuje dziecko w biodro do żywego mięsa, takie bowiem natężenie bólu wyrażał Alfie. Nawet ja się martwiłem, że agrafka przebiła mu skórę, chociaż używaliśmy pieluszek jednorazowych.

Wściekły skowyt trwał przez całą 3.45, ani trochę nie cichnąc, lecz nastąpiła zmiana biegu i hałasy zrobiły się krótsze, bardziej chaotyczne. Były to pełne napięcia, bólu i niezrozumienia krzyki, które mówiły: „Matko, matko, czemuś mnie opuściła?” Chociaż Catherine była odwrócona do mnie plecami, domyślałem się, że też płacze. Próbowałem ją namówić, żeby pozwoliła małemu się wypłakać w pierwszych kilku miesiącach, kiedy jeszcze karmiła piersią. Kiedy dziecko wyło, Catherine siedziała na łóżku — z jej oczu spływały po policzkach łzy, a mleko tryskało w pawłowowskim odruchu z piersi. W tej fazie sugerowałem, żeby wzięła dziecko, z obawy, że Catherine całkiem się odwodni.

Gdyby się teraz okazało, że płacze, czułbym się winny. Torturowałem moją żonę. W środku nocy przyprowadziłem tę biedną matkę do ciemnego pokoju i zmusiłem ją do słuchania, jak jej dziecko wrzeszczy i wije się jak na mękach. Wrzaski małego doprowadzały mnie do szaleństwa i furii, serce mi nie pękało tak jak z pewnością pękało Catherine. Teraz było widoczne, jak wielki ból sprawia jej słuchanie płaczu Alfiego, ale nie potrafiłem czuć tego, co ona czuła. Byłem w stanie cofnąć się o krok, wyłączyć tę część mózgu, która rejestrowała fakt, że nasze dziecko cierpi, a teraz zmuszałem Catherine, żeby spróbowała zrobić to samo. Próbowałem zrobić z niej istotę bardziej podobną do mężczyzny. Być może była to moja podświadoma zemsta. W ciągu dnia ona budziła we mnie poczucie, że powinienem być bardziej jak kobieta, że powinienem tak jak ona instynktownie rozumieć wszelkie nastroje i potrzeby dziecka. Dzień bezapelacyjnie należał do niej, lecz teraz, w nocy, przyszła kolej na mnie. Kazałem jej wcześniej przeczytać te fragmenty książek, w których moje zdanie znajdowało poparcie; pokazałem jej czarno na białym, że mam rację: nie powinna pędzić do dziecka, jak tylko

zapłacze, że powinna spróbować zhardzieć, przywiązać się do masztu i znosić łkania swego uczącego się samodzielnie zasypiać maleństwa. Ale chociaż Catherine była gotowa zaakceptować tę abstrakcyjną koncepcję w teorii, nie potrafiła jej wdrożyć w praktyce.

Nareszcie znalazła się sfera rodzicielstwa, w której byłem lepszy od niej. Nareszcie znalazło się coś, co ja potrafiłem, a ona nie. Być może jest trochę paradoksalne, że dziedzina, w której byłem ekspertem, polegała na tym, żeby pozwolić dziecku wypłakać się w wózku, ale potrzebowałem czegoś, w czym czułbym się dobry i nareszcie to miałem. W beczynnym leżeniu na łóżku byłem lepszy od Catherine. To odwrócenie ról było bardzo subtelne i mogłoby przejść nie zauważone, gdyby nie zostało podkreślone, toteż o 3.46 delikatnie i ze współczuciem spytałem, czy daje sobie radę.

— Tak — warknęła zirytowana protekcjonalnym potraktowaniem.

— Wiem, że ci ciężko — ciągnąłem moim najbardziej pocieszającym i rozumiejącym głosem — ale niedługo będziesz zadowolona, że cię nakłoniłem do tej metody. — Nie zareagowała, więc wyłożyłem kawę na ławę: — Spróbuj być silna. Na dłuższą metę dziecku to też wyjdzie na dobre.

Potem zdarzyło się coś potwornie niesprawiedliwego. Catherine się ze mną zgodziła.

— Wiem. Masz rację. Musimy go przetrzymać.

— Co? — spytałem skonsternowany.

— Nie może tak być każdej nocy. Mały robi ze mnie ludzkiego wraka. Musimy nad nim zapanować.

Oczekiwałem czegoś zupełnie innego. Sądziłem, że Catherine zaraz wyskoczy z łóżka, podbiegnie do dziecka i powie: „Przepraszam, Michael, nie jestem taka silna jak ty. Nic na to nie poradzę. Przepraszam”.

Próbowałem zachować swoją pozycję twardszego z rodziców.

— Nie będę miał do ciebie pretensji, jeśli nie wytrzymasz i go weźmiesz.

— Nie! — pozostała nieugięta. — Musimy być silni.

— Jesteś bardzo dzielna, Catherine, ale wiem, że chcesz pójść go wziąć.

— Nie, nie zrobię tego. Musimy go przetrzymać.

— Chcesz, żebym ci go przyniósł?

— Ani mi się waż! Niech płacze.

Leżałem i słuchałem skowytu dziecka, a ponieważ zabrano mi resztkę dumy i poczucia wyższości, miałem ochotę się do niego przyłączyć.

Alfie rzeczywiście nauczył się sam zasypiać, co napełniło nas poczuciem triumfu, jakby dokonał się jakiś wielki przełom. Godzinę później odnieśliśmy wrażenie, że zupełnie zapomniał wyuczoną lekcję i że trzeba ją jeszcze raz powtórzyć. Zmienialiśmy się przy pchaniu wózka od ściany do ściany sypialni, zdiagnozowaliśmy kolkę, wiatry i wszystkie inne dolegliwości, o których przeczytaliśmy na wystrzępionym plakacie w przychodni. Potem nagle wpadliśmy w panikę, że może płacze tak dużo, bo ma zapalenie opon mózgowych, więc zbiegłem na dół po latarkę. Jednym z nieomylnych objawów zapalenia opon mózgowych jest światłowstręt i rzeczywiście, ku naszej zupełnej rozpacz, mały, który przez całą noc leżał w ciemnym pokoju, szarpnął się do tyłu, kiedy zaświeciłem mu w twarz dwustuwatową latarką. Zapalenie opon mózgowych to śmiertelna choroba; zakaźna. Czy Millie też na nią choruje? Pobiegliśmy do jej pokoju i zbudziliśmy ją, żeby jej zaświecić w oczy moim ekstramocnym reflektorkiem. Też szarpnęła się do tyłu. I senność, kolejny objaw! Nasze dzieci mają zapalenie opon mózgowych! Posadziliśmy zdezorientowaną Millie przed telewizorem, żeby sprawdzić w tym czasie w książce inne symptomy — ból głowy, wysoka gorączka, sztywność szyi. Wydawało się, że u żadnego z dzieci objawy te nie występują. A potem sobie uświadomiliśmy, że skoro Millie z ochotą wpatruje się w światło idące od ekranu telewizora, to nie może mieć zapalenia opon mózgowych.

— Chodź, Millie. Do łóżka.

— Kiedy ja oglądam Barneya.

— Wiesz, że nie wolno ci oglądać w nocy telewizji. Dolna warga zaczęła drżeć i Millie się rozpląkała. Trudno nam było nie dostrzec, że chyba wyrządziliśmy jej drobną krzywdę, budząc ją o piątej nad ranem, sadzając przed telewizorem, a potem mówiąc, że nie wolno jej oglądać telewizji. Pozostała do świtu godzinę spędziłem zatem, siedząc z Millie i patrząc, jak banda chorowitych amerykańskich bachorów obściskuje gigantyczną przytulankę — zielono-fioletowego dinozaura.

Śniadanie jedliśmy w napiętej atmosferze. Nie trzeba było porannych nudności Catherine, żeby atmosfera zrobiła się napięta, ale odgłosy rzygania z pewnością jej nie rozluźniły. Oboje osiągnęliśmy stadium takiego rozdrażnienia i braku rozsądku, że byłem przekonany, iż Catherine udaje, aby mi pokazać, że czuje się gorzej ode mnie. W takich momentach mieliśmy potrzebę, aby spędzić trochę czasu osobno, ja chciałem schować się w mojej norze. Ojciec Catherine przerobił szopę na końcu ogrodu na małe biuro, służące mu za prywatne schronienie; mógł tam posiedzieć pogrążony w cichej, spokojnej medytacji, planując następną masakrę stonóg. Miałem jednak dla siebie cały południowy Londyn. Urodzona i wychowana w północnym Londynie Catherine udałaby się na wyprawę w ostępy Balham równie chętnie co na pieszą wędrowkę po Kazachstanie. Posiadała pewne mgliste wyobrażenie o położeniu geograficznym obu tych miejsc, lecz nie miała pojęcia, jakie wizy, mapy i lokalni przewodnicy są potrzebni, żeby się tam dostać.

Byłoby lepiej, gdybym natychmiast udał się za rzekę. Catherine byłaby dużo bardziej zadowolona, mając mnie z głowy. Pozostawało jednak kilka codziennych spraw do załatwienia: chciałem przynajmniej zrobić mleko dla małego, potem musiałem znaleźć ładowarkę do telefonu i kilka innych drobiazgów, a następnie musieliśmy odbyć sakramentalną awanturę małżeńską. Awantura ta zbliżała się z przygnębiającą nieuchronnością singla bożonarodzeniowego Cliffa Richarda.

— Wyrównaj nożem — powiedziała, kiedy odmierzałem mieszankę.

— Co?

— Każą wyrównać nożem, żeby ilość dokładnie się zgadzała.

— Catherine, co takiego może się stać, jeśli mleko będzie o ułamek procenta gęściejsze lub rzadsze? Alfie się zatruje? Umrze z głodu?

— Stosuj się do instrukcji — powiedziała uszczypliwym tonem.

— Chcesz powiedzieć, że mam się stosować do twoich instrukcji.

Dlaczego nie możesz mi zaufać, że odmierzę kilka zasranych łyżeczek mieszanki, i nie pilnować mnie jak jakiś pieprzony sęp?

I zaczęło się. Nikt nie ponosił winy za tę kłótnię, było to po prostu nieuniknione spięcie pomiędzy wykończonymi małżonkami gnieźdzącymi się w maciupkim domku, jak kury noski zbyt długo zamknięte w ciasnej klatce. Po chwili nieporadnie przerzucaliśmy całą nagromadzoną złość i frustrację. Ja miotałem w nią wulgaryzmami, a ona cisnęła we mnie dużą książką w miękkiej oprawie. Był to *Troskliwy rodzic*, przeleciał obok mnie i trafił Millie w nogę. Millie miała zaskoczoną minę i bawiła się dalej, ale ja urządziłem taki spektakl współczucia, że postanowiła mimo wszystko sobie popłakać. Mogłem dzięki temu zmierzyć Catherine nienawistnym spojrzeniem i powiedzieć: „Popatrz, co zrobiłaś”. Potem, dla pokazania, że to ja jestem troskliwym rodzicem w tym małżeństwie, posadziłem naszą niepocieszoną córeczkę w fotelu i zacząłem jej czytać książkę Beatrix Potter:

— „Tylko nie pobrudźcie ubranek, dzieci!” — powiedziała pani Tabita Raptusińska. A Tomek Kociak dodał: — „Zawsze jesteś taka cholernie humorzasta, że nie wiem. Jesteś jedyną kobietą na świecie, która potrafi mieć napięcie przedmiesiączkowe przez dwadzieścia osiem dni w miesiącu, do cholery jasnej”. — Millie zrobiła taką minę, jakby nie przypominała sobie tego fragmentu, ale uspokoiła się, kiedy podjąłem lekturę: — „Musicie chodzić na tylnych łapkach...”.

Spór jak zawsze miał konstrukcję symfoniczną, w każdej części pojawiały się motywy przewodnie, które zbiegały się

w części ostatniej. Catherine powiedziała, że nigdy jej o niczym nie informuję, że nigdy nie mówię o swojej pracy i o swoich planach. Ja jej na to, że cokolwiek robię z dziećmi, to jest zawsze źle, że wiecznie się mnie czepia i nie pozwala mi nic zrobić po swojemu. Zatrzęsło mną. Nie mogłem na nią patrzeć, więc z wściekłością zająłem się myciem jakichś plastikowych talerzy, wyładowując w ten sposób nagromadzony we mnie gniew. Nagle zorientowałem się, że Catherine już je umyła, ale nie przerwałem pracy, mając nadzieję, że Catherine tego nie zauważy.

— Już umyłam te talerze — poinformowała mnie.

W końcu mi powiedziała, żebym się wynosił do pracy, a ja nieprzekonująco stwierdziłem, że zamierzam jeszcze trochę pobyc w domu, żeby jej pomóc.

— Po co? — spytała, kiedy wkładałem kurtkę.—I tak muszę wyjść, pochodzić po sklepach, kupić mieszankę, zabrać Millie do żłobka i tak dalej. To wszystko takie cholernie nudne.

— Ale nie musi być nudne. Kupiłem ci walkmana Sony, żebyś mogła sobie posłuchać Radio 4, kiedy zabierasz dzieci na huśtawki, ale ty go prawie nie używasz.

— To nie tak, Michael. Nie możesz natychmiast rozwiązywać moich problemów, jakby to był jakiś cholerny teleturniej. Nie chcę, żebyś próbował wymyślić jakiś sposób na moją nudę. Wolałabym, żebyś czasem ponudził się razem ze mną.

Pomysł wydał mi się tak dziwny, że zabrakło mi słów. Chciała, żebym ponudził się razem z nią. Kobieta, która zawsze miała takie genialne poczucie humoru. Kobieta, która powiedziała holenderskiemu autostopowiczowi, że jestem kompletnie głuchy, a przez następną godzinę usiłowała mnie rozśmieszyć, mówiąc mu, jaki jestem beznadziejny w łóżku. Chciałem odzyskać tamtą Catherine; chciałem ją uratować przed sępami i wrócić do dni, kiedy pragnęliśmy spędzać ze sobą każdą sekundę życia. Teraz byliśmy jak dwa magnesy, jednymi stronami się przyciągaliśmy, a drugimi odpychaliśmy. Na przemian adoracja i uraza.

Kiedy byłem już gotowy do wyjścia, zadała mi kolejny dotkliwy cios.



— Michael, nie przeszkadza mi, że nigdy cię tu nie ma, ale przeszkadza mi, że nie chcesz tu być.

Skąd ona miała czas, żeby leżeć bezsennie i wymyślać takie riposty? Atak był dla mnie jedyną możliwą formą obrony.

— To bardzo niesprawiedliwe — odpaliłem, podnosząc głos, aby dać jej do zrozumienia, że tym razem to już przeholowała. — Myślisz, że z własnego wyboru tak mało widuję się z dziećmi? Myślisz, że nie pędzę do nich, kiedy tylko mogę? Myślisz, że nie czuję się nieszczęśliwy, kiedy kładę się o trzeciej nad ranem do łóżka i wiem, że nie zobaczę, jak się budzą? Nie widuję ich tyle co ty, bo muszę wychodzić do pracy. Muszę pracować dzień i noc, żeby utrzymać żonę i dwójkę dzieci i spłacać kredyt hipoteczny, na który ledwo nas stać. A kiedy ty chcesz mieć zmywarkę, hokus-pokus i pojawiają się pieniądze albo nowe ubrania, albo wakacje, albo idiotyczny bidet, który kosztował czterysta funtów, ale używany jest tylko jako pojemnik na gumowe zabawki do kąpieli. Pieniądze zawsze się znajdują, a znajdują się dlatego, że ciężko na nie pracuję. — Byłem autentycznie nakręcony i teraz z kolei Catherine zaniemówiła. — Wiesz, nie jest łatwo iść do studia w stanie kompletnego wyczerpania i pracować przez trzydzieści sześć godzin, żeby zmieścić się w terminie, pisać jeden kawałek i wymyślać inny, pracować samotnie w ciasnym studiu po drugiej stronie miasta, przespać się jak student na rozkładanym łóżku, po to, żeby móc wstać i tyrać dalej. Ale muszę to robić, żeby było nas stać na przyzwoity poziom życia, żebyśmy mogli nakarmić i ubrać nasze dzieci, żebyśmy mogli utrzymać ten dom. Muszę pracować tak ciężko, bo inaczej byśmy zbankrutowali.

Podniosłem z podłogi torbę i ruszyłem triumfalnie do wyjścia. Na macie w przedpokoju leżała koperta, której kształt i rozmiar znałem już na pamięć. Schyliłem się i włożyłem ją pospiesznie do torby. Bez otwierania wiedziałem, co tam jest napisane. Było to kolejne ostrzeżenie z banku. Chcieli wiedzieć, dlaczego od czterech miesięcy nie były płacone raty kredytu hipotecznego.

## Rozdział 4

### BO JESTEM TEGO WART

W taki czy inny sposób zawsze budziły mnie dzieci. Radiobudzik wskazywał 3:31 i przez moment nie byłem pewien, czy chodzi o rano czy popołudnie, ale hałas, który robiły odbierane przez rodziców dzieci przed szkołą przekonał mnie, że jednak chodzi o popołudnie. Dziecko musiałoby być bardzo nadpobudliwe, żeby ktoś zostawił je w szkole do wpół do czwartej w nocy. Chociaż znowu pobiłem własny rekord długości snu, czułem, że potrzebuję jeszcze dwunastu godzin. Kiedy przez wiele dni właściwie nie zmrużyło się oka, potężna dawka snu sprawia, że jeszcze bardziej się go pragnie. Cały ten odpoczynek pozbawił mnie sił, czułem się zmęczony i otepiały, jakby mnie rozbudzono ze znieczulenia ogólnego. W jaki sposób Śpiąca Królewna potrafiła po stu latach siedzieć z takim promiennym uśmiechem na twarzy, pozostaje dla mnie tajemnicą. Naciągnąłem sobie kołdrę na głowę i usiłowałem znowu zasnąć.

Jeże fajnie to sobie wymyśliły. Kiedy czują, że przyszła pora na solidną drzemkę, znajdują wielką kupę patyków i liści i wpełzają pod spód. Szkoda, że to się z reguły dzieje około piątego listopada, ale ogólna zasada jest rozsądna. „Dlaczego ludzie nie mogą zapaść w sen zimowy?” — zastanawiałem się. Kładlibyśmy się do snu pod koniec października, przesypiali święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok i wstawali koło połowy marca, nastawiwszy wcześniej radiobudzik. Gdyby wciąż padało, wciskalibyśmy guzik czuwania i leżeli jeszcze przez parę tygodni, wstając akurat na czas, żeby zobaczyć końcówkę sezonu piłkarskiego. „Jobra — pomyślałem—spróbuję teraz to zrobić”. Niestety, nic z tego, byłem całkowicie rozbudzony. Usiadłem na łóżku i włączyłem czajnik.

Przypomniałem sobie nadgodziny snu, które miałem w wieku szesnastu, siedemnastu, osiemnastu lat. Tak beztrąsko je roztrwonilem. Gdybym tak mógł je zdeponować w banku snu, zaoszczędzić na nową emeryturę do późniejszego wykorzystania. „Michael! Wstawaj!” — wołała moja matka z dołu. Przez pierwsze kilka

lat próbujemy nakłonić dzieci, żeby zostały w łóżku, a potem, niepostrzeżenie, zmieniamy taktykę i próbujemy je z niego wywabić. Trudno jest wymyślić okres w życiu, kiedy odpowiednio rozwiązujemy kwestię snu. Małe dzieci budzą się za wcześnie, nastolatkom w ogóle się nie budzą, świeżo upieczeni rodzice prawie nie śpią, bo dzieci hałasują, a kilka lat później rodzice nie kładą się do łóżka, bo ich dzieci nie wróciły na noc do domu i nie hałasują. Potem, na starość, zaczynamy budzić się tak wcześnie jak w dzieciństwie, aż wreszcie zasypiamy na wieki. To ostatnie niekiedy brzmi całkiem pociągająco, tyle że na pewno pochowałiby mnie koło jakiegoś przedszkola i byłbym budzony z martwych przez bandę bachorów wrzeszczących, płaczących i skaczących po mnie o wszelkich możliwych godzinach.

Zrobiłem sobie herbatę i włączyłem telewizor, przerzucałem kanały, próbując znaleźć jakieś reklamy. Jak zawsze reklamy były za często przerywane programami. Najpierw trafiłem na pomyslową interpretację *Summertime* George'a Gershwina — epigon Paula Robesona śpiewał: „Somerville — i zakupy są łatwe. Mnóstwo miejsca do parkowania i niskie ceny”. Potem była reklama szamponu, w której francuski piłkarz tłumaczył, dlaczego używa L'Oréal. „Bo jestem tego wart”. Ja z tego samego powodu wciąż leżę w łóżku o wpół do czwartej po południu: bo jestem tego wart. Bo mogę sobie na to pozwolić, bo nie ma w tym nic złego. W reklamie spółdzielni budowlanej powiedzieli: „Pamiętaj, że możesz stracić dom, jeśli zalegasz z ratami”, więc szybko zmieniłem kanał. Zamierzałem szybko spłacić zaległe raty kredytu hipotecznego. To oznaczało, że musiałem przez kilka miesięcy pracować tak ciężko, jak Catherine sądziła, że cały czas pracuję, ale oceniałem, że powinienem zdążyć wyjść na zero przed urodzeniem się dziecka.

Moje myśli wróciły do tematu naszego nie narodzonego dziecka, kiedy oglądałem na BBC2 program Uniwersytetu Otwartego. Dotyczył on jakiegoś debilnego instytutu w Kalifornii, gdzie kobietom w ciąży przyciskano do brzucha tuby i wykrzykiwano przez nie wzory algebraiczne i cytaty z Shakespeare'a.

Z tego, co słyszałem, płód większość czasu spędzanego w macicy poświęca na spanie, ale teraz nawet z tym chcą skończyć. „Nigdy nie jest za wcześnie na naukę” — powiedział nauczyciel. Na przykład nigdy nie jest za wcześnie, żeby się dowiedzieć, że twoi rodzice są kompletnymi wariatami.

„Ale to musi być najzdrowszy sen ze wszystkich — pomyślałem — człowiek leży skulony w tym ciemnym, ogrzewanym łóżku wodnym, stłumione tętno bębni hipnotycznie, wszystkie troski świata zewnętrznego jeszcze nie zaczynają się kłębić w podświadomości”. Wszystko zapewnione; nie ma potrzeby opuszczać tego komfortowego i bezpiecznego gniazdka. Czy o to w tym wszystkim chodziło? Czy moja tajna kryjówka w największej głuszy południowego Londynu stanowiła próbę powrotu do przyjemnej prostoty, w jakiej żyłem przez dziewięć miesięcy przed narodzinami? Znowu się położyłem i zwinąłem swoje nagie ciało do pozycji płodowej, po czym zdałem sobie sprawę, że w tej właśnie pozycji lubię zasypiać. W moim ciemnym, przytulnym schronieniu było wszystko, czym dysponowałem w moim pierwszym miejscu do spania. Oczywiście nie dosłownie. W macicy matki nie było dużego plakatu z zespołem Ramones przyklepionego plasteliną, ale w sensie praktycznym i filozoficznym ta mała jaskinia była sztuczną macicą, którą dla siebie stworzyłem. Koło łóżka wisiała pępowina splecionych kabli — od elektrycznego koca, który mnie ogrzewał, od czajnika, który dostarczał mi płynów, od lodówki, z której czerpałem pożywienie. Basy z wieży Jima pulsowały rytmicznie przez ścianę, a światło dzienne sączące się przez wzorzyste czerwone zasłony nadawało różową barwę mojemu oknu. Jediną ucieczką przed tyranią małych dzieci było cofnięcie się do stanu prenatalnego.

Powiedziałem sobie, że fakt, iż rodzina czasem mi ciąży, nie powinien budzić we mnie wyrzutów sumienia. Uspokajałem sam siebie, że to, co robię, nie jest gorsze od zachowań innych mężczyzn z mojego pokolenia. Niektórzy ojcowie zostają w pracy znacznie dłużej, niż naprawdę muszą. Niektórzy ojcowie przez cały tydzień pracują, a w weekendy grają w golfa. Niektórzy

ojcowie natychmiast po powrocie do domu siadają przed komputerem i spędzają tak cały wieczór. Ci mężczyźni żyją dla swoich rodzin w nie większym stopniu niż ja, aleja przynajmniej się nie oszukuję w tej kwestii. Sprawa była bardzo prosta: na razie wszyscy mieli się lepiej, jeśli ja nie siedziałem cały czas w domu. Problem w tym, że im mniej byłem w domu, tym gorzej się tam spisywałem i tym mniejszą miałem ochotę tam być.

We wszystkich reklamach, do których aranżowałem muzykę, rodziny zawsze były szczęśliwe i bardzo przyjemnie im się razem spędzało czas. Chociaż pracowałem w tej branży, do tej pory nie rozumiałem, jak bardzo jest załgana. Oczywiście wiedziałem, że Lite'n'Lo nie jest pyszną alternatywą dla masła, ale nie przyszło mi go głowy, że zakłamate są również szczęśliwe, uśmiechnięte dzieci i promienni rodzice siedzący razem z nimi przy stole. Gdyby to było moje dzieciństwo, mama wzięłaby nóż do masła i wygrażałaby nim ojcu.

Reklamy mówiły, że można mieć wszystko naraz, że można być supertatusiem, a jednocześnie jeździć w zimie na desce, zarabiać kupę forsy i wyskoczyć z zebrania, żeby opowiedzieć dzieciom bajkę na dobranoc przez komórkę. To jednak niemożliwe. Praca, rodzina i ja — kostka Rubika bez rozwiązania. Nie można być zaangażowanym, wrażliwym ojcem, bezwzględnym, zarabiającym krocie biznesmenem, społecznikiem udzielającym się lokalnie, umiejącą wszystko w domu naprawić złotą rączką i romantycznym, czułym małżonkiem — któraś działka musi ucierpieć. W moim wypadku ucierpiały wszystkie.

I na dodatek miałem jeszcze jeden powód, dla którego narazie nie bardzo mi się chciało spędzać dużo czasu z dziećmi. Jeszcze żadna matka ani ojciec nie mieli odwagi przyznać się do tego, że wszyscy nawzajem skrywamy przed sobą tę tajemnicę, bo się boimy, że zostaniemy uznani za złych rodziców:

Małe dzieci są nudne.

Wszyscy udajemy, że najdrobniejsze niuanse w zachowaniach naszego potomstwa są cudowne i fascynujące, lecz okłamujemy sami siebie. Małe dzieci są nudne; znudzenie to spoczywa w naj-

skrytszych zakamarkach serca każdego rodzica. Ja chcę się ujawnić, stanąć na najwyższej trybunie w tym kraju i obwieścić światu: „Małe dzieci są nudne”. Wszyscy rodzice mieliby zaszokowane i urażone miny, po raz setny bawiąc się ze swoim berbeciem na huśtawce, lecz w środku spadłby im kamień z serca, że nie są sami. Całe poczucie winy, które odczuwali z tego powodu, że nie cierpią spędzać całego ogłupiającego dnia ze swoimi dwulatkami, nagle by się rozplynęło, gdyby zdali sobie sprawę, że nie są złymi, nie kochającymi rodzicami; że winę ponoszą ich dzieci; że ich dzieci są nudne.

Nigdy wcześniej nie musiałem godzić się z monotonią. Jeśli nie czułem się dobrze na wakacjach, to wracałem do domu. Jeśli film na wideo mnie nudził, przewijałem go do przodu. Żałowałem, że nie mogę wycelować pilotem w dzieci i przyspieszyć tempa ich rozwoju o parę lat; wiedziałem, że w wieku czterech czy pięciu lat staną się bardziej interesujące. Catherine była cierpliwsza ode mnie; nie przeszkadzało jej, że musi poczekać kilka lat, aby zwrócił jej się cały ten czas i miłość, którą zainwestowała w zajmowanie się dziećmi.

Począpałem do ubikacji i zamierzałem sennym ruchem podnieść deskę, ale przypomniałem sobie, że w tym domu mam już za sobą fazę zwlekania się z łóżka. Usiłowałem nie myśleć o Catherine. To miał być mój czas wolny. Mocz wydzielał siarczaną, stęchlą woń, która mi przypomniała, że poprzedniego wieczoru jadłem szparagi. Catherine, która ugotowała dla mnie kolację, wiedziała, że uwielbiam szparagi. Nawet sikanie mi o niej przypominało.

Domyślałem się, że tego dnia, podobnie jak w większość dni, zobaczy się z jedną z matek, którą poznała w komunalnym przedszkolu Millie. Catherine opisała mi wszystkie te zróżnicowane gatunki mamy. Typ pierwszy to targana wyrzutami sumienia matka robiąca karierę, tak entuzjastyczna w dniu, w którym mogła przyjść do przedszkola, że kompletnie wszystkich zagłuszała przy śpiewaniu: „Koła autobusu kręcą się i kręcą”. Typ drugi to kobieta, która zrobiła oszałamiającą karierę w biznesie, ale

potem się nawróciła i poświęciła macierzyństwu w tym samym duchu fanatycznego współzawodnictwa. Zamiast regularnie awansować, po prostu co roku rodziła kolejne dziecko, co pozwalało jej się wywyższać nad wszystkie kobiety wokół siebie. Typ trzeci to matka szatana, całkowicie nieświadoma, że powiła najbardziej diaboliczne stworzenie we wszechświecie — beztrąsko z tobą gawędziła, podczas gdy jej dwulatek walił twoje dziecko po buzi, po czym stwierdzała, jak gdyby nigdy nic: „Bardzo fajnie się ze sobą bawią”. Typ czwarty to ekomama, cicho i łagodnie tłumaczająca swojemu czteroletniemu dziecku, dlaczego nie powinno mówić z pełnymi ustami, kiedy ssie jej pierś.

Catherine skumpłowała się z nimi wszystkimi. Nie mogłem wyjść z podziwu, że kobiety tak łatwo się ze sobą zaprzyjaźniają. Kiedy ja byłem na placu zabaw, to zauważyłem, że uczestniczę w rozbudowanych ojcowskich kontredansach, polegających na tym, że usiłowałem dyskretnie odciągnąć swoje dzieci od dzieci nadzorowanych przez ojców, aby uniknąć kłopotliwej sytuacji, w której musielibyśmy wymienić spostrzeżenia na temat pogody. Nawet jeśli komunikowanie się było nieuchronne, nie mówiliśmy do siebie wprost, lecz za pośrednictwem dzieci. Jeśli więc Millie celowo blokowała zjeżdżalnię, moje przeprosiny adresowane do drugiego ojca brzmiały następująco: „Zjedź na dół, Millie, żeby dziewczynka też mogła się pobawić”.

Drugi ojciec dawał mi znać, że nie ma pretensji, słowami: „Nie popychaj dziewczynki, Ellie. Pozwól jej zjechać, kiedy będzie gotowa”. Nigdy nie dochodziło do konieczności nawiązania kontaktu wzrokowego pomiędzy dwoma dorosłymi mężczyznami. Tymczasem w innej części placu zabaw żona tego człowieka i moja dyskutowały o tym, jak szybko po porodzie odbyły stosunek seksualny.

Teraz stwierdziłem, że utrzymuję stosunki towarzyskie ze wszystkimi parami, które poznaliśmy przez nasze dzieci. Catherine i matki pyłowały bez końca, nasze dzieci były w tym samym wieku i bawiły się razem przeszczęśliwie, natomiast inni ojcowie i ja nie mieliśmy ze sobą absolutnie nic wspólnego. W ubiegłą

niedzielę byłem zmuszony porozmawiać z niejakim Piersem, który relaksował się w weekendy w ten sposób, że wkładał blezer.

— Jak oceniasz trakcję w astrze, Michael?

Zauważył, że Catherine i ja przyjechaliśmy do ich domu vauxhallem astrą, uznał więc widocznie, że będzie to dobry temat do nawiązania rozmowy.

— Trakcja? Wiesz, ja nigdy za dobrze nie rozumiałem, co to znaczy. Co to właściwie jest trakcja w samochodzie? Mnie się to kojarzy wyłącznie z koleją.

Pierś spojrzał na mnie jak na człowieka opóźnionego w rozwoju i pociągnął kolejny łyk ze swojego spersonalizowanego kufla do piwa, zanim pofatygował się mnie oświecić.

— Jak się trzyma drogi?

A więc o to chodzi. Przedziwne pojęcie. Pierś mnie pyta, jak nasz rodzinny samochód „trzyma się drogi”. Dzięki grawitacji. „To nie może być właściwa odpowiedź” — pomyślałem. Musiałem coś przeoczyć. Mój samochód robił wszystko, co mu kazałem. Kiedy skręciłem kierownicą w lewo, jechał w lewo, kiedy skręciłem kierownicą w prawo, jechał w prawo.

— Świetnie — powiedziałem. — Naprawdę bardzo dobrze. No, poczciwa stara astra świetnie trzyma się drogi.

— Co masz, SXi, 1.4 LS...?

— Hm?

— Który model astry?

Chciałem powiedzieć: „Posłuchaj, nie wiem, który mam model, i gównie mnie to obchodzi. Wiem, że mam samochód, że z tyłu są dwa foteliki dla dzieci i mnóstwo plam po rozlanym mleku na tapicerce, a do odtwarzacza jest na stałe włożona kasetka Disneya z piosenkami dla dzieci”.

— No, nie za bardzo się znam na technicznej stronie samochodów — przyznałem z pokorą i Pierś spojrzał na mnie tak, jakbym niedawno zawitał w społeczeństwie zachodnim z jakiegoś zapomnianego polinezyjskiego plemienia.

— To proste — masz wtrysk paliwa czy nie? „I” oznacza wtrysk paliwa.



Nastąpiła przerwa. Codziennie otwierałem bagażnik, ale nie mogłem sobie przypomnieć, jakie litery tam widywałem. SXi brzmiało dosyć prawdopodobnie, ale LS też. Jaki mam model astry? Musiałem coś powiedzieć.

— Millie, nie wrywaj jej! — zawołałem i podbiegłem odebrać Millie lalkę, którą córka Piersa dobrowolnie jej dała.

— Kiedy ona mi ją dała — powiedziała Millie ze skołowaną miną.

— Naprawdę, Millie. Spróbuj bawić się grzecznie. Chodź, poprosimy Hermione, żeby nam pokazała wszystkie zabawki, jakie ma w swoim pokoju.

Poszedłem na górę z dwiema dwulatkami, zerkając na drugiego tatę z niby-cierpiętniczą miną pod tytułem: „Ech, te dzieci”, po czym siedziałem w pokoiku dziecięcym przez czterdzieści minut, żeby nie musieć rozmawiać z dorosłymi na dole.

— Jest bardzo miła, prawda? — powiedziała Catherine podczas jazdy powrotnej trzy godziny później. — Zaprosiłam ich do nas na lunch w następny weekend. — Usłyszawszy moje wyrażające zmęczenie życiem westchnienie, dodała: — To mi się w tobie podoba, Michael. Dla ciebie nie ma obcych ludzi, tylko znajomi, których jeszcze nie zacząłeś nie cierpieć.

Dobrze jej się mówiło. Kobiety zawsze były miłe, tyle że mężów miały nieciekawych. Slalomowała między samochodami w obłąkanym tłoku na Camden Road.

— Jak oceniasz trakcję w astrze? — spytałem.

— Że co?

— Nasz samochód nazywa się astra. Jak oceniasz jego trakcję?

— O czym ty gadasz, nudziarzu?

Poczułem ulgę: ożeniłem się z właściwą kobietą.

Nie wyobrażałem sobie, żeby mogła wyniknąć jakaś przyjaźń z rodzinami poznawanymi przez Catherine w przedszkolu Millie, chociaż byłem trochę zdeprimowany, kiedy się dowiedziałem, że w któryś niedzielny wieczór Piers i inni tatusiowie poszli razem na piwo, a mnie nie dano nawet szansy na to, żeby się z nimi nie

zaprzyjaźnić. Wybierałem sobie ludzi do spędzania czasu na tej samej zasadzie co ubrania. Rano na krzesle obok łóżka leżały dzinsy i bluza, więc wkładałem dzinsy i bluzę. Na krzesłach w pokoju obok siedzieli Simon, Paul i Jim, więc spędzałem resztę dnia z nimi. Nie było kwestii, co lubię czy co mi najbardziej odpowiada, lecz co wymaga najmniej kłopotu. Znajomi płci męskiej po prostu zjawiali się w moim życiu, a potem znikali, kiedy mijał powód do widywania się z nimi. Często pracowałem z gośćmi, których naprawdę lubiłem, chodziliśmy razem do pubu i tak dalej. Gdyby nas ktoś o to zapytał, to mieliśmy zamiar pozostać ze sobą w kontakcie, ale nie można po prostu zadzwonić dwa miesiące później i spytać: „To jak, poszedłbyś na drinka?” Mogliby powiedzieć, że tego wieczoru nie mają czasu i poczułbym się głupio.

Więc w tym momencie moimi najlepszymi przyjaciółmi byli trzej współlokatorzy mojego mieszkania.

— W porządku? — mruknąłem, wchodząc do salonu.

— W porządku — odburknęli wszyscy trzej.

Super było posłuchać, co się u nich w życiu wydarzyło. Przez pewien czas czytałem jakąś przeterminowany brukowiec. Była tam historia o francuskim małżeństwie, w którym mąż i żona mieli ponad sto lat, ale właśnie brali rozwód. Spytano ich, dlaczego się rozchodzą po tylu latach spędzonych razem. Odpowiedź brzmiała, że czekali, aż wszystkie dzieci poumierają.

Ponieważ były ferie wielkanocne, ani Paul, ani Simon nie musieli iść do pracy, więc siedzieliśmy w mieszkaniu, nie mając nic do roboty. Fascynujące było patrzeć, jak pozostała trójka marnuje czas, jakby ten luksus miał się nigdy nie skończyć. Byli znacznie lepsi ode mnie w nicnierobieniu. Leniuchowanie nie wymagało od nich tak wielkiego wysiłku. Jim leżał wyciągnięty na sofie i wyglądało na to, że poprzednie trzy godziny spędził na rozważaniu kwestii, w jaki sposób jego organizm mógłby zaoszczędzić mu czasu. Paul ostentacyjnie czytał pismo dla dorosłych, a Simon siedział przy stole kuchennym i nic nie robił. Było to jego częste zajęcie. Jakby na coś czekał. „Czeka na utratę dziewictwa” — mawiał Jim.

Simon przeniknął tajemnicę wiecznej nastoletności. Czasami bywał taki nieporadny i zażenowany, że nie potrafił mówić normalnymi zdaniem. Wypracował alternatywny sposób komunikowania się, polegający wyłącznie na zadawaniu pytań quizowych. Tego dnia, zamiast powiedzieć: „Cześć, Michael, nie widziałem cię od kilku dni”, z podnieconym uśmiechem wystrzelił:

— Stolica stanu Nowy Jork?

— Albany — odparłem posłusznie, a on wydał z siebie zadowolony pomruk, który miał sugerować, że wszystko jest w porządku z tym najlepszym ze światów.

— Strona B *Bohemian Rhapsody!* — ciągnął.

— *I'm in Love With My Car*. Nie złapiesz mnie na pytaniu z muzyki. Tak się składa, że specjalizuję się w tym temacie.

— Dobra, to która linijka *Bohemian Rhapsody* była tytułem piosenki, która znalazła się na pierwszym miejscu w tym samym roku?

Wpadłem w lekką panikę, usłyszawszy pytanie z muzyki, na które nie znałem odpowiedzi.

— Spadaj. Zmyśliłeś to sobie.

— Nie, to znany fakt — wtrącił się Jim. Próbowałem udawać obojętnego.

— No, nie wiem, yyy, *Scaramouche, Scaramouche* Willa Doo i Fandangos.

— Nie.

— To dotarło tylko do drugiego miejsca — wyjaśnił Jim. Przebiegłem w głowie tekst *Bohemian Rhapsody*, usiłując znaleźć tytuł innego hitu z 1975 roku. Na bank nie było takiej piosenki.

— Poddajesz się?

— Nie, oczywiście że się nie poddaję. — Postanowiłem jednak, że zamiast dalej tracić czas, pójdę do swojego pokoju i trochę popracuję. Godzinę później wyszedłem i powiedziałem:

— Poddaję się.

— Odpowiedź brzmi: *Mamma Mia!* — poinformował mnie triumfalnie Simon.

Oślupiałem. To było nie fair. Wymyśliłbym to, gdybym się trochę dłużej zastanowił.

— Powiedziałeś linijka. To nie jest linijka, tylko zwrot. To się nie liczy.

— Niech żyje król quizu! powiedział Simon z ramionami w górze.

Osobie z zewnątrz mogłoby zaimponować, że Simon tyle wie.

Wiedział, że bitwa pod Malplaquet odbyła się w 1709 roku i że dodo żył na Mauritiusie. Po stronie minusów należało mu jednak zapisać fakt, że nie znał odpowiedzi na pytania typu: „Co zamierzasz w życiu robić?” Nie wiedział, że jego rodzice naprawdę się o niego martwią; nie wiedział, w jaki sposób znajdzie sobie dziewczynę. Nie wiedział nawet, że trochę wonieje. Na szczęście pytanie: „Czy Simon trochę wonieje?” nigdy się nie pojawiło w *500 zagadkach przyrodniczych*, ale gdyby się pojawiło, to byłby znacznie bardziej zmartwiony tym, że nie zna odpowiedzi, niż faktem, że zdaniem wszystkich innych cuchnie jak zawilgły strój do wuefu, który zostawiał w torbie przez całe wakacje letnie.

Paul nie wziął udziału w quizie, lecz kiedy została podana odpowiedź, powiedział: „Racja” i skinął mądrze głową. Być może nie był w stanie uczestniczyć w quizie, bo całą jego energię pochłaniało prawie niemożliwe do wykonania zadanie: tak czytać gazetę, żeby doprowadzić wszystkich do szału. Kiedy podnosił gazetę do oczu, to nie po to, żeby czytać artykuły, lecz żeby oznajmić światu: „Spójrzcie, czytam opiniotwórczą gazetę, nie brukowca”. Milczenie było przerywane pomrukami aprobaty, kiedy chciał dać nam do zrozumienia, że zgadza się z tezą artykułu redakcyjnego, bądź trochę zbyt głośnymi „ts, ts, ts”, kiedy przeczytał jakieś nieprzyjemne wiadomości z Trzeciego Świata. Krzyżówka anagramowa została rozwiązana przy akompaniamencie zadowolonych z siebie pomruków i głębokich egzystencjalnych westchnień.

— Rozwiązujesz krzyżówkę, Paul?

— Co? Aha, tak. Właściwie prawie skończyłem — odparł z wdzięcznością, nieświadomy, że Jim delikatnie go podpuszcza.

- Tę trudniejszą czy łatwiejszą?
- Anagramową. Ta druga jest dla dzieci.
- Ale! — skomentował Jim.

Późne popołudnie nareszcie przerodziło się we wczesny wieczór. Jak zawsze o tej porze Paul zrobił się drażliwy i niespokojny.

— Czy ktoś pomyślał o kolacji? — spytała osoba, która zawsze w końcu gotowała kolację. Wszyscy byli trochę zaskoczeni, że ktoś zastanawia się nad jedzeniem, zanim przyszła na nie pora. Jim spojrzał na zegarek.

— Na razie nie jestem głodny...

— Wierzę ci, ale trzeba kupić jedzenie i zacząć je przyrządzać, zanim się zgłodnieje, żeby było gotowe mniej więcej o tej porze, kiedy się jest głodnym.

Pokój wypełniła obojętna cisza.

— No więc? — spytał w końcu Paul, stojąc przy pustej lodówce.

— Co no więc? — zareagował znów Jim.

— Co będziemy jedli na kolację?

— Eee, no, dla mnie trochę za wcześnie, dziękuję.

— Ja się nie zgłaszam po raz kolejny do gotowania. Ja się pytam, czy ktoś inny pomyślał, że może chociaż jeden raz mnie zastąpi.

Milczenie było dla mnie nie do zniesienia i pierwszy wymię-kłem.

— Dobra, Paul, nie martw się, ja zrobię kolację. Pójdę po rybę z frytkami albo coś.

— To nie jest gotowanie, tylko kupienie ryby z frytkami. Nie mam ochoty na rybę z frytkami.

— Indyjskie? — zaproponowałem wielkodusznie, zważywszy na to, że do restauracji indyjskiej trzeba było drałować kolejne pięćdziesiąt metrów.

— Dlaczego nie możemy zjeść czegoś porządnego, świeżo ugotowanego w naszej kuchni?

Ponownie zapadła cisza, bo nikt nie zgłosił się na ochotnika do tak gigantycznego przedsięwzięcia. Jim przez dwadzieścia

minut rozważał perspektywę stania przy kuchence, po czym powiedział wyczerpany:

— Dla mnie może być ryba z frytkami, Michael.

— Dla mnie też — poparł go Simon.

— Dobra, czyli ryba z frytkami dla trzech osób — potwierdziłem przyjęcie zamówienia.

— No, skoro wy kupujecie jakieś świństwa na wynos, ja będę musiał sobie ugotować makaron albo coś.

Podczas krótkiej chwili ciszy wyczuwałem, jak Jimowi ślinka leci na wzmiankę o niezwykłych potrawach z makaronem autorstwa Paula.

— No, skoro gotujesz dla siebie makaron, Paul, to może mógłbyś dorzucić też dla mnie?

Paul próbował znaleźć słowa, które wyraziłyby jego przekonanie, że to jest nie fair, lecz nie dano mu na to czasu.

— No, ja też chętnie zjem — stwierdził Simon.

— Wielkie dzięki, Paul — powiedziałem.

Z czterech mężczyzn dzielących ze sobą mieszkanie jakimś sposobem wykształciła się tradycyjna rodzina dwupokoleniowa. Nie wiem, jak to się stało ani czy ta metamorfoza następuje w każdej grupie ludzi mieszkających ze sobą razem przez jakiś czas, ale mimowolnie zamieniliśmy się w mamę, tatę i dwójkę dzieci.

Ja byłem chyba starszym synem, niezdecydowanym, skrytym i cichym, nie potrafiącym wstać rano w te dni, kiedy nie przebywał całą noc poza domem. Simon był młodszym dzieckiem, fajtłapowatym i bez wiary w siebie, stale zadającym pytania, żeby zwrócić na siebie uwagę. Paul był cierpliwą mamą męczennicą, sarkającą i zamartwiającą się o wszystkich pozostałych. Jim był tatą, opanowanym, leniwym, tajemniczymi zabawnym. Pewność siebie nabyta w prywatnej szkole z internatem sprawiła, że miał dobrotliwy, paternalistyczny styl bycia, przez co był dla nas wszystkich autorytetem, aczkolwiek czasami czułem się trochę zakłopotany faktem, że człowiek młodszy ode mnie o sześć lat pełni w moim życiu rolę ojca.

Kiedy byłem dzieckiem, nie wiedziałem, skąd tata bierze pieniądze, po prostu zawsze je miał, i tak samo było z Jimem. Jim miał tylko jeden problem z pieniędzmi: wszystkie je wydawał. Kupował mini dyski w miejsce wszystkich kompaktów, które zastąpiły wszystkie płyty winylowe. Kupował elektryczne gadżety, ręcznie robione noże kieszonkowe i nowe obudowy telefonu komórkowego. Uznaliśmy, że pieniądze pochodzą od jego rodziny, ale wszyscy byliśmy zbyt uprzejmi i angielscy, żeby dociekać głębiej, kiedy wymrukiwał wymijające odpowiedzi na komentarze dotyczące jego zapierającej dech fortuny.

Miał dyplom z italianistyki i geografii, chociaż zdawał się pamiętać tylko tyle, że Włochy mają kształt buta. A potem uznał, że przydałby się doktorat, i miał rację. Oszczędzało mu to zakłopotania, kiedy ludzie go pytali, co robi. Jim robił doktorat i miał go robić aż do śmierci. Odkładanie wszystkiego na później mogłoby być dewizą życiową Jima, gdyby nie fakt, że Jim zawsze odkładał na później ustalenie dewizy życiowej. Nieustannie doprowadzał Paula do szaleństwa tym, że nigdy nie chciał zadeklarować udziału w jakimkolwiek wspólnym przedsięwzięciu. W sobotę rano Paul sugerował na przykład:

— Poszedłbyś dzisiaj do National Film Theatre albo coś? Ze swoją arystokratyczną, nonszalancką manierą Jim wzruszał obojętnie ramionami i mówił:

— Zobaczymy, co się stanie.

Paul milkł na chwilę, żeby nie wybuchnąć ze złości, ale kiedy ponownie rzucał ten sam pomysł, w jego głosie słychać było irytację.

— Nic się nie stanie, jeśli po prostu tego nie zrobimy. Pójście do NFT samo się nie stanie, musielibyśmy pojechać do South Bank, kupić bilety, wejść na salę i usiąść. No to jeszcze raz: poszedłbyś dzisiaj do NFT? — spytał ponownie Paul, dodając „albo gdzieś?” z przekorną autoironią.

— No, zobaczymy, jak się dzień ułoży.

— Dzień sam się nie ułoży! Dzień jest bierny! Dzień nie podstawia zasranej taksówki z czterema biletami na *Sokoła maltańskiego*<sup>^</sup>. — wrzeszczał Paul.

Jim odpowiadał mu na to, żeby się nie gorączkował, wszyscy mówiliśmy, zbastuj, uspokój się, czy nawet w sobotę nie można mieć trochę luzu, a on wypadł, trzaskając drzwiami, po godzinie wracał z zakupami żywnościowymi, w które wchodziły precelki, oliwki i dobre czeskie piwo, bardzo przez nas wszystkich lubiane.

To było naprawdę nie fair, że wszyscy lubili Jima, a nikt nie lubił Paula. Paul był nauczycielem w trudnej londyńskiej szkole; przepracowany, źle opłacany i nie doceniany. Jim był uprzywilejowanym próżniakiem, żyjącym z odziedziczonych pieniędzy i w żaden sposób nie wykorzystującym dogodnej pozycji startowej, jaką życie mu podarowało. Mimo to wołałem Jima niż Paula, gdyż bogaty Leser miał poczucie humoru, a spauperyzowany funkcjonariusz publiczny nie miał. Jim umiał mnie rozśmieszyć i choć wstyd się przyznać, to wystarczało, abym mu wszystko wybaczał. Gdybym się urodził w piętnastowiecznych Wołochach, przypuszczalnie broniłbym Włada Palownika z racji tego, że bywa całkiem dowcipny. „Dobra, przyznaję, że nabija na pal całkiem sporo chłopów, ale trudno gościa nie lubić. Znaczy, prosi stolarza, który robi dla niego zaostrzone pale, żeby mu przygotował jeden dodatkowy »jako niespodziankę dla kogoś'«, a potem nadzieja samego stolarza. Dobra, można się zgodzić, że to było trochę wredne, ale czapki z głów, co za fantastyczny gag”.

Do złożonej dynamiki naszych stosunków rodzinnych dochodził muzyczny sojusz między mną a Jimem. Mieliśmy dosyć podobne gusty muzyczne, chociaż on trochę irytująco snobował się na miłośnika jazzu. Ja nie ceniłem jazzu. Muzyka to podróż; jazz to wędrówka bez celu. Lenistwo Jima nie przeszkodziło mu całkiem nieźle opanować gry na gitarze i we dwójkę utworzyliśmy supergrupę, wyzyskującą ogromne złoża muzycznego talentu dostępne w czterech ścianach mieszkania na piętrze przy 140 Balham High Road, London SW12.

Jim powiedział kiedyś, że ten legendarny adres znajdzie się w przyszłości w kalendarium rockowych pielgrzymek, obok takich świętych miejsc jak Graceland i The Cavern. Fani rocka będą się tutaj zjeżdżali i pogrążali w zadumie, tutaj bowiem, w tych



wczesnych dniach, dwóch muzyków walczyło z przeciwnościami, aby stworzyć coś, co później cały świat znał jako „brzmienie z Balham”.

Upłynęło oczywiście wiele lat, odkąd przestałem wierzyć, że zrobię karierę jako gwiazda estrady. W świecie muzyki rockowej pewne są dwie rzeczy. Po pierwsze, wygląd jest ważniejszy niż talent, po drugie, w roku 2525 wznowią singiel *W roku 2525*. Zbliżałem się do trzydziestego piątego roku życia i mój obwód w talii zwiększał się w takim samym tempie, w jakim rzedły mi włosy. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do Kylie Minogue. Wiedziałem, że przemysł rozrywkowy nie będzie zainteresowany takim spasionym tatusiem jak ja, więc Jim i ja nagrywaliśmy razem piosenki wyłącznie dla zabawy. Nie mieliśmy nadziei, że nasze kawałki zostaną kiedykolwiek wydane na singlach. Robiliśmy je dla rozrywki. Miałem jednak dosyć przyzwoity sprzęt nagraniowy, więc pomyślałem, że możemy je wysłać jakiejś firmie fonograficznej, na zasadzie: „co nam szkodzi”. Znaczący, wiedziałem, że nigdy nie zaproponują nam kontraktu, ale nie mieliśmy nic do stracenia, wysyłając nasze kawałki, tak dla jaj. Skoro już o tym mowa, to właśnie tego ranka wróciła taśma z załączoną notką, że w tej chwili wytwórnia nie zajmuje się tego rodzaju muzyką, i w porządku, tego się spodziewaliśmy. Sukinsyny.

Chociaż zrezygnowałem z dawnych ambicji, wciąż zdarzało mi się marzyć, że siedzę przy keyboardzie i nagle dzwoni do mnie facet z działu promocji jakiejś dużej wytwórni.

— Czy rozmawiam z Michaellem Adamsem, tym Michaellem Adamsem, kompozytorem dżingla ciastka serowego Dunkers?

— Tak.

— Pracuję dla EMI i myślę, że ten kawałek ma wszelkie dane po temu, żeby zostać przebojem numer jeden. Gdybyśmy tylko mogli trochę zmienić tekst, zamiast Chińczyka mówiącego: „Ale afera, tyle sera”, żeby młoda dziewczyna śpiewała: „Chcę poczuć twoją rzecz w mojej rzeczy; natychmiast daj mi seks”, to myślę, że mielibyśmy wielki hit, bez pudła.

Wiedziałem, że szanse nie są zbyt duże, ale nie potrafiłem do końca porzucić nadziei, więc komponowałem muzykę, Jim pisał teksty i nagrywaliśmy kawałki w mojej sypialni, lecz historia rock and rolla dalej toczyła się tym samym torem. Zwłaszcza że nagranie ostatecznej taśmy demo było stale odkładane ze względu na ważniejsze rzeczy, takie jak oglądanie telewizji albo zmiana wygaszacza ekranu w laptopie Jima. Zdołałem sprzymierzyć się z kimś, kto miał jeszcze mniejszą motywację do pracy niż ja. Nawet zbijać bąków mu się nie chciało, bo musiałby najpierw sprawdzić, co to znaczy.

Poprzedniego wieczoru uzgodniliśmy jednak, że dzisiaj nagramy dwie nowe piosenki, więc pod koniec dnia zabraliśmy się wreszcie do pracy. Kiedy Jim stroił gitarę, ja usilnie starałem się przerobić sypialnię na studio nagraniowe — pobierałem z podłogi skarpetki, powłączałem wzmacniacze, złożyłem sofę, ustawiłem statywy mikrofonów.

— Jak się nazywacie? — spytał Simon, który kręcił się w pobliżu drzwi do mojego pokoju w nadziei, że pozwolimy mu wskoczyć na pokład.

— Jeszcze nie ustaliliśmy — odparł Jim. — Masz jakieś pomysły?

W głowie uruchomiły mi się dzwonki alarmowe. „O nie — pomyślałem—znowu szykuje się odwieczna debata pod tytułem: »Jak nazwiemy nasz zespół?«" To jedna z tych niebezpiecznych dyskusji, w które pod żadnym pozorem nie wolno się wdawać. Kto raz wdepnie w to bagno, nigdy się z niego nie wydostanie. Fatalne słowa: „jak, nazwiemy, nasz, zespół", wypowiedziane w tej właśnie kolejności z intonacją pytającą, działają jak niewiarygodnie skuteczne zaklęcie, które potrafi sprawić, że całe popołudnie znika.

— Dajcie spokój — powiedziałem. — Nagrajmy to demo. Jak zaczniemy rozmawiać o nazwie, to nic nie zrobimy.

Nastąpiło ogólne kiwanie głowami na znak, że wszyscy odpowiedzialnie zgadzają się z moją sugestią, a potem Jim, który właśnie podpisywał kasetę, spytał:

— Dobra, ale co mam na razie napisać na kasecie?

— No, mnie się dalej podoba Wyrywacze.

— Wyrywacze? Nie, to brzmi zbyt punkowo. Jak Wibratorzy albo Dusiecie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiałem się. — Zapomnij. Nie wciągniesz mnie w to. Na razie napisz po prostu nasze nazwiska. Adams i Oates.

— To brzmi jak Hall i Oates — powiedział Paul, który się przyplątał i udawał, że nie jest zafascynowany procesem nagrywania naszego nowego singla.

— Ludzie sobie pomyślą: „Ale numer! Oates rozstał się z Hallem i znalazł sobie nowego partnera”, a potem się zorientują, że to inny Oates i wywalą kasetę do kosza.

— Dobra, to imiona: Michael i Jimmy.

— To brzmi jak dwaj z Osmondów.

— Basta, basta. Znowu zaczynamy tę dyskusję.

Wszyscy się zgodzili, ja włączyłem sprzęt i gitarę Jima. Zapadła cisza, kiedy piece się rozgrzewały, a ja po chwili zastanowienia zaproponowałem:

— Daj na razie zespół bez nazwy.

Słowa te jeszcze nie zdążyły wyjść mi z ust, kiedy się zorientowałem, że popełniłem błąd. Zamknąłem oczy i czekałem zrezygnowany.

— Zespół Bez Nazwy. Całkiem mi się podoba — powiedział Jim.

W pokoju rozległy się pomruki aprobaty, a ja usiłowałem nic nie mówić, ale to było niemożliwe.

— Nie. Chodziło mi o to, żebyś napisał: „zespół bez nazwy”, co oznacza, że nasz zespół jeszcze nie ma nazwy, a nie że demo przysłała nowa grupa, która nazywa się Zespół Bez Nazwy.

— Zespół Bez Nazwy. Cos w tym jest, nie?

— No. Chwytniwe, co? Musiałem to zdusić w zarodku.

— Przepraszam, ale nie wchodzi w grę, żebyśmy się nazwali Zespół Bez Nazwy. To najgorsza nazwa, jaką w życiu słyszałem.

Simon miał w zanadrzu gorszą.

— A może Zespół Wspomagający?

Rozległ się jęk Jima i mój, bo jako doświadczeni grajkowie wiedzieliśmy, że każdy zespół na świecie w którejś fazie swojego istnienia uważał, że byłoby niesamowicie odjazdowo i oryginalnie nazwać się Zespół Wspomagający.

Nie zgasiło to entuzjazmu Simona.

— No bo widzicie, na każdym plakacie reklamującym koncert jest już wasza nazwa. Możecie przyjść i powiedzieć organizatorom: jesteście Zespół Wspomagający. Widzi pan, nasza nazwa jest na plakacie!

— No, a jak już będziecie sławni, na plakatach napiszą wam Zespół Wspomagający i zespół wspomagający i będziecie musieli grać dwa razy — zaśmiał się Paul.

Cały ten czas Jim i ja kręciliśmy głowami jak dwóch starych wyjadaczy.

— No, ale jak już dorobimy się swoich fanów — wtrącił Jim — to zobaczą „Zespół Wspomagający” na plakacie i pójdą nas posłuchać, a tu się okaże, że nie tylko gramy same nowe piosenki, ale także całkowicie zmieniliśmy skład. Albo zobaczą naszą nazwę na plakacie i uznają, że to nie jest Zespół Wspomagający, tylko jakaś inna kapela i zespół wspomagający. Jest to najgorsza możliwa nazwa dla zespołu w całej historii muzyki rockowej.

— Nie licząc Chicory Tip — zaproponowałem.

— Prawda. Nie licząc Chicory Tip.

Chyba w tym momencie zdałem sobie sprawę, że dotarliśmy do miejsca, z którego nie było już powrotu. Jak jedna z dobrych wróżek w *Śpiącej Królownie*, nadaremnie krzyczałem i ostrzegałem, gdy oni szli jak w transie ku wrzecionu.

— Wymyślenie nazwy zespołu jest proste — stwierdził Jim wbrew faktom. — Wystarczy przeczytać coś w gazecie.

— Eurokomisarze ponawiają żądania śledztwa w sprawie GATT.

— Mmm, chwytliwe!

— Trzeba wybrać jakiś zwrot.

- Pojedynek Nordyckich Cyklistów.
  - Podoba mi się.
  - Brzmi jak jakaś hefciańska kapela metalowa. Jak Blitzkrieg Wikingów albo Kowadło Tytana.
  - The Beatles — oznajmił radośnie Simon.
  - Co? — spytała reszta towarzystwa z niedowierzaniem.
  - Powiedziałeś, że wystarczy przeczytać coś w gazecie, jest tutaj artykuł o Beatlesach.
  - Może nazwiecie się Aardvark, wtedy będziecie na pierwszej pozycji w *Roczniku rocka* — zasugerował nauczyciel angielskiego.
  - Albo Al — zaproponował Simon—dla wszelkiej pewności.
  - Al? Ludzie stale by do nas dzwonili zamówić taryfę.
  - Może Próba Kwasowa?
  - O Boże, nie — zaprotestowałem. — Przypomina mi o tej gównianej kapeli Próba Prawdy, która występowała z nami w Godalming. Dalej mają mój statyw od mikrofonu.
- Potem rozmowa jak zawsze przeszła do następnej fazy — karabinowa seria setek nazw proponowanych i oddalanych w rekordowym czasie.
- Zapach Czerwieni.
  - Nie.
  - Więksi Od Jezusa.
  - Nie.
  - Charlie Nie Surfuje.
  - Nie.
  - Chodźcie Zatańczyć.
  - Nie.
  - Drzyjcie Błony Dziewicze.
  - Nie, Simon.
  - Nieboszczyki.
  - Nie.
  - Kto To Jest Billy Shears?
  - Nie.
  - Wszystko Się Sypie.
  - Nie.

- Uwaga: Mogą Wystąpić Reakcje Alergiczne.
- Nie.
- Pozwólcie Rybom Pływać.
- Nie.
- Bliźniacy Zagłady.
- Nie.
- Wielki Ptak.
- Nie.
- Człowiek Któremu Powiększyła Się Głowa.
- Nie.
- Małe Grube Belgijskie Dranie.
- Nie.
- Dźwięki Muzyki.
- Nie.
- Zabudowa Szeregowa.
- Nie.
- Uwaga: Dziura.
- Nie.
- Cała Reszta.
- Nie.
- Roztocza w Dywanie.
- Nie.
- Gang Łańcuchowców.
- Nie.
- Ajatollah i Szyici.
- Nie.
- Poskramiacze Węży.
- Nie.
- Dwadzieścia Cztery Minuty Od Tulse Hill.
- Nie.
- Auć! — Nie.
- Nie, znaczy, auć, drzazga mi się wbiła.

Po jakimś czasie mózg drętwieje od nieustannego wyszukiwania oryginalnej kombinacji dwóch czy trzech sylab i skutkiem

psychicznego wyczerpania zaczynasz z siebie wydawać nieartykułowane dźwięki.

— Tralalalowie.

— Może coś z rodziną królewską?

— To już wszystko obstawione. Jest Queen, King, Prince, Princess. Została tylko księżna Yorku. Nie można nazwać awangardowej kapeli rockowej od jakiejś arystokratycznej pipki, której jedynym tytułem do sławy jest to, że dostaje darmowe bilety na Wimbledon.

— Wiem — powiedział Simon z przejęciem, nieuczciwie podsycając w nas nadzieje. — Co byście powiedzieli na Hej!

— Hej?

— Nie, nie Hej? Nie Hej ze znakiem zapytania, tylko Hej z wykrzyknikiem. Wiecie, jak Bum! Przykuwa uwagę.

Nikt się nie pofatygował odrzucić tego pomysłu; zbyt mierna sugestia, aby zasługiwała na odpowiedź. Zignorowana, umarła naturalną śmiercią. Simon zrobił urażoną minę, kiedy sobie uświadomił, że wszyscy dalej proponują nazwy, tak jakby jego sugestia w ogóle nie padła. Przez kolejną godzinę dalsze propozycje leciały w powietrze jak rzutki, po czym były rozbijane w drobny mak. Odrzuciliśmy Głowice Jądrowe, Pójść Do Więzienia, Rock Nie Wyrock oraz, co raczej nie powinno zaskakiwać, Świętą Joannę i Konspirację Ciężkiego Łupieżu. Wreszcie, z *gravitas* charakterystyczną dla osoby, która wie, że w końcu znalazła właściwą odpowiedź, Jim powiedział:

— Lust for Life.

— Lust for Life — powtórzyłem z pełną podziwu zadumą.

— Tak się nazywa kawałek Iggy Popa — powiedział Paul.

— Wiem.

— I film o van Goghu.

— Wiem.

Paul pompatycznie wysunął te obiekcje i przeżył rozczarowanie, kiedy się okazało, że obiekcjami nie są. Powtórzyliśmy to sobie jeszcze kilka razy i uznaliśmy, że Lust for Life to jest to. Zajęło nam to dwie i pół godziny, ale nareszcie mogliśmy trochę

popracować. Włączyłem mikrofon i wskoczyłem w estradowy image wodzireja z Hollywood Bowl.

— Panie i panowie, dziś wieczór pierwszy koncert ich wyprzedanego tournée po Ameryce. Są zespołem numer jeden na całym świecie, przyjechali aż z londyńskiego Balham, proszę państwa, oto Lust for Life.

Jim i Simon klaskali i gwizdali, a potem Simon podniósł do góry zapalniczkę. Paul przyjął zblazowaną, obojętną pozę, to znaczy siedział i czytał „Time Out”.

— Nie wybrałby się któryś na koncert jutro wieczór? — spytał dosyć tajemniczo.

— A kto gra?

— Myślałem, żeby pójść do klubu Half Moon w Putney. — Pomachał nam przed nosami reklamą. — Gra nowy zespół, który nazywa się Lust for Life.

Nastąpiła przerwa.

— Banda zasranych plagiatorów! — bluznął Jim. — Podpieprzyli nam nazwę!

Tego wieczoru nie została nagrana żadna muzyka. Co prawda w którymś momencie powiedziałem: „Dobra, chłopcy, do roboty”, ale to zostało odrzucone, że niby brzmi zbyt po robociarsku. Najgorsza chwila przyszła w połowie dyskusji, kiedy zadzwoniła moja komórka i usłyszałem po drugiej stronie Catherine.

— Co byś powiedział na India?

— Już jest zespół, który nazywa się India — odparłem zdeorientowany.

A potem próbowałem powtórzyć zdanie, akcentując słowo „zespół”, jakbym chciał powiedzieć: „No, jest już zespół, który nazywa się India, ale to nie znaczy, że nie można dać dziecku na imię India”. Nie miało to jednak znaczenia, bo wiedziałem, że propozycja imienia jest tylko pretekstem do tego, żeby zadzwonić i nawiązać pierwszy kontakt po awanturze.

Po telefonie Catherine zatęskniłem za domem. Moi współlokatorzy przez cały dzień doprowadzali mnie do szału, więc teraz



chciałem wrócić do żony. Nie mogłem wytrzymać kretyńskich wybuchów Paula na temat tego, w jaki sposób Jim robi herbatę albo w jaki sposób ja nie robię kolacji, uciążliwych pytań Simona, bezsensownego ociągania się Jima i tego, że znowu spędziłem cały wieczór na wymyślaniu nazwy. I wtedy uzmysłowiłem sobie coś strasznego. Coś, czego nie przewidziałem, kiedy uciekałem od rodziny, aby zachować resztki zdrowia psychicznego: że moja zastępcza rodzina jest tak samo nie do zniesienia, jak każda inna. Że za każdym razem, gdy dotrę na tę odległą łąkę, spojrzę tam, skąd właśnie przyszedłem, i będzie mi się wydawało, że jest tam dużo zieleniej niż wtedy, kiedy stamtąd odchodziłem. Że gdziekolwiek w życiu będę, zawsze jakieś inne miejsce wyda mi się lepsze. Że tyle się namęczyłem, oszukiwałem ukochaną kobietę i popadłem w dług, aby stwierdzić, że to, co mnie irytuje i gnębi, wszędzie za mną chodzi. Problemem nie była Catherine ani dzieci. Nawet nie Jim, Paul i Simon. Problem tkwił we mnie samym.

## **Rozdział 5**

### **DOBRE JEST POROZMAWIAĆ**

Mam piętnaście lat i stoję pod teatrem niedaleko Piccadilly Circus. Sześćdziesięciu innych piątoklasistów właśnie wysypało się z dwóch autokarów, żeby zobaczyć *Hamleta* Williama Shakespeare'a. Widać, że czują się niezręcznie w marynarkach i krawatach. Wszyscy dali mojemu nauczycielowi od angielskiego czek od rodziców, ale nie musieli płacić całej ceny, bo moja matka pracuje w tym teatrze i była w stanie załatwić dla wszystkich zniżkowe bilety. A raczej tak sobie wyobrażałem i tak beztrąsko oznajmiłem nauczycielowi od angielskiego. W rzeczywistości moja matka pracuje tylko na część etatu, czyści kostiumy i nie może nam załatwić żadnych zniżek. W rezultacie bilety nie zostały zarezerwowane.

Chciałem się do czegoś przydać. Kiedy nauczyciel powiedział nazwę teatru, rozpoznałem ją, podniosłem rękę i powiedziałem mu, że mama tam pracuje, a on odparł półzartobliwie: „To może załatwiłaby nam wszystkim zniżkowe bilety, Michael?” Ja na to, że na pewno załatwi, i dalej już się samo potoczyło. Nie wiem, dlaczego nic nie powiedziałem przez kilka tygodni przed spektaklem. Pewnie nie chciałem sprawić mu zawodu. Bardzo lubiłem pana Stannarda i wydawało mi się, że on lubi mnie. Nie powiedziałem mu prawdy, kiedy spytał: „Twoja matka na pewno zarezerwowała te bilety?” To był przypuszczalnie dobry moment, żeby się przyznać. Nie powiedziałem mu, kiedy rozdawał wszystkim listy o szkolnej wycieczce do pokazania rodzicom. A kiedy sporządzał listę uczniów, którzy idą obejrzeć *Hamleta*, nie powiedziałem mu, że tak naprawdę nikt nie idzie. Nawet jak wsiadaliśmy do autokarów, nic mu nie powiedziałem.

Kierowcy autokarów na zmianę się wyprzedzali na drodze szybkiego ruchu i wszystkie dzieci klaskały. Wszystkie oprócz mnie. Tylko ja wiedziałem, że to kompletna strata czasu i że to wszystko moja wina, i że moja straszna tajemnica wkrótce wyjdzie na jaw. Wciąż jednak nic nie powiedziałem. Kiedy wszystkich sześćdziesięcioro czworo z nas stało w *foyer* teatru, pan Stannard kłócił się z kasjerką, po czym odwrócił się do mnie i spytał: „Michael, mówiłeś, że twoja matka na pewno zarezerwowała sześćdziesiąt cztery bilety?” Wtedy mu powiedziałem. Przybrałem taką minę, jakbym już dawno chciał go o tym poinformować, tylko zupełnie mi to wypadło z głowy. „Och, rzeczywiście. Och, to znaczy, no, nie przysługują jej zniżki, więc nie kazałem jej rezerwować żadnych biletów”.

Moja udawana obojętność nie przekonała go, że nie ma się co kłócić o taki drobiazg. Dyrektor teatru wyjaśnił, że spektakl jest wyprzedany, po czym pan Stannard odwrócił się do mnie i zupełnie stracił nad sobą panowanie. Mówią, że strach przed oczekiwanym zdarzeniem jest gorszy niż samo to zdarzenie. Nie w tym przypadku; mój strach był najzupełniej uzasadniony. Myślę, że nawet inni nauczyciele byli zażenowani widokiem pana Stannar-

da, który spurpurowiał, cały się trząsał i zaplawał, krzycząc na mnie. Ja stałem jak kołek, nie potrafiłem nic wymyślić na swoją obronę. Milcząc, wzruszałem ramionami w odpowiedzi na każde zadane przez niego pytanie. Żyłki wystąpiły mu na czoło i czułem kwaśny odór papierosów, bo wrzeszczał pięć centymetrów od mojej twarzy. Był na mnie taki wściekły, że słowa mu się poplątały.

— A teraz wszyscy, całe, cała piąta klasa nie straci *Hamleta*.

— Straci, panie profesorze.

— Słucham?

— Pan profesor powiedział, że nie straci. — Nie, powiedziałem, że nie zobaczy.

— Nie, powiedział pan profesor, że nie straci.

Może zepsułem wieczór sześćdziesięciu czterem ludziom, ale w tej kwestii bezsprzecznie miałem rację.

— Nie mów mi, co powiedziałem, a czego nie powiedziałem, do cholery. Powiedziałem: „nie zobaczy”.

Jego drgająca fioletowa twarz znajdowała się zaledwie o kilka centymetrów od mojej i trochę jego śliny wylądowało mi na nosie, ale uznałem, że lepiej będzie ją tam zostawić.

Jeden z pozostałych nauczycieli postanowił go uspokoić.

— Rzeczywiście powiedziałeś: „nie straci”, Dave.

Pan Stannard odwrócił się do pana Morgana i zaczął krzyczeć na niego, co wszystkie dzieci uznały za dużą frajdę, bo nigdy wcześniej nie widzieliśmy krzyczących na siebie nauczycieli.

Najgłupsze w tym wszystkim było to, że nie powiedziałem panu Stannardowi prawdy, bo nie chciałem go denerwować. Jako długofalowa strategia to raczej nie mogło zakończyć się sukcesem. Wreszcie wszyscy wyszliśmy na zewnątrz i siedzieliśmy godzinami pod pomnikiem Erosa, czekając na przyjazd autokarów. Czułem, że pan Stannard już mnie nie lubi, i zaczęło padać.

— Jeśli wszyscy umrzemy na zapalenie płuc, możemy podziękować Michaelowi Adamsowi — powiedział zgryźliwie, co uznałem za trochę niesprawiedliwe, bo nie ponosiłem winy za deszcz.

— Ty głupi jemiolo, Adams — mówili moi koledzy.

„Gdyby ten balast przyziemnego ciała mógł się rozpuścić, rozwiać w lotną rosę” — powiedział Hamlet. Wiedziałem, co czuł.

— Michael, masz skłonność do odsuwania problemów do czasu, kiedy przestają być problemami i wylęgają się z nich regularne katastrofy — oznajmił mój wychowawca następnego dnia rano, kiedy stanąłem przed jego biurkiem. Mniej więcej do tego samego sprowadzały się słowa pana z banku, z którym szesnaście lat później rozmawialiśmy o moich zaległych spłatach kredytu hipotecznego. Umówił się ze mną, że przyjdę wyjaśnić sprawę, i chcąc mu pokazać, że nie pomylił się w swojej analizie mojego charakteru, nie przyszedłem.

Siedziałem w moim kawalerskim gniazdku i obliczałem, ile muszę zapłacić, żeby nadgonić ze spłatami za dom. Zapisałem sobie, ile mam w sumie długów, licząc wszystkie karty kredytowe i zakupy na raty. W kolumnie obok wypisałem wszystkie pieniądze, które miały spłynąć przez kilka następnych miesięcy. Próbowałem odrobinę zwiększyć tę drugą liczbę, dodając nie wykorzystane kupony na płyty, które zostały mi od Bożego Narodzenia, ale po tej operacji rzecz nie przedstawiała się ani trochę mniej przygnębiająco. Długo i ze skupieniem wpatrywałem się w obie łączne sumy, próbując wymyślić najrozsądniejszy i najbardziej realny sposób działania. Potem wyszedłem i kupiłem kupon na loterię.

Szybkimi krokami zbliżał się dzień, od którego musiałem zacząć harować jak wół. Na razie postanowiłem poczynić pewne oszczędności. Będę wyciskał mniej pasty do zębów na szczoteczkę i zacznę kupować orzeszki ziemne zamiast nerkowców. Od jakiegoś czasu gnębiła mnie sprawa innego wydatku związanego z moim południowlondyńskim mieszkaniem, lecz nie byłem pewien, jak ją podnieść w sposób taktowny. Rachunek telefoniczny dzieliliśmy solidarnie między siebie, ale po dokładniejszej analizie billingu okazało się, że dobrze ponad połowa rozmów spada na konto Simona Paskudy, łączącego się ze swoimi ulubionymi obscenicznymi witrynami w Internecie. Dotowałem jego rytualny autoerotyzm. Jest już wystarczająco niezręczne, kiedy

uważamy, że ktoś powinien trochę więcej się dorzucić do rachunku w restauracji, ale powiedzieć współlokatorowi, że jest nam winien sporo pieniędzy, bo spędza połowę wolnego czasu na uprawianiu seksu sam ze sobą za pomocą prawej ręki — podręcznik *savoir-vivre'u* Debretta nie obejmuje tego tematu. Dysponowałem jednak dowodami czarno na białym, na billingu raz po raz pojawiał się ten sam numer i czas, przez który Simon był z nim połączony. Na przykład dziewiątego lutego zadzwonił o 10.52 i wygląda na to, że masturbował się przez siedem minut i dwadzieścia cztery sekundy. Kosztowało to nas wszystkich po trzydzieści pięć pensów, nie licząc VAT-u. Tego samego dnia o późniejszej porze Simon był połączony z tym numerem przez dwanaście minut i dwadzieścia trzy sekundy, co jest o tyle zrozumiałe, że za drugim razem z reguły trwa to dłużej. Były tego całe strony, z datami, godzinami i czasem surfowania Simona po sieci. Zresztą surfowanie to chyba zbyt wzniosłe słowo na określenie tego, co Simon robił w Internecie. Czaił się, szwendał, chował po krzakach Internetu.

Podniosłem tę kwestię z pozostałymi i uzgodniliśmy, że musimy go o to zaczepić. Chcieliśmy jak najszybciej mieć tę rozmowę za sobą. Liczyliśmy na to, że uda nam się podyskutować o stronie finansowej, bez wchodzenia w konkretne szczegóły tego, co Simon ogląda. O święta naiwności! Wbrew naszym wyobrażeniom, że będzie to dla niego kłopotliwe, Simon sprawiał wrażenie zachwyconego, że jest w centrum uwagi, i skwapliwie skorzystał z okazji wypowiedzenia się na jedyny temat, od którego był prawdziwym ekspertem.

— Mówię wam, naprawdę się oplaca — wyjaśnił radośnie. — Za cenę lokalnej rozmowy można popatrzeć, jak ludzie uprawiają seks z goryłami.

— Ach, cuda nowoczesnej techniki — westchnął Jim.

— A właściwie z dowolnymi człekokształtnymi z wyjątkiem orangutanów. Ale orangutanów jest bardzo mało, prawda?

Simon był zupełnie nieświadomy naszego zażenowania i entuzjastycznie bajdurzył o fascynującym świecie twardej pornografii.

— Jesteś oblesny zboczeniec — powiedziałem mu, a on wyglądał na całkiem zadowolonego, jakby sądził, że mam o nim znacznie gorszą opinię. Irytowała mnie nie tyle sama obsesja pornograficzna Simona, co fakt, że nie uważał za konieczne choć trochę się z nią ukrywać lub czuć się nią zawstydzony. Wszyscy mężczyźni nieustannie myślą o seksie, ale reszta z nas przynajmniej próbuje zachować w tej sprawie dyskrecję. On gawędził o swojej fiksacji, jakby to było urocze hobby, jak gra w amatorskim teatrze albo malowanie akwarel. „Dobrze jest porozmawiać” — mówi reklama British Telecom. Czy co tam człowiek robi, żeby nabić sobie rachunek.

W nadziei, że podzielimy jego entuzjazm, jeśli tylko się przekonamy, co traciliśmy, pokazał nam niektóre z odwiedzanych przez siebie witryn pornograficznych. Występowało tam kilka dziwnie zdeformowanych osób, które wyglądały tak, jakby grały na golasa w kontorsjonistę. „Lewa ręka na czerwonej kropce; prawa stopa na żółtej kropce; lewa pierś na czarnym penisie”. Pamiętam jednak, że gra w kontorsjonistę to zawsze była genialna zabawa, podczas gdy twarze tych ludzi sugerowały, że cierpią oni wielki ból. Zdjęcia te jednocześnie budziły we mnie odrazę i wciągały mnie. Tak samo jak z kraksami samochodowymi i anchois — człowiek wie, że to jest coś okropnego, ale musi się upewnić, czy będą tak samo obrzydliwe jak za pierwszym razem. Jednak moje pierwsze wrażenia z reguły okazywały się trafne. Większość tych obrazków była równie stymulująca erotycznie jak kolorowe zdjęcia z operacji na otwartym sercu. Simon pokazał nam sekwencję fotografii, które opowiadały historię o bankierze zamieniającym się w orgię. Przejście dokonało się bez najmniejszego wysiłku.

— Znowu to samo — powiedział Simon.

— Co?

— Jakoś tak wyszło. Patrzcie, zdjęcie jeden, są sobie przedstawiani. Zdjęcie dwa, trochę rozmawiają. Zdjęcie trzy, ona ma w ustach jego fiuta. Znaczy, co się stało między zdjęciami dwa i trzy — to chciałbym wiedzieć. Jak to wyszło, że tak wyszło?

Gdyby to chodziło o mnie, mielibyśmy zdjęcie jeden: „Dzień dobry, dzień dobry”. Zdjęcie dwa: „Gadu, gadu”. Zdjęcie trzy: ona strzela mnie w pysk i wychodzi.

Połączył się z inną witryną zarejestrowaną w „Ulubionych” i zarechotał, kiedy następne zdjęcie powoli się ładowało. Komputer stopniowo odsłaniał zdjęcie od góry do dołu, jakby się z nami bawił, zastanawiał się, czy pokazać wszystko, a potem droczył się z nami, ujawniając tylko trochę więcej. Odsłonięta kobieta była niezaprzeczalnie atrakcyjna. Miała ładną twarz, idealnie utoczone piersi, krągłe biodra i długie, gładkie nogi. Tylko jedna rzecz mi przeszkadzała (ale może jestem zbyt wybredny): kobieta miała gigantyczny penis w erekcji. Wiem, że mężczyźni często oczekują, iż kobiece ciała wpiszą się w jakiś z góry przez nich założony stereotyp, ale sądzę, że brak penisa i jąder należy do tych warunków, przy których mam prawo się upierać.

Pośród przesadnych jęknięć powiedziałem Simonowi, że jego związek z tym komputerem jest niezdrowy, że to seks jednokierunkowy, bez miłości i pieśczoł, w związku z czym uzgodniliśmy, że w przyszłości powinien przynajmniej zaprosić komputer na kolację, zanim zabierze się do rzeczy.

W końcu zaproponowany został nowy punkt domowego regulaminu: Simon będzie miał prawo się onanizować przed komputerem tylko poza godzinami szczytu i w weekendy. Zaprotestował, zwracając uwagę, że te połączenia są zniżkowe. Okazało się, że wpisał serwer internetowy jako swojego najlepszego przyjaciela, z którym mógł taniej rozmawiać. Serwer internetowy najlepszym przyjacielem Simona — tragiczne, lecz prawdziwe. Niestety, przyjaciel zawsze z nim rozmawiał na jego koszt. Nowy punkt regulaminu został jednak przegłosowany i mogliśmy zostawić Simona w spokoju.

— Wszystko uzgodnione — powiedział Jim — ale mógłbym jeszcze raz zobaczyć zdjęcie tych blondynek bliźniaczek uprawiających zapasy w błocie...

\*

Powodem, dla którego mieliśmy Simona w tak niskim poważaniu, było to, że w swojej naiwności obnażał się ze swoimi najbardziej obrzydliwymi cechami. Nie chował swojej ciemnej strony dla siebie. Wszystko ludziom mówił. Była to jednocześnie zaleta i wada; choć świntuch, to jednak świntuch uczciwy i bezpretensjonalny. Szczerze wierzyłem, że nie jest potajemnym wielokrotnym mordercą i kanibalem, bo gdyby nim był, to radośnie by nas poinformował o wszystkich istotnych szczegółach związanych z gotowaniem ludzkiego mięsa. Reprezentował rzadki typ człowieka pozbawionego tajemnic.

Moim życiem rządziła instynktowna skrytość, która kazała mi się wahać, czy powiedzieć: „Jestem”, kiedy nauczyciel sprawdzał obecność. Jim, Paul i Simon nie mieli pojęcia, że w moim drugim życiu jestem mężem i ojcem. Tak było dla mnie wygodniej. Wkrótce po wynajęciu przeze mnie pokoju wprowadzili się inni lokatorzy i nie widziałem potrzeby ich oświecać w kwestii moich nietypowych układów rodzinnych. Ogólnie rzecz biorąc, nie kłamałem. Po prostu zachowywałem pewne rzeczy dla siebie. Catherine zażartowała kiedyś, że nigdy nie mówię o tym, co robię, żeby nie musieć kłamać. Ależ się z tego śmiałem. Oczywiście poczułem się zobligowany wygłosić rozbudowaną przemowę w obronie moich typowo męskich przemilczeń.

— Nieprawda — mruknąłem.

Moja powściągliwość leżała także w interesie Catherine. Nauczyłem się w młodym wieku, że jeśli matka twoich dzieci miała nudny dzień, nie jest rzeczą zbyt taktowną szczegółowo jej opowiadać, jak wesoło i interesująco spędziłaś czas. Zdecydowanie bardziej woli, jeśli ty też się nudziłaś. Kiedy zatem po moim powrocie do domu malował się przed moimi oczyma obraz zmęczenia i *ennui*, starałem się jak najmniej wspominać o rozrywkach, którymi życie mnie tego dnia uraczyło. W ten piątek zastałem Millie oglądającą wideo, podczas gdy Catherine czyściła na kolanach piekarnik, a jednocześnie próbowała kołysać stopą siodełko Alfiego.

— Jaki miałeś dzień? — spytała.



— A, dosyć nudny.

— Jadłeś lunch?

— Coś tam przegryzłem.

— Gdzie?

— Gdzie? Yyy, no, skoczyłem na lunch z przyznaniem nagród.

— Lunch z przyznaniem nagród? Musiało być bardzo ciekawie. —  
Eee, nic wielkiego. Znasz środowisko reklamy. Ostatnio  
prawie codziennie gdzieś organizują lunch z przyznaniem nagród. Tak  
naprawdę to bardzo męczące.

— A potem wróciłeś do studia, żeby popracować.

— Yyy, nie. Wiele bym nie zrobił, bo wypłem za dużo szampana.  
Znaczy, nie wiem, czy to był prawdziwy szampan; smakował jak jakaś  
taniocha, więc tak jakby zostałem tam na całe popołudnie.

— O, to fajnie miałeś.

— No, właściwie to musiałem. Wiesz, kontakty, konsorcja, wiesz, te  
wszystkie nudne historie.

Znowu włożyła głowę do piekarnika, a ja sprawdziłem, czy  
rzeczywiście go czyści, a nie popełnia samobójstwo.

— Ale ty nie spodziewałeś się żadnej nagrody? — spytał  
zwielokrotniony echem głos.

— Yyy, tak jakby.

— Tak jakby?

— Ym, no, tak, spodziewałem się. Za najlepszą oryginalną muzykę w  
tle — do tej reklamy banku, którą robiłem zeszłej jesieni.

— A niech mnie — nieźle się z tym kamuflowałeś.

— No, masz już i tak za dużo na głowie, żebym cię jeszcze zanudzał  
opowiadaniem o swojej pracy — powiedziałem nieprzekonująco.

Umilkła na chwilę, zdrapując resztki zaskorupiałego tłuszczu, i miałem  
nadzieję, że przesłuchanie na tym się skończy.

— Czyli nie wygrałeś?

— Yyy, no, tak, właściwie to wygrałem. No.

Usłyszałem, jak Catherine tłucze głową o wnętrze piekarnika. A potem się wyłoniła i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Poszedłeś na lunch z rozdaniem nagród i dostałeś nagrodę?

— No. Dużą srebrną statuetkę. Wszedłem na scenę, wszyscy klaskali i odebrałem statuetkę z rąk Johna Peela, który uściskał mi dłoń, a potem rozmawialiśmy całe wieki.

— Johna Peela? Mam nadzieję, że nie spytałeś go, czy pamięta o twojej pocztówce dźwiękowej?

— Catherine, John Peel dostawał kiedyś tysiące taśm i płyt rocznie, więc raczej nie mogę oczekiwać, żeby pamiętał jedną pocztówkę dźwiękową, której nie puścił pod koniec lat osiemdziesiątych, prawda?

— Więc nie pamiętał?

— Nie pamiętał. Ale jest jeszcze sympatyczniejszy, niż się wydaje na antenie, i wszyscy podchodzili, patrzyli na moją nagrodę i robili zdjęcia.

Zdałem sobie sprawę, że zerwałem maskę cierpiętnika, więc poniewczasie usiłowałem z powrotem ją przywdziać.

— Ale wiesz, poza tym impreza była strasznie męcząca. Wszystko takie sztuczne. A nagroda ważyła tonę. To był koszmar, przejść przez całą Park Lane z trzy tonową nagrodą pod pachą i próbować złapać taksówkę.

— Brzmi strasznie — powiedziała, kucając na podłodze i podnosząc wzrok.

Twarz miała upačkaną spalonym tłuszczem z piekarnika, który pobrudził jej też ubranie i pozlepił włosy. Alfie zaczął cichutko płakać, bo stopa Catherine przestała kołysać siodełkiem.

— Yyy, myślałem, że może bym się wykapał — wypuściłem próbny balon — ale, eee, mogę zająć się dziećmi, jeśli chcesz najpierw skorzystać z łazienki.

— No, nie chciałabym ci pokrzyżować planów. Skoro miałeś taki okropny dzień — zakończyła sarkastycznie.

Wyznawałem pogląd, że spowiadanie się ludziom ze swoich poczynań może tylko przysporzyć kłopotów. Wcześniej żyłem

w przekonaniu, że szczęśliwy związek musi się opierać na absolutnej szczerości i otwartości, ale nie ma nic dalszego od prawdy. Kiedy para dopiero co się kochała, ostatnia rzecz, której im potrzeba, to żeby byli ze sobą szczerzy i otwarci. Kobieta mówi: „Mmm, było cudownie”, a nie: „Szkoda, że tak szybko się spuściłeś”. On mówi: „Mmm, było bardzo przyjemnie”, nie zaś: „Odkryłem ciekawą rzecz: mam ostrzejszy orgazm, kiedy wyobrażam sobie, że kocham się z twoją najlepszą przyjaciółką”.

Wszystkie pary w jakimś stopniu się oszukują, więc w tym, co robiłem, nie było nic szczególnie nietypowego. Każdemu ojcu zdarzyło się usłyszeć w nocy płacz dziecka i udawać, że śpi, kiedy jego żona zrywała się z łóżka, żeby zażegnać kryzys. Byłem bardziej skryty od niektórych mężczyzn, ale zdecydowanie bardziej lojalny wobec mojej żony niż wielu innych. „Zresztą — pomyślałem sobie — Catherine też czasem kłamie”. Kiedy lokalny kandydat na posła konserwatywnego przyszedł mnie agitować przed wyborami powszechnymi, powiedziała im, że to ona jest Michaelem Adamsem. Chrapliwym, głębokim głosem spytała, czy do Partii Konserwatywnej może wstąpić osoba, która zmieniła płęć. Żart odniósł skutek przeciwny do zamierzonego. Kandydat nagle bardzo zainteresował się Catherine, toteż musieliśmy uciekać na górę za każdym razem, gdy przychodził i dzwonił do drzwi.

No i, oczywiście, oszukiwała ludzi co do swojej ciąży. Nie chciała im powiedzieć przez pierwsze trzy miesiące, więc zmuszała mnie do utrzymywania pozorów nie zapłodnionej normalności. Rozstrajał mnie w tym wszystkim fakt, że chociaż byłem wytrawnym kłamcą, to kiedy przyszło do mamienia wszystkich pozostałych, zdałem sobie sprawę, że ona jest w tym znacznie lepsza ode mnie. Którys wieczór spędziliśmy poza domem, co nam się wtedy rzadko zdarzało. Odwiedziliśmy siostrę Catherine, newage'ówkę, i Judith wyłuszczyła nam swoją teorię, że świat zmierza ku zagładzie, bo wszyscy zostawiają włączone swoje zasilane słońcem kalkulatory i w ten sposób zużywają energię słoneczną. Judith była podręcznikowym okazem współczesnej

hipiski. Tylko raz dostaliśmy do jedzenia mięso w jej domu, wiele lat wcześniej, kiedy poszliśmy do niej na uroczystą kolację z okazji narodzin jej dziecka i wyrzekła niezapomniane słowa:

— Czerwone czy białe wino do łóżyska?

— Em, poproszę trochę kuskusu — odparła Catherine. — Łóżysko jadłam na lunch.

Catherine nie piła wina z powodu ciąży i spodziewałem się, że odmówi, lecz ona miała znacznie szybszy refleks niż ja. Gdyby powiedziała: „Nie”, ściągnęłaby na siebie uwagę i wzbudziła podejrzenia, więc wzięła wino, tak jak wszyscy inni, nikt jednak nie zauważył, że w ogóle go nie pije. Kiedy już się zorientowałem, na czym polega jej plan, pomyślałem, że ją wspomogę, i dzielnie wkroczyłem do akcji, ukradkiem wypijając jej wino. Wszystkie cztery kieliszki. Wszyscy przyszli ojcowie powinni być gotowi na tego rodzaju poświęcenie. Gospodyni stale dolewała nam wina, a ja wytrwale opróżniałem oba kieliszki. Mrugnąłem chytrze do Catherine i uśmiechnąłem się konspiracyjnie, dając jej znać, że rozgryzłem jej koncepcję i że dyskretnie pomagam jej zachować pozory. A potem spadłem z krzesła.

Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia i włożyłem rękę nie do tego rękawa marynarki, co trzeba, gospodyni była nieugięta: oboje wypiliśmy o wiele za dużo, aby którekolwiek z nas mogło prowadzić.

— Nie, ja mogę prowadzić, prawie nic nie wypiałam — utrzymywała Catherine, wciąż nie chcąc wyjawić swej tajemnicy.

— Nie, nie przekonasz mnie. Michael może odebrać samochód jutro rano. Zamówiłam wam taksówkę.

— No, odbiorę samochód rano — wybełkotałem. — Nie możesz prowadzić, Catherine, przecież jesteś w ciąży.

Była w nie najlepszym humorze, kiedy wróciliśmy do domu, ale wiadomo, co ciąża potrafi zrobić z nastrojami kobiety. Różnica między mną a Catherine polegała chyba na tym, że ona kłamała tylko do pewnego momentu; wiedziała, kiedy trzeba się przyznać. Ja na jej miejscu jeszcze na sali porodowej zapierałbym się tego, że jestem w ciąży. Oprócz jej siostry i szwagra, którzy byli na tyle bystrzy, że się domyślili dzięki drobnej wskazówce

zawartej w mojej uwadze, Catherine powiedziała ludziom o swojej ciąży dokładnie wtedy, kiedy planowała — pod koniec trzeciego miesiąca. Wszyscy jej gratulowali odrobinę mniej entuzjastycznie i żywiłowo niż przy okazji naszego drugiego dziecka, kiedy to gratulowali jej z trochę mniejszym entuzjazmem i zachwytem niż przy okazji naszego pierwszego dziecka.

— Chcieliśmy, żeby różnica wieku nie była zbyt duża — powiedziała, używając *pluralis maiestaticus*, aja w pierwszej chwili rozejrzałem się dokoła, żeby sprawdzić, kogo mogła mieć na myśli.

— Aaaaaa — mówili wszyscy nasi znajomi i krewni, poklepując jej brzuch, jakby nagle stał się własnością publiczną.

Płód musiał się przyzwyczać, że od tej pory ludzie będą walić mu w ściany domu. Żywiłem silne opiekuńcze uczucia wobec tego miniaturowego dziecka. W dwunastym tygodniu płód przybiera już z grubsza ludzką formę. Wszystkie najważniejsze organy są ukształtowane. Biję serce, są płuca, które kiedyś będą oddychały powietrzem, jest żołądek, który kiedyś będzie trawił jedzenie, jest śledziona, która kiedyś będzie robiła to, co robi śledziona... czyli pękała podczas wypadków.

U zarodka wykształcił się również kręgosłup. Cieszę się, że przynajmniej jeden z nas go ma. Catherine wciąż była bardzo zmęczona i płacziwa, więc ostatnią rzeczą, której potrzebowała, była informacja ode mnie, że mamy przejściowe problemy finansowe. Kiedy ona rozgłaszała wszem wobec szczęśliwą nowinę, ja zachowywałem złą nowinę dla siebie. Aby moja ciężarna żona nie musiała się denerwować z powodu łądujących na macie w przedpokoju listów z ostrzeżeniami, postanowiłem zażegnać kryzys i wrzuciłem do skrzynki kopertę zaadresowaną do banku. Zawierała nie czek na łączną sumę, z którą zalegałem, lecz żądanie, aby od tej pory całą korespondencję przysyłać pod mój południowolondyński adres. Ten problem miałem więc z głowy.

Jedyną osobą, której jeszcze nie powiedziałem o nowym dziecku, był mój ojciec. Tata przeszedł na emeryturę i zamieszkał sam w Bournemouth, toteż niezbyt często się z nim widywałem. Bardzo ostrożnie sformułował nagrany na sekretarce wiadomość,

starając się udzielić jak najmniej informacji. Słuchając, wyobrażałem go sobie, jak odczytuje te słowa z kartki. „Osoba, do której dzwonisz, chwilowo nie może podejść do telefonu, lecz to wcale nie oznacza, że nie ma jej w domu”. Sądził, że jeśli zadzwonią włamywacze, pomyślą sobie: „O, w mordę, gdyby powiedział, że go nie ma, to byśmy tam poszli i obrobili mu chatę”. Do tej pory nie widział naszego małego domu w Kentish Town, co budziło we mnie wyrzuty sumienia za każdym razem, gdy sobie o tym przypominałem, ale on bał się przyjeżdżać do Londynu, bo znowu mogła być demonstracja przeciwko podatkowi pogłównemu. Odkąd założył sobie pocztę elektoniczną, komunikowaliśmy się bardziej regularnie, ponieważ stale do mnie dzwonił, żeby spytać, dlaczego mu się nie udaje wysłać e-maila.

— A co z siecią, Michael? Chodzi ci sieć?

— Sieć nie „chodzi”, tato. To nie jest maszyna.

— Bo u mnie sieć też nie chodzi. Chyba coś mi się zacięło w komputerze.

Mogłem podzielić się z nim wiadomością o nowym wnuku przez telefon, ale chciałem mu to powiedzieć osobiście. Catherine dworowała sobie, że zanim się zbiorę, dziecko najprawdopodobniej wyjedzie już na studia, więc zadzwoniłem do niego i zaproponowałem, że przyjedziemy i ugotujemy mu lunch, a potem mógłbym mu dać lekcję obsługi komputera. Pomysł go zachwyił.

— O, to byłoby cudowne, Michael. Ale zanim przyjedziecie — czy powinienem kupić Microsoft?

Tata zarabiał na życie jako handlarz prochami. Nie był typem, który ma dwa rottweilery, mnóstwo złotych łańcuchów i sprzedaje crack za nocnymi klubami w Manchesterze. Tata nigdy nie zarabiał tyle pieniędzy, co ci goście, bo handlował nie tymi prochami co trzeba. Sprzedawał coldrex i raphacholin. Próbowałem go sobie wyobrazić, jak jeździ po kraju i otwiera aktówkę u jednego ze swoich najlepszych klientów. Aptekarz rozdziera saszetkę alka-seltzer i sypie sobie trochę proszku na język. „Ekstratowar, stary. Ale spróbuj mi kiedyś wcisnąć jakąś gów-

nianą aspirynę, to cię wyłowią bez głowy z East River. Kumaszczyk?" Tata należał do handlarzy prochami, którzy mają służbowy samochód i zakładowy program emerytalny.

Jego praca wymagała od niego spędzania wielu wieczorów poza domem, zwłaszcza po tym, jak poznał Janet, ciemnowłosą laborantkę z Royal Leamington. Tak bardzo mu zależało na przekonaniu jej do zakupu jego towarów, że zostawił dla niej żonę i jedyne dziecko. Od tej pory była tylko mama i pięcioletni ja. Wychowywałem się pod Londynem w bliźniaku, który dzieliliśmy z sąsiadami, i miałem ojca, którym też musiałem się dzielić. Kiedy moi rodzice byli już formalnie rozwiedzeni, spędzałem samotne weekendy w jego parterowym domu, w którym dziwnie pachniało. Tak jak on został ewakuowany podczas wojny, tak ja znalazłem się na wygnaniu w obcym mieście, przyciskając do siebie torbę podróżną z kilkoma pospiesznie zabranymi zabawkami, uchodźca z wojny, którą było rozstanie moich rodziców.

Nie miałem co robić w tym domu dorosłych, daleko od wszystkich przyjaciół, więc grałem na pianinie. Przez całe lata w soboty i niedziele od rana do nocy ćwiczyłem grę na pianinie. Pod zakurzoną stołką był tylko jeden zbiór nut, *Tradycyjne hymny w aranżacji na fortepian*, więc w kółko je grałem. Z początku zadowalałem się tylko odtworzeniem melodii, ale kiedy nabrałem wprawy i pewności siebie, zacząłem sobie wyobrażać, że jestem Eltonem Johnem, w nabijanych ćwiekami butach na dziesięciocentymetrowych obcasach wchodzę na estradę w Hollywood Bowl i zaczynam grać swój pierwszy kawałek, wielki przebój zatytułowany *Bliżej Ciebie, Boże*.

— Dziękuję państwu. A teraz piosenka, której bardzo dużo zawdzięczam. Wszyscy śpiewają razem ze mną: *Gdy patrzą na cudowny Krzyż*.

I swinguję przez wszystkie cztery wersy, dodając improwizowane „Jeee” albo „Oooch, Baby!” po fragmencie: „Czy spotkało się kiedy tyle miłości i cierpienia, czy ciernie tworzyły kiedy tak bogatą koronę?” Potem zwalniałem trochę tempo do *Orzemy pola i rozchodzimy się w cztery strony świata*. Wyobrażałem

sobie, że w tym momencie cała publiczność trzyma już w górze zapalniczki i kołysze się rytmicznie. Nagle nad sceną wybuchły fajerwerki i zagrałem wiązkę moich wczesnych przebojów, takich klasycznych kawałków rockandrollowych, jak *Naprzód, żołnierze Chrystusa; Jezus, miłość duszy mojej* i tytułowy utwór z mojego najnowszego albumu: *Wiem, że Zbawiciel mój żyw jest*. To był mój bis, zagrałem ten kawałek na stojąco i wykręciłem kilka piruetów przy ostatnich akordach.

Mogę więc powiedzieć, że gdyby nie rozwód rodziców, to przypuszczalnie nie nauczyłbym się grać na pianinie, nie poszedłbym na studia muzyczne i nie osiągnąłbym zawrotnych wyżyn kariery, które polegały na tym, że trzy razy puścili moją pocztówkę dźwiękowa na antenie Thames Valley FM. Teraz, kiedy byłem, jak to nazywał mój ojciec, „kompozytorem muzyki popularnej”, był ze mnie bardzo dumny i od czasu do czasu do mnie dzwonił, żeby mi powiedzieć, że właśnie widział w telewizji reklamę, do której napisałem muzykę.

— No, to prawda, agencja wykupiła sto spotów, tato, w tym dwadzieścia w czasie najwyższej oglądalności.

— To znaczy, że spodobała im się twoja muzyka, skoro ciągle to puszczają.

Kiedy w niedzielę niosłem dzieci z samochodu do jego domu, wyszedł na alejkę, żeby się z nami przywitać. Odległość wynosiła tylko dziesięć metrów, ale włożył kapelusz na tę wyprawę. Miał bardzo ważne powody, żeby nałożyć kapelusz, ale nie posunął się do tego, żeby zostawić go na głowie pod dachem. W ciągu dwóch krótkich lat przed rozstaniem z laborantką Janet zdołała go namówić, żeby zrobił sobie implanty. Mimo że miał tylko niezbyt rozległe zakola, poddał się uciążliwej i kosztownej operacji: małe kępki włosów zostały wyrwane z korzeniami z bardziej żyznych obszarów czaszki i przeszczepione na odsłonięte czoło. Przez jakiś czas wydawało się, że chirurg wyprodukował niezwykle złudzenie optyczne i przywrócił mojemu ojcu grzywkę. Ale później, za tymi fortyfikacjami, oryginalne włosy zaczęły rzed-



nieć w tym samym bezlitosnym tempie. Chociaż maleńkie kępki włosów jak u lalki heroicznie trwały na swych pozycjach, rdzenne mieszki włosowe wokół nich masowo dezercerowały, zostawiając przeszczepiony przyczółek bez żadnego wsparcia.

Być może właśnie to skłoniło Janet do odejścia od niego. Głowa taty stanowiła teraz klasyczny okaz męskiej łysiny — błyszcząca glaca od czoła do ciemienia, z prostą linią implantów wczepionych w podłoże niby kępki trzciny na wierzchołku wydmy piaskowej. Był to temat tabu.

Ojciec powiesił kapelusz na kołku, a ja próbowałem nie kierować wzroku ponad jego oczy. Ledwo przekroczyłem próg, ojciec schwycił mnie w swoje szpony i już nie wypuścił. Im rzadziej go widywałem, tym więcej gromadził anegdot do opowiedzenia i nic nie mogło go powstrzymać przed natychmiastowym zakomunikowaniem mi najważniejszych nowin.

Największe sensacje minionego miesiąca: przyjaciel taty, Brian, kupił nowy samochód w Belgii i zaoszczędził dużo pieniędzy. System stania w kolejce w banku został zmieniony, teraz trzeba było pobrać jakąś francowatą karteczkę z numerem. I wreszcie, na razie koniec z gotowym nadrukiem na papeterii, dopóki raz na zawsze nie zrobią porządku z tymi francowatymi numerami kierunkowymi. Ale najpierw wróćmy do tematu numer jeden, nowego samochodu Briana...

Byłem non stop zasypywany informacjami. Nieważne, że być może powinienem zająć się dziećmi albo przygotować lunch. Wysadziłem Catherine przed supermarketem, żeby kupiła chleb i warzywa, więc musiałem sam pilnować dzieci, kiedy przeszukiwałem szafki kuchenne ojca i znalazłem sos pieczeniowy w proszku. Prawdę rzekłszy, „w proszku” to zbyt eufemistyczne określenie na to, co zobaczyłem po otwarciu torebki. Była to ciemnobrązowa cegła sosu pieczeniowego, który skamieniał chyba w epoce kredowej. Jako dziecko wojny, ojciec nie lubił, żeby się cokolwiek marnowało. Ze starego chleba można było zrobić doskonałe stare tosty. Olej z tuńczyka w konserwie był przechowywany w kokilce do jajka i używany do smażenia wszelkich

potraw o smaku tuńczykowym. Kilka lat wcześniej, kiedy ojcu wszczepiono nowy staw biodrowy z plastiku, powiedział, że nie chciał pytać, co zrobili ze starą kością. Widać było, że jej wyrzucenie uważa za marnotrawstwo. „Ugotowałyby się na niej świetny rosół” — pomyślał sobie.

Próbowałem przygotować pieczeń, słuchać taty i zajmować się dziećmi, ale przerastało to możliwości jednego człowieka.

— Brian chciał kupić dwulitrowego mondeo, ale zdecydował się na 1.6, bo benzyna jest sakramencko droga z tymi wszystkimi podatkami.

Millie upuściła swój kubek, a ponieważ nie domknąłem dobrze pokrywki, mleko zaczęło cieknąć po podłodze kuchni. Co ojciec na to powiedział? „Nie martw się, przyniosę szmatę”? „Potrzymam Alfiego, a ty wytrzym”? Nie. Powiedział:

„1.6 też ma ABS i wspomaganie kierownicy, ale kupując go u dealera w Belgii, Brian zaoszczędził trzy tysiące funtów”. Wyobrażasz sobie?

Nie znałem Briana i nie wiedziałem, jaka jest normalna cena mondeo, ale zrobiłem taką minę, jakbym był pod wielkim wrażeniem, a jednocześnie bezskutecznie szukałem papierowych ręczniczków.

— Powiedziałem mu, że się zastanawiam nad kupieniem fordą focusa, ale nie jestem pewien, czy mi się chce jechać aż do Belgii, zwłaszcza że się poddali bez walki podczas wojny.

Jego kot zaczął pić mleko, które utworzyło kałużę na linoleum. Millie próbowała odciągnąć kota, chwyciwszy go za ogon, co rodziło zagrożenie, że kot może się w każdej chwili odwrócić i podrapać Millie w twarz.

— Millie. Nie ciągnij kota za ogon.

— Pije moją mlekę.

— ... ale Brian powiedział, że są ludzie, którzy mogą sprowadzić auto z Belgii, w każdym razie aż do Harwich, a ja mu na to, że nie ma mowy, żebym zapłacił chociaż funta, zanim zobaczę wóz; mogliby mi przywieźć z kierownicą po lewej stronie albo coś, i co bym wtedy zrobił...

— Zaczekaj chwilę, tato, tylko tutaj posprzątam. Przestań, Millie.

Jednakże, jak to stworzenie w *Alien*, które wpiło swoje macki w twarz Johna Hurta, ojciec żądał ode mnie niepodzielnej uwagi i nie zamierzał mi odpuszczać. Próbowałem potakiwać głową, jakbym go słuchał, ale woda w gotowanych przeze mnie ziemniakach wykopiała i zgasła gaz, a potem Alfie wlaź w kałużę mleka, zmoczył sobie spodnie i zaczął płakać.

— Ale auto można kupić nie tylko w Belgii. Brian powiedział, że w Holandii też się zdarzają niezłe okazje. Jak myślisz, Michael? Czy byłoby ryzykowne kupować nowy samochód na kontynencie?

— Nic się nie stało, Alfie. Yyy, nie wiem, tato. Przestań, Millie.

Kot w końcu zaatakował Millie i z jej ramienia popłynęła krew. Millie zaczęła w panice wrzeszczeć i tata, co trzeba mu uczciwie przyznać, zauważył to.

— O rany, kot podrapał ją w ramię. Trzeba będzie zalepić plastrem. Ale Brian mówi, że wszystkie mają kierownicę po prawej stronie, poduszkę powietrzną, ABS, centralny zamek i inne rzeczy w standardzie. Musisz zobaczyć jego wóz, wszystko bardzo piękne, brytyjskie tablice rejestracyjne i w ogóle.

Gdyby Millie ucinała swojemu braciszkowi rękę nożem do chleba, tata nie uznałby tego za wystarczający powód do przerwania swojej opowieści.

— Już dobrze, już dobrze, Millie. Tak, mamusia będzie za chwilę. Nie płacz, Alfie, to tylko mleko. Nie, najpierw trzeba przemyć, Millie, a potem przylepimy plaster z Małą Syrenką. Zapłata rozłożona na trzy lata bez odsetek? Poważnie, tato?

Mój sześćdziesięciosześcioletni ojciec w istocie był jeszcze jednym dzieckiem, którym trzeba było się opiekować. Nawet wyglądał jak dziecko, z jego wielką łysą pałą i plamami po jedzeniu na ubraniu. Kiedy człowiek jest po trzydziestce, jedni i drudzy w tym samym stopniu domagają się jego uwagi — małe dzieci i starzy rodzice. Są jak samolubne rodzeństwo konkuru-

jące o jego miłość. „Tatusiu! Tatusiu! Tatusiu!” — wołała Millie, ale nie mogłem się nią zająć, bo wciąż próbowałem słuchać mojego tatusia. Jeśli chciałem zaznać trochę spokoju, to musiałem precyzyjnie zaplanować porę lunchu, tak aby ojciec miał swoją popołudniową drzemkę o tej samej godzinie co moje dzieci. Może należało powiesić nad sofą karuzelę z pozytywką, żeby na pewno dobrze spał.

Catherine i ja nareszcie mu powiedzieliśmy, że znowu zostanie dziadkiem. Sprawiał wrażenie autentycznie zachwyconego i zadzwonił przekazać nowinę swojej nowej przyjaciółce Jocelyn, chociaż znając tatę, do czasu narodzin dziecka będzie miał nową przyjaciółkę. Po lunchu zrobił nam przysługę i spał przez półtorej godziny. Zostawił małą plamę śliny na poduszce koło ust.

— Teraz już wiem, po kim masz ten zwyczaj — powiedziała Catherine, załamując mnie.

Uwielbiałem dostrzegać u siebie cechy moich dzieci, przerażała mnie natomiast perspektywa, że powoli zamienię się w swojego ojca. Mogłem się pocieszać tylko tym, że w przeciwieństwie do taty nie byłem człowiekiem, który wdałby się w przygodny romans i bezmyślnie zniszczyłby sobie małżeństwo.

W drodze powrotnej do Londynu zastanawiałem się, dlaczego tak wielu mężczyzn nie potrafi wytrwać przy jednej partnerce? Na przykład Jim miał pięć albo sześć dziewczyn, odkąd go poznałem. Gdzie jest w tym szczęście? Nie, naprawdę, nie rozumiem, jak młody mężczyzna może mieć ochotę bez przerwy się kochać z kolejnymi pięknymi kobietami. W jednym miesiącu bujnych kształtów blondyna, w kolejnym miesiącu szprycha brunetka? To przekracza ludzkie pojęcie.

Jim właśnie zaczął nowy związek z niejaką Monicą i w następnym tygodniu, kiedy byłem w moim studiu, zadzwonił do mnie na komórkę, żebym zszedł do nich do pubu Duke of Devonshire. Od dłuższego czasu bezskutecznie próbowałem nakłonić mój komputer, żeby mi wydrukował jakieś faktury i pójście do pubu wydawało mi się równie dobrą metodą perswazji jak każda inna. Kiedy przybyłem na miejsce, w ogródku pubu siedziała z nimi

najlepsza przyjaciółka Moniki, Kate, więc zacząłem z nią rozmawiać. Kate była ładna, szczupła, promieniująca energią, rozluźniona, miała wszystkie cechy, które łatwo mieć, kiedy nie jest się ciężarną matką dwójki małych dzieci. Miała obcięte do ramion kasztanowe włosy, które odrzucała do tyłu, kiedy się śmiała z moich dowcipów, i białą koszulę z krótkimi rękawami, uwydatniającą opaleniznę. „To bardzo miłe” — pomyślałem, dobrze się czując w towarzystwie atrakcyjnych młodych kobiet. Oczywiście, nie miałem zamiaru się do niej przystawiać, ale znajdowałem trochę przyjemności w rozmawianiu z nią i rozśmieszaniu jej. Nawet gdybym już nigdy się nie przespał z inną kobietą, było coś podniecającego w sytuacji, gdzie taka możliwość przynajmniej wchodziła w rachubę. Kate zapalała do mnie sympatią. Wydawało się, że szczerze jej zaimponował fakt, iż napisałem muzykę do reklamy oleju silnikowego puszczonej w Capital Radio.

Jim miał sportowy samochód ze składanym dachem, który rodzice kupili mu chyba za to, że nauczył się wiązać sznurówki, więc ze spuszczonym dachem i Supergrass wyjącym na cały regulator z głośników, pojechaliśmy do Chelsea. Jim i jego dziewczyna z przodu, ja i Kate z tyłu. Opony piszczały, kiedy Jim wyprzedzał na rondzie BMW, Kate kwiknęła ze śmiechem i na chwilę chwyciła mnie za ramię. Piosenka, której słuchaliśmy, mówiła o tym, jak fajnie jest być młodym i wolnym i czuć się super, a ja pomyślałem: „No! Uważaj, w Wandsworth jest system jednokierunkowy!” Udawanie, że jestem na luzie, sprawiało mi przyjemność. Co z tego, że jest już prawie ciemno. Okulary przeciwsłoneczne nie są od tego, żebym ja przez nie patrzył, tylko żeby inni na mnie patrzyli. Nagle byłem taki młody jak piękna superdziewczyna jadąca obok mnie.

Poczułem się odrobinę nieswojo, kiedy pomknęliśmy na drugą stronę rzeki. Tamiza przebiegała przez środek mojego życia. Na północ od rzeki byłem mężem i ojcem, na południe od rzeki byłem wolnym od trosk młodzieńcem. Kiedyś nie przyjąłem zaproszenia na wycieczkę statkiem, bo nie wiedziałbym, w jakiej roli płynę. Teraz młody, zbuntowany Michael rozpościerał

skrzydła — cały Londyn był moim kawalerskim placem zabaw. Jechaliśmy na imprezę do bardzo bogatego człowieka, dla którego Kate i Monica pracowały w zwariowanym, wolnym od trosk świecie giełdy i leasingu. W życiu nie byłem na takiej wystawnej, szpanerskiej fecie. Ciągłe odwracałem się plecami do fotografów, żeby Catherine nie zobaczyła mnie w następnym numerze „Hello!” Stroną muzyczną zajął się Japończyk, który grał na fortepianie utwory Chopina. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek z obecnych docenił, a nawet zauważył, jaki facet jest dobry.

Dom ostentacyjnie opływał w luksusy i miałem podejrzenie, że jestem jedynym gościem bez dwuczęściowego nazwiska, który miał śmiałość się tam pojawić. Próbowałem wmieszać się w towarzystwo, ale żaden z kręgów się nie otworzył, kiedy stałem na obrzeżach, więc przez jakiś czas przyglądałem się ogromnemu akwariom z rybami tropikalnymi, ale nawet gupiki zdawały się patrzeć na mnie z góry. Wszyscy mężczyźni byli tacy sami — pewni siebie, opanowani kapitanowie drużyn rugby w swobodnych strojach. Jak to jest, że ludziom z wyższych sfer nie wypadają włosy? Czy to kwestia genów czy też dodają im czegoś do jedzenia w szkołach z internatem? Wszyscy mieli gęste, faliste grzywy a la Hugh Grant, rumiane lica, skórzane mokasyny i bluzy Pringle. O znajomych wyrażali się per „pierwszorzędny chłop”. Łatwiej byłoby mi nawiązać rozmowę z Filipinkami roznoszącymi szampana, mimo że nie mówiły po angielsku. Skończyło się na tym, że przez resztę wieczoru rozmawiałem z Kate. Stale mnie pytała, jaką „piosenkę” gra pianista. Podawałem jej tytuł każdego kolejnego utworu i trochę o nim opowiadałem. Właśnie kupiła sobie gitarę i brała lekcje, więc podpowiedziałem jej kilka dobrych kawałków, których mogłaby się nauczyć. Była autentycznie zainteresowana i sprawiało mi prawdziwą przyjemność, że mogę sobie z kimś porozmawiać o muzyce. Fakt, że była bardzo atrakcyjna, stanowił oczywiście dodatkowy plus, ale naprawdę nie próbowałem jej poderwać ani się jej spodobać. Myślę, że dla takiej pięknej dziewczyny było to coś nowego i odświeżającego. Chyba dlatego jej się spodobałem.

Kilka kieliszków wina później Jim i Monica podeszli do nas i powiedzieli, żebyśmy zjechali z nimi na dół zobaczyć basen. Myślałem, że żartuj ą, ale wszedłem za nimi do windy—bo trzeba mieć windę, żeby się móc dostać do podziemnego basenu — i kiedy drzwi się ponownie otworzyły, moim oczom ukazał się rozbrzmiewający echem podziemny raj. W życiu nie widziałem takiego basenu. Była to Kaplica Sykstyńska pośród basenów. W niczym nie przypominał miejskiego basenu, na który chodziłem z Millie. Tutaj nikt nie zadbał o pielęgnację wodorostów w szparach między płytkami ani o zostawienie poplamionych krwią plastrów kiszących się w przebarwionej wodzie. Na ścianach nie było groźnych napisów, które by mi mówiły, co mi wolno, a czego nie wolno robić. Tutaj mogłem palić cygara i puszczać kółka dymu, jeśliby mnie wzięła ochota.

Jim poinformował nas, że basen jest regularnie wynajmowany jako plan zdjęciowy do filmów i pokazów mody—nietrudno było zrozumieć dlaczego. Wystarczyło wejść do pomieszczenia, żeby poczuć się jak aktor. Jakby się było kimś innym, olśniewającym i seksownym. Nie było tam nikogo. Światło było przygaszone i delikatne, nie licząc jasnych świateł na dnie turkusowej oazy, wabiących uwodzicielsko do wody. Powierzchnia basenu była zupełnie nieruchoma i gładka, jak sreberko na słoiku z kawą, czekała, aż się ją rozedrze.

— Chodźcie, popływamy — kusiała Kate.

— Ale nie mamy kostiumów kąpielowych — przypomniałem. — Może mają... zapasowe kostiumy... na górze...

Nie zdążyłem dokończyć zdania. Jim, Monica i Kate rozebrali się całkiem do naga.

— Em... w sumie nie ma tabliczki, że kostiumy są obowiązkowe.

Dziewczyny już płynęły żabką, kolebiąc piersiami.

W głębi duszy miałem świadomość, że igraszki z gołymi dziewczynami nie należą do najlepszych sposobów na dochowanie wierności żonie, ale raczej nie wchodziło w rachubę, żebym został w slipkach i popluskał się w płytkiej części basenu, więc

spurpurowiałem i rozebrałem się do rosołu. Wskoczyłem do basenu i woda obmyła całe moje ciało. Było to zmysłowe doznanie, które dawało poczucie wyzwolenia. Przepłynąłem cały basen pod wodą, częściowo dla pokazania, jaki jestem wysportowany, a częściowo dla odsunięcia chwili, kiedy będę musiał rozmawiać o niczym z piękną, nagą dwudziestoczterolatką. W końcu wypłynąłem na powierzchnię i oznajmiłem bez tchu, że woda jest wspaniała, bo tego, zdaje się, wymaga basenowa etykieta. Przepłynęliśmy kilka długości basenu, każde osobno, a potem Jim znalazł piłkę plażową, którą odbijaliśmy między sobą. Przemknęło mi przez głowę, że może jest tam gdzieś ukryta kamera i że Simon siedzi w domu i ogląda nas przez Internet. Ścigaliśmy się do piłki i spychaliśmy innych z drogi. Potem Jim zanurkował i podniósł Monicę do góry na ramionach. Skórę miała brązową, nie licząc trzech białych trójkątów normalnie zakrytych bikini, co tylko jeszcze bardziej podkreślało, że ich oglądanie jest nielegalne. Śmiała się, kiedy Jim usiłował utrzymać równowagę.

— Zróbmy walkę kogutów! — krzyknęła Monica.

— No, chodź — powiedziała Kate.

Spojrzała na mnie, żebym wziął ją na barana, a ja byłem posłuszny.

Po raz pierwszy nabrałem podejrzeń, że moja znajoma się mną interesuje, kiedy pochyliła się i delikatnie strzepnęła włos z mojej marynarki. Ten króciutki, elektryzujący moment kontaktu fizycznego, to nieśmiałe wkroczenie w moją prywatną przestrzeń wystarczyło do poinformowania mnie, że jesteśmy kimś więcej niż znajomymi. Teraz, kiedy opasałem ramionami gołe, mokre uda Kate i poczułem na szyi jej włosy łonowe, pomyślałem, że chyba już przekroczyliśmy tę granicę prywatnej przestrzeni. „Nie mogę pozwolić, żeby zrobiło się zbyt intymnie” — pomyślałem, kiedy się pochyliła, przyciskając piersi do czubka mojej głowy. Naga kobieta dosłownie na mnie siedziała, a ja wciąż sobie mówiłem, że do niewierności jeszcze daleko. W każdym razie mieliśmy dobry ubaw. Prawdę powiedziawszy, mieliśmy ubaw nie z tej ziemi. Bawię się w walkę kogutów z dwiema pięknymi, nagimi



kobietami w luksusowym basenie o północy; w domu starców mi nie uwierzą. Jim ściągnął ze mnie Kate i oboje zanurzyliśmy się pod wodę, a jej dłoń kusząco otarła się o moje krocze. Próbowałem stanąć na nogach, ale w tym miejscu dno zaczynało ostro opadać i nie było na czym stanąć. Znalazłem się na głębokiej wodzie. Popłynąłem w stronę płytszego końca, a przy okazji w stronę Kate, jak się przypadkiem złożyło, potem ją ochlapałem, a ona mnie w rewanżu. Potem zobaczyłem, że Jim i Monica stoją w wodzie i się całują, najpierw delikatnie, potem bardziej namiętnie. Stałem obok Kate. Woda w basenie była ciepła, światła łagodne i wszechświat zdawał się ograniczony do tej sekretnej pieczary. Patrzyliśmy na drugą parę, splatającą się ze sobą jak para chorobliwie podnieconych okoni. Kate uśmiechnęła się do mnie, ja przez chwilę stałem zażenowany, po czym odwzajemniłem uśmiech. Jej sutki mierzyły we mnie jak palec kaprała. Ogarnął mnie nastrój w stylu niech się dzieje, co chce. Miałem słońce na skórze i wino w brzuchu, byliśmy młodzi, opaleni i nadzy. Nie zamierzałem podfrunąć tak blisko płomienia. Moment był nabrzmiały oczekiwaniem. Musiałem coś zrobić.

— No to... opowiedz mi — zagailem. — Yyy... jak poznałaś Monicę?

— Pracujemy w tym samym biurze, pamiętasz?

— A, rzeczywiście, mówiłaś mi. No... Czyli, eee, poznałaś ją w pracy.

— Tak.

Jim i Monica wili się kilka metrów dalej i zaczęli jęczeć z cicha.

— Myślę, że dużo ludzi, eee, zna się z pracy — zaryzykowałem uogólnienie.

— Tak, chyba masz rację. Kolejna niezręczna cisza.

— Masz ładne, yyy... no...

Nie mogłem sobie przypomnieć słowa „wisiołek”, więc pokazałem na niego w nadziei, że Kate mi podpowie.

— Piersi? — spytała trochę zaskoczona, spuszczać na nie wzrok.

— Nie, nie, nie. Boże drogi, nie. Znaczący, też są bardzo ładne — nie żebym się szczególnie przyglądał — ale skoro już o tym mowa... yyy... — Dlaczego nigdy nie przyplynie wielki biały rekin, nie wciągnie człowieka pod wodę i nie pożre w całości, kiedy zajdzie taka potrzeba?—Nie, chodziło mi o to coś, co masz na szyi.

— Wisiorek?

— Właśnie tego słowa szukałem. Wisiorek. Podoba mi się twój wisiorek.

— Dziękuję.

— Yyy, myślę, że przepłynę jeszcze kilka długości — powiedziałem, a ona uśmiechnęła się półgębkiem, kiedy bardzo niegrzecznie ją tam zostawiłem i pełnym gazem popłynąłem na drugą stronę basenu.

Oddalając się od niej, zastanawiałem się, co robi w tym momencie Catherine. Było gdzieś koło północy, więc zapewne karmiła Alfiego. Miałem nadzieję, że Millie się nie obudziła. Zamierzałem zablokować okiennicę nad jej łóżeczkiem, żeby przestała się tłuc na wietrze, bo być może to budziło Millie. Catherine prosiła mnie dwa razy, ale jeszcze się do tego nie zabrałem.

Celowo nie podniosłem wzroku podczas pierwszych pięciu przepłyńnięć basenu, ale kiedy to zrobiłem, zobaczyłem, że Kate wyszła na brzeg i ubrała się. Chwilę wcześniej byłem tak bliski pocałowania jej; chciałem przycisnąć swoje nagie ciało do jej nagiego ciała i pocałować ją prosto w usta; na tym podziemnym basenie czułem się jak w innym świecie, w którym obowiązują inne zasady i inna moralność. Zawędrowałem daleko między wzgórza mojej kawalerskiej Narnii — niemal za daleko, żeby wrócić.

Nie mogłem ryzykować ponownego znalezienia się tak blisko przepaści. Nie miałem do siebie zaufania, że po raz drugi okażę się silny, zwłaszcza gdybym dalej pił, więc postanowiłem wrócić do mieszkania.

— No, chodźmy — poparła mnie Kate, kiedy jednostronnie ogłosiłem zamiar wyjścia.

„Och, nie — pomyślałem — posłuchaj, usiłuję się wykazać silną wolą, nie utrudniaj mi zadania". Jednakże kiedy Jim jechał Kings Road, objęła mnie ramieniem, a ja nie czułem się zdolny jej poprosić, żeby je zabrała, więc zostało tam, opasując moje usztywnione barki aż do samego Balham. Role uległy dziwnemu odwróceniu. Ja byłem nieśmiałą dziewczynką, a ona drapieżnym starszym chłopcem. Pociągała mnie, lecz wiedziałem, że muszę z tym walczyć. Nie byłem w stanie odciągnąć oka od dekoltu jej koszuli, gdzie zobaczyłem górne zbocza jej piersi. Żeby było dziwniej, wciąż mnie podniecały, chociaż dopiero co widziałem je nagie i skaczące na wszystkie strony w basenie. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że widzę Catherine pchającą chodnikiem wózek, lecz kiedy podjechaliśmy bliżej, okazało się, że to lump pchający wózek sklepowy ze starymi torbami — trudno byłoby o większy kontrast.

Kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu, musiałem ostrożnie rozegrać sprawę. Siedzieliśmy wszyscy przez jakiś czas, pijąc i paląc wspólnego skręta, ale kiedy tylko uznałem, że nie będzie to nieuprzejme, oznajmiłem, że idę spać.

— Który jest twój pokój, Michael? — spytała Kate entuzjastycznie.

— Za łazienką, pierwsze drzwi na lewo — odparłem odruchowo, tak jakby pytała mnie tylko po to, żeby poznać rozkład mieszkania. Potem zdałem sobie sprawę z możliwych konsekwencji mojej odpowiedzi i dodałem wymownie: — Dobranoc, Kate.

— Dobranoc — odparła.

I pomyślałem sobie: „Uff!"

A potem mrugnęła do mnie po łobuzersku.

Pięć minut później leżałem w łóżku i nerwowo obserwowałem kłamkę, czekając, kiedy się poruszy. Wymyśliłem sobie, co powiem Kate. Jest naprawdę piękna, bardzo mnie pociąga, ale mam nadzieję, że mnie zrozumie, bo jestem zakochany w kim innym i nie mogę zdradzić tamtej dziewczyny. Ćwiczyłem sobie w głowie ten tekst, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że Kate nie przyjdzie. Zaraz potem zasnąłem.

Śniło mi się, że Kate jest ze mną w łóżku, całuje mnie w usta i gładzi po włosach. Był to przyjemny sen i chciałem, żeby trwał dalej. Ja też ją pocałowałem i pieściłem jej nagie pośladki; sen należał do tych, którymi można kierować, bo w tym momencie ona zaczęła pieścić moje pośladki. Poruszyłem się trochę, lecz sen trwał dalej. Stał się nawet jeszcze bardziej realny. Kate ugryzła mnie w górną wargę, otworzyłem oczy, Kate uśmiechnęła się do mnie i jeszcze raz mnie pocałowała, i naprawdę była w moim łóżku, świeża, czysta i pachnąca chlorem, ciało miała inne niż Catherine, ale też przyjemne i teraz nie było już żadnych barier. Przestałem się bronić. Nikt się nie dowie. Kate całowała mnie długo i mocno, włożyła mi dłoń między nogi, a ja wyjęczałem słabym głosem:  
— O Boże! Nikomu nie powiesz, co?

## Rozdział 6

### ZAKAZANE ROZKOSZE

*Kiedy Kate i ja kochaliśmy się tej nocy po raz trzeci, odkryła, że w tej dziedzinie niewiele jest rzeczy, które byłyby mi obce. Przecwicziliśmy wszystkie pozycje, które widziałem na wideo Simona „Poradnik dla kochanków”, a potem kochaliśmy się we wszystkich pozycjach, które pokazali we fragmentach wyciętych przez cenzurę. Staliśmy, leżeliśmy, siedzieliśmy, robiliśmy to pod prysznicem, na łóżku, na podłodze i pod ścianą. Wciąż z nią spleciony, po męsku dźwignąłem ją i poniosłem przez pokój. Ponieważ obie dłonie miałem zaciśnięte na jej nagich pośladkach, przechyliła kieliszek i wlała mi do ust szampana. Większość się rozlała i śmialiśmy się dekadenccko, kiedy szampan ciekł mi po brodzie i musował w miejscu, gdzie jej piersi były przyciśnięte do mojego torsu. Dalej ją niosąc, za pomocą jej lewego pośladka wcisnąłem guzik „play” w mojej wieży i włączył się kompakt z Uwerturą „Rok 1812”. Prawym pośladkiem Kate zwiększyłem*

*głośność. Potem Czajkowski prowadził nas przez rozkosze seksu. Kiedy rosyjski hymn narodowy wojował symbolicznie z „La Marseillaise”, przetaczaliśmy się po dywanie, walcząc o to, które z nas będzie na wierzchu, drapiąc się i gryząc przez całą „Bitwę pod Borodino”. Uniosłem się do góry wraz z sekcją smyczków, ona zaś jęknęła do wtóru fanfar blachy. Wreszcie uwertura osiągnęła kulminację i szczytowaliśmy razem na podłodze; Kate krzyknęła: „Tak! Tak! Tak!”, kiedy zadźwięczały cymbały, huknęło z armat i triumfalny marsz armii Napoleona został powstrzymany u bram Moskwy. A potem przeleżeliśmy nieruchomo całą noc, dysząc na dywanie, gdy nad całą Rosją rozbrzmiewało bicie w dzwony.*

Wyobrażam sobie, że tak by się to odbyło, gdyby się odbyło. Nie potrafiłem tego zrobić. Nie byłem w stanie zdradzić mojej żony. Myślę, że stało się to dla mnie jasne, kiedy przycisnąłem Kate do siebie i powiedziałem: „Och, Catherine”. Nie potrafiłem wypędzić jej z głowy. Nie do końca. Przegródki w moim mózgu wyraźnie potrzebowały grubszych ścian.

Reakcja Kate była inna, niż się spodziewałem.

— Boże. Od lat nikt tak do mnie nie powiedział.

— Słucham?

— Catherine. Właśnie powiedziałaś do mnie Catherine. Skąd wiedziałaś, że mam na imię Catherine, a nie Kate?

— Yyy, no, Kate to jest zdrobnienie od Catherine, prawda?

Przeczytałem to w księdze imion. Znaczy, nie mojej, tylko znajomego, któremu miało się urodzić dziecko.

— Przestałam tak na siebie mówić, kiedy skończyłam szkołę z internatem. Nienawidzę imienia Catherine, a ty?

— Yyy, nie. Ja nie nienawidzę.

— Które wolisz, Kate czy Catherine?

— Yyy, no, oba są ładne, ale muszę powiedzieć, że wolę Catherine.

Przykro mi.

Chwila namiętności minęła i szybko pozbierałem się do kupy. Tak było lepiej. Rzeczywistość nie dorosłaby do erotycznego

ideału. Po orgazmie szybko przyszedłby potężny żal, wyrzuty sumienia, odraza do siebie samego, lęk i przygnębienie. To całkiem wysoka cena za pięć minut pocenia się po omacku w ciemnościach. Zmyśliłem więc wspomnienie o czymś, co prawie się wydarzyło, wspomnienie, które mogłem zachować na zawsze. Kate zachowała się bardzo sympatycznie. Uznała za urocze, że tak bardzo chcę być wierny tej drugiej dziewczynie, o której nie chciałem mówić. Zachowała się tak sympatycznie, że miałem ochotę ją pocałować, ale to chyba nie uczyniłoby sytuacji klarowniejszą.

— W każdym razie ma dziewczyna szczęście — powiedziała Kate.

— Nie jestem tego taki pewien.

Rozmawialiśmy przez parę godzin i poczułem się odrobinę mniej winny, kiedy mi powiedziała, że trochę durzy się w Jimie, ale walczy z tym, bo jej wybranek chodzi z jej najlepszą przyjaciółką. Dobrze, że nie posunęliśmy się dalej, bo ja bym wołał: „Catherine! Catherine”, a ona: „Jim! Jim!” W końcu odstąpiłem jej swoje łóżko, a sam spałem na podłodze z utworem Piotra Iljicza Czajkowskiego rozbrzmiewającym mi w głowie, kiedy sobie wyobrażałem, co mogło być...

— Znowu zaczynasz? — spytała Catherine następnego dnia.

— Co?

— Nucić *Uwerturę „Rok 1812”*.

— Naprawdę? Przepraszam.

Siedzieliśmy razem na korytarzu szpitala. Tak długo czekaliśmy na USG po dwunastu tygodniach ciąży, że miało wszelkie szanse się przerodzić w USG po czternastu tygodniach ciąży.

— Jesteś jakiś milczący. O czym myślisz?

— A, o niczym — skłamałem. — Zastanawiam się, ile jeszcze każą nam czekać.

— Co to ma za znaczenie? — powiedziała, ściskając mnie za ramię.—Przyjemnie jest mieć trochę czasu dla siebie, bez dzieci.

— Mhm — odparłem niezbyt przekonany.

Sądziłem, że żartuje. To mają być przyjemne chwile sam na

sam z mężem? Siedzieć całą godzinę w pachnącym sterylizacją szpitalu i oglądać przewożonych na wózkach bladych jak śmierć staruszków ze sterczącymi rurkami? Dla Catherine to była sama rozkosz!

— Jeśli będziesz grzeczna — powiedziałem — to w drodze powrotnej spróbuję utknąć na dwie godziny w korku.

— O, tak, proszę cię! W Radio 4 pewnie będzie szła sztuka, wyciągnę się w fotelu, zamknę oczy i zrelaksuję się. To byłby raj.

— Czemu nie? — powiedziałem, korzystając z okazji. — Czemu nie mielibyśmy pójść gdzieś do parku, zabrać książkę i trochę wina i spędzić dwie godziny na nicnierobieniu?

— Mm. To byłoby cudowne, prawda?

— Tak, byłoby, więc czemu tego nie robimy?

— Ach, tylko pomyśl. Zupełna błogość.

— Więc zrobmy to.

— To byłby po prostu raj.

Uważała tę wizję za nieziszczalne marzenie, niestworzoną fantazję, która za życia nigdy się nie spełni.

— Ale to byłoby nieładnie wobec mamy.

— Przecież ona uwielbia zajmować się dziećmi.

— To byłoby nieładnie wobec dzieci.

— Przecież one uwielbiają, jak twoja mama się nimi zajmuje. Umilkła na chwilę, bo skończyły się jej wymówki.

— Nie. Po prostu nie mogę. Przepraszam.

W tym tkwił szkopuł. Chciała spędzać z dziećmi każdą godzinę dnia, a ja nie, co oznaczało, że nie mogłem z nią przebywać bez dzieci, z wyjątkiem takich sytuacji jak ta, kiedy przyszliśmy obejrzyć zdjęcie następnego dziecka.

Ze ściśniętymi kolanami kołysała się na plastikowym krześle.

— Nie musisz przypadkiem iść do ubikacji? — spytałem.

— Jak się tego domyśliłeś? — zakwiliła cierpiącym tonem, po czym wypila kolejne pół litra wody z plastikowej butelki.

Dowiedziała się z wiarygodnego źródła, że lepiej widać zarodek na USG, jeśli matka ma pełny pęcherz. Sądząc po ilości litrów, które pochłonęła, liczyła na zdjęcie klasy Davida Horo-

witza. „A teraz moglibyśmy zobaczyć płód z profilu? Prosimy spojrzeć w obiektyw i uśmiechnąć się. Znakomicie. A teraz obejmij ramieniem łożysko i unieś kciuk do góry. Fantastycznie! Teraz ostatnie zdjęcie. Bardzo proszę, jedną ręką pokaż na kanał rodny, a drugą zaciśnij kciuk. Ha, ha, ha, cudownie!”

— Już dłużej nie wytrzymam — powiedziała. — Jak tylko mi przyciśnie ten dinks do pęcherza, to nasikam w majtki, jestem tego pewna.

— To idź się wysiusiać.

— Nie, chcę, żeby pierwsze zdjęcie dziecka dobrze wyszło.

— No to staraj się o tym nie myśleć. Rób ćwiczenia oddechowe albo coś.

— Już robię.

Oczywiście wiedziałem, że nie nasika w majtki, chyba żeby doktor zniecka oznajmił, że widzi bliźniaki. Przydarzyło się to Nickowi i Debbie, naszym sąsiadom. Poszli na USG i nagle się dowiedzieli, że będą mieli parkę. Oni uznali to za dobrą wiadomość, Boże, daj im zdrowie. Kiedy ostatnim razem mijałem ich dom, wydawało mi się, że wychodzą z niego dziadkowie, ale gdy spojrzałem jeszcze raz, okazało się, że to Nick i Debbie we własnych osobach — sześć miesięcy po narodzinach bliźniaków.

W końcu przyszła kolej na nas i doktor poprosił Catherine, żeby się położyła. Aby pokazać, że ma pełne zaufanie do higieny osobistej mojej żony, położył na łóżku długą wstęgę papieru, zanim Catherine weszła w styczność z materacem ze sztucznej skóry. Mnie z jakiegoś tajemniczego powodu ominęły podejrzenia o poważną chorobę skórą, dzięki czemu pozwolono mi po prostu usiąść na krześle. Następnie doktor przytoczył swoje wielkie, sprawiające wrażenie kosztownych czary-mary, które dla zmyłki nazywał ultrasonografem. Oczywiście USG płodu to jeden wielki szwindel. Wcale ci nie pokazują twojego dziecka. Kiedy w służbie zdrowia robiono cięcia, jednego z księgowych nagle olśniło, że ultrasonografia to kompletna strata pieniędzy. Wszystkie dzieci wyglądają w macicy zupełnie identycznie, więc w dzisiejszych czasach po prostu puszczają ci kasetę wideo



z płodem, nakręconą w latach sześćdziesiątych. Dlatego obraz wciąż jest czarno-biały. Wszystkim nam kazano popatrzeć na monitor, gdzie zobaczyliśmy dokładnie ten sam film z tym samym płodem, wszyscy ściskaliśmy dłoń partnerki i zagryzaliśmy wargi na widok nadprzyrodzonego piękna naszego jeszcze nie narodzonego dzieciątka, chociaż to, co oglądamy, jest ginekologicznym odpowiednikiem małej dziewczynki grającej w kółko i krzyżyk na telewizyjnym obrazie kontrolnym. Płód, na który patrzymy, w rzeczywistości urodził się wiele lat temu. Teraz jest już dorosły. Pracuje jako geodeta i mieszka w Droitwich. Wciąż dostaje tantiemy.

Oczywiście dla zachowania pozorów nadal smarują bulę twojej żony lodowatym żelazem, robią palcem kółko na ekranie i mówią: „Proszę popatrzeć, tu jest głowa, widzi pan?“, chociaż to wszystko wygląda jak bąbelki z kiepskiego undergroundowego filmu animowanego z lat sześćdziesiątych. Mimo to zadowolony idziesz do domu z tym rozmazany zdjęciem, wierząc, że przedstawia ono twoje następne dziecko, i w twojej głowie nie uruchamiają się dzwonki alarmowe, kiedy znajomy mówi: „USG mojej Jocasty jest prawie identyczne“.

Podszedłem do aparatu jak cyniczny weteran, ze zblazowaną miną człowieka, który ma już dwa zdjęcia ultrasonograficzne swoich dzieci, oprawione i artystycznie umieszczone w galerii czarno-białych zdjęć na ścianie przy schodach domu. Lekarz włączył monitor, a ja powiedziałem: „Na drugim kanale leci turniej bilardowy“. Catherine poinformowała mnie, że ten sam dowcip rzuciłem już przy okazji USG Millie i Alfiego. Zamknąłem więc paszczę i przez zmrużone oczy patrzyłem w monitor, kiedy sonda głębinowa szukała w mętnych odmętach jakichś znaków życia. Lecz kiedy zobaczyłem nagle wyłaniający się kształt naszego trzeciego dziecka, cały mój sceptycyzm i krotchwilny nastrój natychmiast przysły. To był cud. Tam w środku naprawdę było dziecko. To po prostu przekracza zwykłe ludzkie pojęcie, jak takie coś może się wydarzyć. Jak to możliwe, że w wyniku złączenia się naszych ciał powstała zupełnie nowa,

odrębna istota? Skąd ciało Catherine wiedziało, w jaki sposób ma wykształcić pępowinę, owodnię i łożysko, skąd wiedziało, w jaki sposób ma stworzyć małego człowieczka o dokładnie takim jak trzeba kształcie i rozmiarach? Jak to możliwe, że takie złożone informacje biologiczne ma instynktownie wprogramowane, podczas gdy świadoma Catherine nie potrafi nawet zaprogramować zwykłego wideo? Jak to możliwe, że mój plemnik przekazał tyle milionów informacji, skoro ja zawsze zapominam powtórzyć Catherine, że dzwoniła jej matka? Potrzebne były miliony milionów lat ewolucji, aby dotrzeć do tego punktu. Jedne gatunki ginęły, a inne się pojawiały tylko po to, żeby to idealnie uformowane maleństwo mogło się narodzić. Chwała Bogu, było tylko jedno. W przeciwieństwie do brzydkich tajemnic kopiących mnie od środka w brzuch; one były pięcioraczkami, sześcioraczkami, ośmioraczkami. Chwała Bogu, nie istniała maszyna, która potrafiłaby zajrzeć mi do wnętrza. Chociaż właściwie to szkoda. Lekarz by pokazywał na rozmaite plamy na ekranie i mówił: „Proszę spojrzeć, to są pańskie lęki—rozrastają się do niepokojąco dużych rozmiarów. Czy w pańskiej rodzinie występują problemy lękowe?” Albo: „Hm, wygląda na to, że pańskie ego mogło zostać poobijane. Poprosimy pielęgniarkę, żeby je panu rozmasowała”.

Patrzyłem na leżącą na łóżku Catherine i myślałem sobie, że trudno byłoby znaleźć dwie bardziej różne od siebie osoby. Ja siedzę spokojnie, zapięty pod szyję mężczyzna chowający w środku wszystkie swoje tajemnice, a z drugiej strony Catherine, wylewna, otwartego serca kobieta z podciągniętym podkoszulkiem, rozpiętymi spodniami i głowicą USG wędrującą po jej obnażonej przeponie, tak że nawet zdarzenia zachodzące we wnętrzu jej ciała były transmitowane przez telewizję, żebyśmy wszyscy mogli sobie pooglądać.

Patrzyliśmy uważnie, kiedy lekarz obliczał długość od grzbietu czaszki do pośladków, by orzec na podstawie tego rachunku, że Catherine jest w dwunastym tygodniu ciąży. Diagnoza ta wydawała się raczej niepodważalna, jako że przyszliśmy zrobić USG po dwunastu tygodniach. Potem długo rozprawiał o obec-

nym stadium ciąży tudzież o objawach, których Catherine powinna się spodziewać w nadchodzących miesiącach. Catherine słuchała i kiwała głową najuprzejmiej, jak umiała w sytuacji, gdy przechodziła przez to wszystko już dwa razy, a w tym momencie jej największym pragnieniem było pobiec do ubikacji i oddać mocz.

Wkrótce jechaliśmy z powrotem do domu. Catherine siedziała obok mnie wpatrzona w zdjęcie trzymiesięcznego płodu.

— Myślę, że byłoby bezpieczniej, gdybym ja prowadził — powiedziałem nerwowym tonem.

Zjechała na przystanek autobusowy i ponownie pokazała mi zdjęcie. Już teraz kochałem to dziecko. Pocałowałem ją nieśmiało. Byłem z niej dumny, że jest taka pozytywnie nastawiona do życia i pełna optymizmu. Rozpiąłem pas, żebym mógł się pochylić i porządnie ją pocałować, i nagle stwierdziłem, że ściskam ją i całuję jak uratowane dziecko. O mało co nie zerwałem się z kotwicy, lecz znowu byłem z nią i tak się z tego cieszyłem, że zasypywałem ją milczącymi, pełnymi wdzięczności i wyrzutów sumienia pocałunkami i ściskałem ją trochę za mocno.

— Nic ci nie jest? — spytała. — Tak się cieszę na to dziecko.

Słowa te napełniły ją taką ulgą, że namiętnie odwzajemniła mój pocałunek. Żadne dzieci nie szarpały nas za nogi ani nie hałasowały gdzieś w tle. Nie było nikogo oprócz mnie, Catherine i wszystkich ludzi czekających w kolejce na autobus numer 31.

W tym momencie znajdowaliśmy się na samym wierzchołku naszego cyklu emocjonalnego, który cechowała biologiczna regularność cyklu menstruacyjnego lub biorytmu. W ciągu mniej więcej siedmiu dni prowadził nas on od zajadłych sprzeczek do pełnej miłości i wzajemnej adoracji. Za każdym razem dawałem się nabrać. Co tydzień, gdy z oddaniem patrzyliśmy sobie w oczy, sądziłem, że wreszcie nam się udało na zawsze rozwiązać nasze problemy. Lecz kiedy dzień lub dwa dni później Catherine irytowała się na mnie bez żadnego widocznego powodu, robiłem się milczący i najeżony, co z kolei podsycalo jej drażliwość. Napięcie

wzrastało, dopóki nie osiągnęliśmy najniższego punktu cyklu, kiedy to wybuchała kłótnia, mówiliśmy sobie paskudne, raniące, głupie rzeczy, przez krótki czas nie znosiliśmy się nawzajem z taką samą namiętnością, z jaką zaledwie dwa dni wcześniej się adorowaliśmy. Potem ja znikiałem na jakiś czas, wciąż znajdowałem się w jej orbicie, w zasięgu jej pola grawitacyjnego, lecz w tym momencie odległość między nami była największa. Potem pojawiałem się znowu, przez chwilę świeciłem jasno w jej życiu i wszystko wskazywało na to, że już do końca życia będzie się między nami doskonale układało.

Jeśli nie miałem pewności, w jakiej fazie cyklu się znajdujemy, wystarczyło sprawdzić wysokość sterty rzeczy do prasowania. Pomiętych ubrań z początku było kilka sztuk, lecz z upływem tygodnia przybywały kolejne, aż wreszcie wieża groziła zawaleniem i kiedy w końcu dochodziło do awantury, Catherine z wściekłością zabierała się do prasowania, brutalnie jeżdżąc syczącym metalem po twarzach Barbie i Kena, uśmiechających się do niej z podkoszulków Millie.

Pozostałą część drogi do domu przejechaliśmy w oparach błogości i stał się cud — Catherine zgodziła się wyjść gdzieś wieczorem, jeśli jej matka nie będzie miała nic przeciwko zostaniu dłużej z dziećmi. Jej mama przystała na to z entuzjazmem. Czyhała na każdą okazję położenia dzieci do łóżka, mogła wtedy bowiem ululać je kolejnym wciągającym epizodem z zaniedbywanego egzemplarza *Historii biblijnych dla dzieci*, który podarowała Millie pod choinkę.

Matka Catherine była anglikańską fundamentalistką, toczyła swój dżihad przeciwko każdemu, kto nie zaprosił Jezusa do swojego serca, jak również z każdym, kto nie pomógł jej w przygotowaniu wenty charytatywnej w dniu św. Botolfa.

Miałem upatrzoną koszulę do włożenia, ale okazało się, że trzeba ją wyprasować. Przyszło mi do głowy, że mógłbym wywołać awanturę, bo wtedy nie musiałbym czekać dwa dni, ale po rozważeniu wszystkich za i przeciw uznałem, że byłoby chyba nieuczciwe i wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy przyspie-

szuć kłótnię, zanim w sposób organiczny przyjdzie na nią pora, więc sam wyprasowałem sobie koszulę. Catherine była zdumiona i zachwycona, widząc mnie z żelazkiem w ręku, a potem się zorientowała, że prasuję tylko swoją koszulę, nie tykając ubrań jej i dzieci, więc wybuchła potworna awantura. Niebawem Catherine wszystko prasowała, łącznie z koszulą, którą ja doprowadziłem do stanu gorszego niż przed prasowaniem.

— Jezu, czasem wyłazi z ciebie koszmarny egoista, Michael — powiedziała Catherine.

— Proszę cię, moja droga, nie używaj w ten sposób imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa — skarciła ją matka.

Był to chyba jedyny raz, kiedy nasz cykl emocjonalny trwał kilka godzin, a nie pełne siedem dni. Nie poszliśmy nigdzie tego wieczoru, zamiast tego ja pojechałem czarną linią metra do Balham. „Uwaga na stopień” — powiedział głos na stacji Embankment. Kilka godzin później znowu byłem w moim mieszkaniu. Kiedy miałem już pewność, że Catherine śpi, oschłym tonem nagrałem wiadomość, że coś mi wyskoczyło i przypuszczalnie nie będę w stanie wyjść ze studia przez najbliższe dwa dni. Kłamstwa są jak papierosy — po pierwszym jest ci niedobrze, ale wkrótce jesteś od nich uzależniony i robisz to odruchowo.

Nazajutrz był najcieplejszy dzień lata. Synoptyk zapowiedział trzydzieści stopni, lecz w Londynie temperatura była zapewne o parę stopni wyższa z powodu tego całego sprzętu elektronicznego w moim studiu. Nie minęło więcej niż pół godziny pracy, kiedy Jim wsadził głowę przez drzwi i spytał, czy chcę iść na grillowanie na Clapham Common. Diabełek koło mojego lewego ucha mówił: „Idź, jest cudowny dzień, zabaw się trochę. Praca może zaczekać”. Aniołek koło mojego ucha mówił: „Kurde, jaki jest sens w ogóle się zabierać do roboty?”

Grillowanie już się zaczęło. Na naszym pikniku było około dwudziestu osób, wszyscy z grubsza w moim wieku — czyli siedem albo osiem lat młodszy ode mnie. Dziewczyny z przekłutymi pępkiem kładły głowy na kolanach chłopaków w wojskowych spodniach, muzyka ulatywała nad trawą, dymiły dwa jedno-

razowe grille i zapach węgla drzewnego mieszał się z pióropuszcami marihuany. Młodość miała tyle wolności, że nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Byłem trochę speszony, że się wkręciłem na imprezę dla dwudziestokilkulatków, jakbym się bał, że któreś z nich nagle usiądzie, pokaże na mnie palcem i powie: „Chwileczkę, ty nie jesteś młody!” Sporo facetów miało bródki, takie malutkie, że wydawały się niewarte wkładanych w nie starań. Ale nie ja—ja byłem o wiele za stary na brodę. Schowałem się za okularami przeciwsłonecznymi i znalazłem sobie miejsce pomiędzy wyciągniętymi nogami dziatwy; niektórzy mieli na sobie rozszerzane u dołu spodnie, jakie — przypominałem sobie — niegdyś nosiłem. Gdyby ktoś mnie zapytał, nie umiałbym sobie przypomnieć, kiedy umarł Elvis. Elvis to imię czy nazwisko? Falklandy? Co to było? Maszyny do pisania? Nie słyszałem o czymś takim. Microsoft Windows '95 — a, tak, coś mi kołacze.

Najtragiczniejsze było to, że podczas gdy przypominałem sobie wszystko z młodości, kilka ostatnich lat tkwiło w zupełnym mroku. Wszyscy z tej bandy wiedzieliby, która piosenka zajmowała pierwsze miejsce na listach przebojów. Kiedy ja ostatni raz posiadałem taką wiedzę, kiedy mnie to jeszcze interesowało? Wciąż potrafiłem podać listę wszystkich bożonarodzeniowych pierwszych miejsc z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych — mógłbym podać tytuły wszystkich utworów z wszystkich albumów, które wtedy kupiłem—ale poproszony o zmagazynowanie jakichkolwiek bieżących informacji, mój mózg odmawiał. Dysk jest pełny. Powinna istnieć możliwość skasowania niektórych plików, żeby zrobić miejsce na nowe. Na przykład dzięki trzygodzinnej sesji wyężdżania mózgu po śniadaniu z Simonem wiedziałem, że St. John's Wood to jedyna stacja metra, której nazwa nie zawiera liter ze słowa „makrela”. Byłbym przeszczęśliwy, gdybym mógł wyrzucić tę wiedzę z mózgu, aby zrobić miejsce na datę urodzin mojego ojca. Co roku jednak zapominałem wysłać mu kartkę z życzeniami, natomiast za każdym razem, gdy pociąg metra wjeżdżał na St. John's Wood, myślałem o makreli.

Wziąłem podaną mi małą butelkę francuskiego piwa, położy-

łem się, zamknąłem oczy i dałem się unieść słońcu i alkoholowi. Kilkoro imprezowiczów podniosło się z wysiłkiem na nogi, żeby porzucać sobie młodzieńczo dyskiem. Inni zajęli się skręcaniem jointów albo wkładaniem rozgotowanych kiełbasek do bułek. Marihuana wędrowała w jednym kierunku, hot dogi w drugim; wśród współczesnej młodzieży przypuszczalnie obowiązuje w tej sprawie jakaś etykieta. Sprawny przebieg tego pikniku uświadomił mi, że te dzieciaki nie są takimi nihilistami i próżniakami, jakich udają; ich obijanie się było zdecydowanie za dobrze zorganizowane. Pierwszy lepszy pracownik agencji reklamowej potrafiłby mi podać nazwę tego konkretnego plemienia. Przekłute pepki? Klubowicze? Szpanerzy z Majorki? Myślę, że oczekiwano od nich, iż będą pili pepsi max i kupowali snowboardy albo martwili się o przyszłość naszej planety, ale w możliwie najbardziej hedonistycznym stylu. Dziewczyny wierzchem nadgarstków odgarniały z twarzy swoje błyszczące, długie włosy i roztaczały zdrową aurę dzieci z dobrych rodzin. Tak jak Jim, byli ekskluzywnymi hipisami. Wypisali się ze społeczeństwa, ale kupili sobie bilety powrotne na później. Ich rodzice spędzali lato w Ascot, Henley i Wimbledonie, te dzieci miały swój własny sezon letni: jeździły na festiwale kultury celtyckiej czy na festiwale muzyki rockowej do Reading i Glastonbury.

Jeśli zatem nie byłem jednym z nich, do którego plemienia zaliczyłaby mnie branża reklamowa? Kiedy Hugo poprosił mnie o napisanie podkładu muzycznego do „Rodzinnego sedana, który uważa się za samochód sportowy”, powiedział mi, że mierzą w „młodych tatusiów”. Ciarki przeszły mi po kręgosłupie, kiedy poczułem się zakatalogowany przez te kilka sylab. „A, znam ten typ” — powiedziałem krytycznie, jednocześnie wrzucając do kosza na śmieci magazyn dla mężczyzn.

Południowe słońce mocno prażyło, więc schowałem się do cienia, żeby sobie nie zrumienić mojego wrażliwego czoła. Trudno byłoby wyjaśnić, jakim cudem oparzyłem sobie skórę, siedząc cały dzień przy keyboardzie. Nagle usłyszałem, że w mojej torbie dzwoni telefon komórkowy. Spodziewałem się jęków ze strony

alternatywnych ekologów, ale wszyscy w tym samym momencie sięgnęli do swoich kieszeni i toreb.

— Cześć, to ja — powiedziała Catherine. Jej ton był odpowiednio chłodny, zważywszy na to, że mieliśmy sprzeczkę, ale przynajmniej ona pierwsza nawiązała kontakt. — Jesteś w swoim studiu?

Pomyślałem, że mogę odpowiedzieć na to pytanie, nie posuwając się do niepotrzebnego kłamstwa.

— Nie.

— W takim razie gdzie jesteś?

Wyczuwałem, że będzie próbowała mnie zwabić do domu na czas kąpieli. Rozejrzałem się dookoła i uznałem, że nie byłoby najlepszym pomysłem powiedzieć jej, iż wyleguję się na trawie Clapham Common. Jeden z chłopaków miał koszulkę Manchesteru United.

— Jestem w Manchesterze.

Osoby siedzące wokół mnie sprawiały wrażenie zaintrygowanych, więc uśmiechnąłem się do nich i odegrałem zniecierpliwienie tym, że mój rozmówca nie potrafi pojąć takiego oczywistego i prostego faktu.

— W Manchesterze? Naprawdę? Gdzie?

— A, United.

— Co?

— Znaczący, yyy, Piccadilly.

To był zły wybór. Catherine studiowała w Manchesterze.

— Czemu powiedziałaś united?

— Przepraszam, po prostu Manchester kojarzy mi się z United. Przez kontrast do Manchester City, którzy mają błękitne koszulki, oczywiście.

— Co ty opowiadasz?

— Przepraszam. Właśnie kazali mi się pospieszyć, bo ta sala montażowa kosztuje ich pięć stówek za godzinę.

— O, czyli nie zobaczysz się z dziećmi przed spaniem?

— Obawiam się, że nie. Straszny tu jest kocioł. Muszę coś na miejscu przerobić. Nienawidzę pracować pod presją!

— O. — Sprawiała wrażenie rozczarowanej. — No, właśnie



wychodzimy zobaczyć nowy dom Susan i Piersa. Zadzwoń do ciebie jutro.

— Tylko nie daj się wciągnąć Piersowi w rozmowę o astrze, bo do rana się stamtąd nie wyrwiesz.

Była jeszcze na mnie za bardzo obrażona, żeby się roześmiać, więc poprosiłem, żeby ucałowała ode mnie dzieci, pożegnaliśmy się i rozłączyli. Żadne z nas nie przeprosiło za okropne rzeczy, które krzyczeliśmy do siebie dzień wcześniej, ale lody zostały przełamane i następnego dnia mieliśmy rozmawiać ze sobą cieplej. Tak było dużo lepiej; uniknęliśmy trzaskania drzwiami przez dwa dni i zepsucia sobie nawzajem weekendu. Otworzyłem kolejne piwo i przez godzinę leniwie obserwowałem, jakie kształty przybierają chmury. Wydawało mi się, że wszystkie mają kształt chmur.

Komórka znowu zadzwoniła i tym razem był to Hugo Harrison. Kiedy skończyłem ostatnie zlecenie dla niego, nagrałem mu ten kawałek trzy razy pod rząd, wiedząc, że będzie go chciał wielokrotnie przesłuchać — oszczędzałem mu w ten sposób przewijania.

— Cześć, Michael, tu Hugo. Posłuchałem sobie twoich kawałków.

— Kawałków? — odparłem zdziwiony, że użył liczby mnogiej-

— No. Więc tak, podoba mi się początek pierwszej wersji, tempo drugiej, a zdecydowanie najlepsze zakończenie ma trzecia.

Co miałem powiedzieć? Że są identyczne, ty debilu?

— Yyy, no, ciekawe — wyjąkałem.

— Mógłbyś jeszcze raz rzucić na to okiem, zmiksować najlepsze fragmenty wszystkich trzech wersji?

— No, mógłbym spróbować, zanotuję sobie. — Patrzący na mnie ludzie zastanawiali się, dlaczego nic nie piszę. — Początek pierwszej, tempo drugiej i zakończenie trzeciej. Dobra, postaram się, ale to może zająć parę dni.

— W porządku. Na razie, Michael, muszę lecieć.

Znowu się wyciągnąłem na trawie, odnotowując w pamięci,

żeby mu wysłać jedną wersję dokładnie tego samego miksu; wiedziałem, że będzie nią zachwycony.

Z upływem dnia na grillowanie przyszło więcej ludzi, między innymi Kate i Monica. Kate przyniosła gitarę akustyczną, pieczołowicie położyła ją na kocyku, po czym zaczęła wyjmować nieskończoną liczbę talerzy z kanapkami, które przygotowała dla wszystkich. Obok mnie leżał gość, który kazał do siebie mówić Dirk i do którego zdążyłem już zapalać irracjonalną antypatią z tego powodu, że kiedy zaciągał się papierosem, trzymał go między kciukiem i małym palcem, jakby był Jamesem Deanem albo Marlo-nem Brando. Wiedziałem, że istnieją większe zbrodnie przeciwko ludzkości, ale w tym momencie trzymanie fajki między kciukiem a małym palcem awansowało na pierwsze miejsce listy. W każdym razie moje pierwsze wrażenia o Dirku wkrótce się potwierdziły.

Rzuciwszy się na kanapkę bez podziękowania Kate za jej wysiłek, Dirk wziął do ręki jej gitarę i zagrał kilka akordów. Kate sprawiała wrażenie lekko zaskoczonej jego bezceremonialnością, ale nic nie powiedziała. Podstroił gitarę i zachnął się.

— Ile dałaś za to pudło?

— Tylko pięćdziesiąt funtów — oświadczyła z dumą Kate.

— Jest używana.

— Pięć dych? Dam ci za nią dwadzieścia.

Spotyka się czasem tak niesympatyczne osoby, że człowiek się zastanawia, czy nie chodzą na wieczorowe kursy chamstwa.

— Nie zamierzam jej sprzedać — odparła Kate o wiele zbyt uprzejmie.

— Szkoda. Schodzę do piętnastu. Straciłaś okazję. — Włożył papierosa pod struny na siodełku. — Pięć dych! Za takie gówno

— mruczał do siebie, zacząwszy palcować. Kate spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Miałem ochotę wyrwać gościowi gitarę i rąbnąć go nią w łeb. Nie zrobiłem tego jednak, bo nie jestem człowiekiem brutalnym, bo zepsułbym cały piknik i poza wszystkim — bo gitara rozwaliliby się na kawałki, ponieważ Dirk miał rację, to gówno nie było warte pięciu dych.

Próbowałem go ignorować, ale wkrótce stał się ośrodkiem

uwagi, kiedy kilka dziewczyn zaczęło śpiewać do jego dosyć luźnej interpretacji *Wonderwall*. Bardziej przypominało to dzieci Von Trapp niż Liama Gallaghery, ale nie pomagał im fakt, że ten pozer mylił co drugi akord. Dłużej nie mogłem się powstrzymać.

— Yyy, myślę, że tu powinno być e<sup>7</sup>.

W tym momencie po raz pierwszy mnie zauważył. Znowu zaciągnął się pretensjonalnie papierosem i skrzywił, przymykając jedno oko, jakby jego silk cut miał domieszkę najmocniejszej jamajskiej gandzi.

— Nie wydaje mi się, stary — odparł.

— No, to leci e<sup>7</sup>, G, D<sup>7/4</sup>, A<sup>7/4</sup>.

Nagle zdał sobie sprawę, że wiem, o czym mówię, ale nie mógł się wycofać przy wszystkich tych wielbicielkach. W stadzie pojawił się nowy samiec i bódł go rogami. Dirk umilkł. Zamiast kontynuować *Wonderwall*, zaczął grać inną piosenkę, którą najwyraźniej przećwiczył trochę więcej razy w ciągu minionych dziesięcioleci.

— O nie — powiedziała jedna z dziewczyn — tylko nie te zasrane *Schody do nieba*. Co się stało z Oasis?

— Ja spróbuję, jeśli chcecie — zaproponowałem ofiarnie i publiczność nagrodziła mnie entuzjastycznym aplauzem.

Dirk nie miał wyboru, jak tylko oddać mi gitarę i teraz wszyscy czekali, czy okażę się lepszy.

— Nie będzie ci przeszkadzało, Kate, jeśli zagram na twojej gitarze?

Pokazała ruchem głowy, że nie. Napięcie wzrosło, kiedy powoli i ostentacyjnie dostroiłem gitarę. Chwila przerwy. Potem energicznie zagrałem pierwsze akordy *Wonderwall*, szarpiąc za nylonowe struny z tak dobraną siłą, żeby wydobyć z nich jak najlepszy dźwięk. Krew odpłynęła z twarzy Dirka, kiedy płynnie przeszedłem do *The Passenger*, *Rock'n 'roll Suicide* i najtrudniejszego fragmentu *Concierto de Aranjuez* Rodriga na dokładkę. Kiedy skończyłem, rozległy się entuzjastyczne pohukiwania, oklaski i okrzyki: „Bis!”, a dziewczyny sprawiały wrażenie gotowych mnie zapytać, czy chciałbym zostać ojcem ich dzieci.

— Całkiem fajną masz gitarę — skłamałem, oddając instrument właścicielce.

To była genialna chwila. Gdyby całe życie mogło takie być. Zauważyłem, że następnego papierosa Dirk trzymał już normalnie. „Misja wykonana” — pomyślałem.

Sądzę, że dziewczyny były we mnie takie rozkochane z powodu emocji, jakie wyraziłem za pomocą muzyki. Mając w rękach gitarę albo klawisze pod palcami, umiałem powiedzieć: „Jestem taki zakochany” albo „Jestem taki nieszczęśliwy” i naprawdę oddać te uczucia. Nie potrafiłbym po prostu powiedzieć tych słów. W tym momencie musiałem mocno się wysilać, aby nie pokazać po sobie, co czuję, a czułem obrzydliwe zadowolenie z siebie. Właśnie obroniłem honor gitary Kate, był piękny słoneczny dzień, a kanapki z jajkiem w majonezie podano bez skórki. Nie licząc przejściowych kłopotów finansowych, moje podwójne życie funkcjonowało jak dobrze naoliwiona maszyna. Miałem żonę, ale byłem niezależny; miałem pracę, która pozwalała mi samemu sobie ustalać godziny; spędzałem dokładnie tyle czasu, ile trzeba z moimi cudownymi dziećmi, ale miałem także swoją przestrzeń i tyle czasu dla siebie, ile mogłem zapragnąć.

Podniosłem się, wszedłem kilka metrów między drzewa i wysikałem się pod jednym z nich. Słońce i piwo wspólnymi siłami przyprawiły mnie o zawroty głowy. Zatoczyłem się nieco, kiedy zapinałem rozporek, i zmrużyłem oczy, żeby mnie słońce nie raziło. A potem, na pagórku opodal, zobaczyłem Millie. Moją córeczkę Millie, niespełna trzyletnią, wędrującą przez gęstwinę kilkanaście metrów dalej. Na Clapham Common. Samiuteńką.

Wyglądała na zupełnie zadowoloną z życia, więc powstrzymałem odruch zawołania jej. Choć wypatrywałem sobie oczy, nigdzie nie widziałem jej matki. Z narastającym niezrozumieniem patrzyłem, jak moja córka spaceruje, podnosi liście i śpiewa sobie piosenkę. Jakby była obcym dzieckiem, kimś zupełnie nie związanym ze mną, oglądanym przez lustro weneckie albo na rodzinnym wideo. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby śpiewała tę piosenkę. Była bawiącą się w parku dziewczynką jak każda

inna, tyle że była również moją córką. Doznałem tego samego wrażenia, co podczas oglądania naszego trzeciego dziecka na USG — widziałem swoje dziecko, ale nie czułem z nim żadnej więzi. Millie wydawała mi się daleka i nierealna.

„Dlaczego nie ma z nią Catherine?” — zastanawiałem się zaniepokojony. Schowałem się za krzakiem, żebym mógł obserwować Millie nie zauważony przez nią. Część mnie chciała podbiec i ją wyściskać, ale to byłoby zbyt ryzykowne. „Na pewno się zgubiła” — pomyślałem. Będę jej pilnował z pewnej odległości, dopóki matka jej nie znajdzie, a potem zmyję się bezgłośnie. Nie mogłem sobie pozwolić na ujawnienie się, więc to był jedyny logiczny wybór. A jednak, kiedy podeszła bliżej, wbrew sobie wymruczałem jej imię, nie do końca wiedząc, dlaczego to robię.

— Tatusiu! — zawołała.

Nie była szczególnie zaskoczona, że się tam ukryłem, co mnie trochę zbiło z tropu, lecz do paniki i dezorientacji dołączyła radość z nieoczekiwanego widoku mojej ślicznej córeczki. Podbiegła do mnie i wzięła mnie na ręce. Przytuliła się do mnie mocno, co było cudowne, chociaż nie miałem pojęcia, co dalej robić.

— Gdzie mamusia?

— Yyy... ona jest, ona jest, ona jest... Mamusia, yyy, mamusia. .. — Ojej, Millie, wyduś to z siebie. — Ona jest... ona jest tam.

Pokazała przez drzewa na znajdującą się o dobre sto metrów dalej estradę. W tym momencie usłyszałem, że Catherine woła imię Millie, z paniką i przerażeniem w głosie. Nie było ucieczki od tej sytuacji. Catherine zgubiła Millie, ja ją znalazłem. Zaledwie godzinę wcześniej powiedziałem Catherine, że pracuję w Manchesterze. Serce biło mi *allegro forte*.

— O rany, Millie, co ja teraz zrobię?

— Zielony ptaszek — odparła, pokazując na drzewo.

I rzeczywiście. Na pień drzewa za moimi plecami wdrapywał się zielony dzięcioł. Co za niespodzianka! W samym środku Londynu. Nigdy wcześniej nie widziałem zielonego dzięcioła.

— Millie! Gdzie jesteś? — wrzeszczała jej zdesperowana matka.

Zestawiłem ją na ziemię i pokazałem na jej mamę.

— Popatrz, Millie, tam jest mamusia. Biegnij do mamusi. Powiedz jej, że widziałaś pana, który wyglądał zupełnie tak samo jak tatuś.

Puściłem ją i pobiegła przez łąkę do matki. Usłyszałem, jak krzyczy:

— Mamusiu! Tatuś powiedział, że widziałam pana, który wyglądał zupełnie tak samo jak tatuś!

Widziałem moment, kiedy Catherine ją zauważyła. W ułamku sekundy przerażenie na jej twarzy ustąpiło olbrzymiej uldze, ale ta musiała równie szybko zrobić miejsce dla wściekłości z powodu strasznych cierpień, które przeszła Catherine. Była zła na Millie, ale wiedziałem, że w głębi serca złości się na siebie, że ją zgubiła. Miała na ręku Alfiego, ale biegła w stronę Millie z wyciągniętym drugim ramieniem, złapała ją i wybuchła płaczem. Skrzyczała Millie, że tak uciekła, i wszelkie informacje, które próbowała przekazać jej Millie, utonęły w złości, uściskach i łzach, toteż na razie byłem bezpieczny.

Wciąż schowany między drzewami, patrzyłem, jak Catherine szykuje się do wyjścia z parku. A tak właściwie co ona tu robi? Była wiele kilometrów od domu. Nigdy nie jeździła na prawy brzeg rzeki. Wiedziałem, że przygotowanie dzieci do takiej wyprawy jest skomplikowanym przedsięwzięciem. Usiłowała zapiąć Alfiego w podwójnym wózku, ale on wył, bronił się i wyginał do tyłu, żądając, żeby go nieść. Millie zdenerwowała się, że została skrzyczana, i też płakała. Jej matka wyjęła z wózka torbę i zainstalowała w nim Millie. Kiedy przypinała torbę do rączki wózka, Millie zaczęła histeryzować, wrzeszczała, wyciągała ręce, żeby ją wziąć, zazdrosna, że jej braciszek jest niesiony.

Catherine wyjęła Millie z wózka. Kiedy to zrobiła, ciężar torby przeważył wózek i postawił go na dwóch kołach. Torba uderzyła o asfalt i usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. „To była butelka Aqua Libre” — pomyślałem. Ten aromatyzowany napój o smaku arbuza, który nazywa się „wolna woda” i kosztuje fortunę. Modny napój wylewał się z torby na ziemię. Wciąż dźwigając oboje

dzieci, przykucnęła i próbowała zapobiec zniszczeniu całej zawartości torby przez Aqua Libie. Potem usłyszałem, jak zaklęła, rozkrwawiwszy sobie dłoń. Próbowała postawić Millie na ziemi, jednak Millie, niespełna trzyletnia, nie chciała spojrzeć na sytuację oczyma Catherine i nie puściła jej. Catherine ze złością oderwała od siebie Millie, która z wrzaskiem położyła się na ziemi. Przy każdym kolejnym etapie wiedziałem, jaki będzie następny, ale nie miałem możliwości temu zapobiec, jakbym oglądał na wideo samochody wjeżdżające na siebie podczas austostradowego karambolu. Naprawdę chciałem podejść i pomóc, ale jak mogłem to zrobić? Jak mogłem nagle się pojawić na środku Clapham Common w godzinę po tym, jak powiedziałem, że jestem w Manchesterze?

— Taksujemy lokalne opiekunki do dziecka? — zakpił głos za moimi plecami.

Był to Dirk, wciąż obolały po tym, jak został zdeklasowany w grze na taniej gitarze ze sklejki.

— Yyy, nie. Patrzyłem, jak ta kobieta się zмага z dwójką małych dzieci. To jest ich matka. Znaczy, tak mi się wydaje...

— Boże, kto chciałby mieć dzieci? — powiedział, kiedy Millie leżała na ziemi, szlochając i wierzgając.

Odruchowo potwierdziłem skinieniem głowy, a potem poczułem wyrzuty sumienia, że tak nonszalancko zdradziłem własne dzieci.

— Popatrz na tego wrzeszczącego bachora. Moim zdaniem ludziom powinno się zabronić mieć dzieci, jeśli nie umieją nad nimi zapanować.

Nagle dostałem ciężkiej cholery. Co on się na tym zna?

— To nie jej wina — powiedziałem zjeżony. — Trudno dać sobie radę w pojedynkę. I większość dwuletnich dzieci tak się zachowuje.

— Popatrz, jak krzyczy na to biedne dziecko. Nic dziwnego, że mała wrzeszczy.

— Pewnie nerwy jej puściły. Nie wysypia się i tak dalej.

— Aha, pewnie samotna matka — powiedział Dirk i ruszył w drogę powrotną.

Catherine siedziała teraz na ziemi i płakała. Wyglądała na kompletnie załamana. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się tak poddała. Dłoń jej krwawiła, a dzieci też szlochały. A ponieważ rzecz rozgrywała się w Londynie, wszyscy mijali ją w pośpiechu, jakby była narkomanką albo chorą na umyśle alkoholiczką. Czy nikt się nie zatrzyma, żeby jej pomóc?

— Nic ci nie jest, Catherine? — spytałem.

Podniosła wzrok i była taka zdziwiona moim widokiem, że natychmiast przestała płakać.

— Skąd się tu wziąłeś?

Ponieważ nie miałem przygotowanej odpowiedzi na to pytanie, uznałem, że najlepszą strategią będzie pominąć je milczeniem.

— Co sobie zrobiłaś w rękę?

— A, nic, rozcięłam sobie — odparła, podnosząc ją do góry.

— To by wyjaśniało, skąd jest tyle krwi na asfalcie. — Zawinałem jej palce w swoją chusteczkę. Usiadła, patrząc na mnie z taką miną, jakbym był jej aniołem stróżem i rycerzem w srebrnej zbroi w jednej osobie. — Widzę, że sobie rozcięłaś, głuptasie, ale jak?

— No, próbowałam wyjąć z torby potłuczone szkło.

— I mówisz, że potłuczone szkło rozcięło ci dłoń? To jest już szczyt pecha!

Uśmiechnęła się i sądziłem, że już mnie więcej nie zapyta, co tam robię.

— Ja i tatuś widzieliśmy zielonego ptaszka — powiedziała jak zawsze pomocna Millie.

— Boże, ona wciąż o tym. Widzieliśmy zielonego dziecięcia ze dwa miesiące temu. — Zawiązałem chusteczkę w supełek. — Chodźmy napić się kawy i kupię Millie jakieś chrupki.

Catherine wytarła rozmazany makijaż.

— Och, Michael, tak się cieszę, że cię widzę. Zgubiłam Millie. To było straszne. Po prostu sobie poszła spod estrady, kiedy przewijałam Alfiego, biegałam wokół kawiarni, ale ona musiała uciec w przeciwną stronę, bo straciłam ją z oczu na dłuższy czas. To było przerażające. A potem wózek się przewró-



cił, butelki się stłukły, rozkrwawiłam sobie rękę, dzieci wrzeszczały i po prostu nie mogłam sobie dać rady...

— Dobra, zapomnijmy o kawie, może po kieliszku wina?

— A co z Alfim?

— Masz rację, jemu też postawię.

Dźwignąłem Millie na ramiona i ruszyliśmy w stronę Windmill Inn, czyli oddalając się od pikniku. Gdyby puste miejsce w podwójnym wózku było trochę większe, przypiąłbym Catherine obok Alfiego i zawiózł do pubu. Usiedliśmy na zewnątrz, Alfie ssał butelkę, ja popijałem piwo, a Catherine jednym haustem obalała wino. Wydawało się, że wszystko wróciło do normy, przynajmniej na razie.

— Dlaczego mi powiedziałaś, że jesteś w Manchesterze? — spytała brutalnie.

Miałem w ustach tylko jedną chrupkę, ale tak spęczniała, że nie byłem w stanie odpowiedzieć.

— W Manchesterze? — wykrztusiłem w końcu. — O czym ty mówisz?

— Powiedziałaś, że jesteś w Manchesterze.

Nastąpiła przerwa, podczas której usiłowałem patrzeć na Catherine, jakby jej kompletnie odbiło, a potem na mojej twarzy pojawił się nieco teatralny wyraz olśnienia, kiedy wpadłem na pomysł, jak wybrnąć z sytuacji.

— Nie, nie, nie. Manchester Street. Powiedziałem, że jestem na Manchester Street. W West Endzie.

Miała skołowaną minę.

— Ale mówiłeś coś o Piccadilly.

— Tak, Piccadilly Circus. Zaśmiała się z własnej głupoty.

— Skądś mi się ubzdurało, że znowu pojechałeś na północ pracować.

Pośmialiśmy się zdrowo z tego nieporozumienia, a ja bezgłośnie westchnąłem z ulgą, że Catherine zapomniała bądź nie wiedziała, że z Manchester Street do Piccadilly Circus jest dobre parę mil. Żeby nie dać jej czasu na zastanowienie się nad tym, zmieniłem temat.

— Co robisz po tej stronie rzeki? Nie martwiłaś się, że straż graniczna zatrzyma cię na moście?

— Miałam obejrzeć nowy dom Susan i Piersa w Stockwell, ale zadzwoniliśmy i nikogo nie było, więc pomyśleliśmy, że trochę sobie pobiegamy po Clapham Common, prawda, Millie?

— Ja i tatuś widzieliśmy zielonego ptaszka.

— Tak, już o tym mówiłaś, Millie — uciałem. — Masz tu jeszcze jedną paczkę chrupek.

— A ty co tu robisz?

— No, kiedy załatwiłem sprawę przy Manchester Street, wsiałem do metra na Piccadilly Circus, żeby pojechać do swojego studia, pomyślałem, że przespaceruję się przez park, i zobaczyłem ciebie. Co za zbieg okoliczności, nie?

— No, lepiej nie mówmy o tym mojej siostrze. Przypisałaby to żyłom wodnym, energii parapsychoicznej czy Bóg wie czemu.

— O, to dobry pomysł. Powiem jej, że poszedłem dłuższą trasą przez park, bo wydawało mi się, że wyczuwam emitowane przez ciebie negatywne wibracje. Miesiącami będzie o tym mówiła.

Catherine znowu się śmiała, lecz tym razem w jej śmiechu pobrzmiwała nutka hysterii. Kupiłem jej jeszcze jeden kieliszek wina, a Millie trzecią paczkę chrupek. Catherine już bardziej przypominała kobietę, którą znałem. Kryzys spod estrady miała daleko za sobą. Ale potem, kiedy alkohol zaczął działać, wyglądała na za bardzo zmęczoną, żeby się śmiać. Zgłosiłem się na ochotnika, że przewinę Millie, co wywołało przelotny uśmiech na twarzy Catherine. Położyłem Millie na materacyku i zacząłem rozpinać jej workowate różowe ogrodniczki.

— Michael? — powiedziała Catherine źle wróżącym tonem.

— Co?

— Jestem niezadowolona.

— Słucham?

— Jestem niezadowolona.

— Za mało wytrawne? Poprosiłem o białe wytrawne.

— Z mojego życia. Nie jestem szczęśliwa.

— Jak to nie jesteś szczęśliwa? Oczywiście, że jesteś szczęśliwa.

— Nie jestem. Miałam z tego powodu wyrzuty sumienia, więc nic ci nie mówiłam, ale tak mi z tym ciężko. Jakby brakowało mi czegoś, czego nie potrafię nazwać.

— To po tym winie, Catherine. Jesteś zmęczona i troszkę pijana i nagle ci się wydaje, że nie jesteś szczęśliwa, ale uwierz mi, jesteś jedną z najszczęśliwszych osób, które znam. Pewnie jeszcze mi powiesz, że nie radzisz sobie z dziećmi.

— Nie radzę sobie z dziećmi.

— Przestań, Catherine, to nie jest dowcipne. Millie, przestań się kręcić, dobra?

— Nie żartuję.

— Radzisz sobie z dziećmi. Radzisz sobie doskonale. Millie, leż spokojnie.

Catherine wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała. Spojrzałam na nią, klęcząc na ziemi, pochylony nad materacykiem do przewijania.

— Niech ci będzie, czasami ci się wydaje, że sobie z nimi nie radzisz, ale jestem przekonany, że to normalne. Ogólnie rzecz biorąc, lubisz być z dziećmi sama.

— Nie, nie lubię.

— Tak, lubisz.

— Nie, nie lubię.

— No, może czasem wydają ci się trochę męczące. Ale ogólnie rzecz biorąc, wolisz, kiedy ci się nie plątam pod nogami.

— Nie, nie wolę.

— Tak, wolisz.

— Nie, nie wolę.

— Tak, wolisz.

— Nie, nie wolę.

— Przestań, ty niegrzeczna dziewczynko.

— Mówisz do mnie czy do Millie?

Millie tak się wiała, że nie byłem w stanie równo założyć pieluchy.

— Dlaczego musisz mi tak sakramencko utrudniać? — A potem dodałam: „Millie!”, żeby nie było nieporozumień.

— Chcę, żeby mamusia to zrobiła.  
— Nie, mamusia nie może robić wszystkiego.  
— Owszem, może — stwierdziła Catherine. — Mądra mamusia potrafi wszystko zrobić i cały czas uśmiechać się radośnie, tra-la-la.  
— Catherine, jesteś upieprzona.  
— Wpieprzona, to owszem.  
— Słuchaj, rozumiem, że miałaś okropny dzień i że dzieci potrafią być męczące, ale zawsze mówiłaś, że uwielbiasz być z nimi w domu.  
— Mówiłam tak ze względu na ciebie. Pomyślałam, że przy twojej stresującej pracy ostatnią rzeczą, której potrzebujesz, są moje biadolenia, że siedzę sama w domu.  
— Wykręcasz się.  
— Nie, to prawda.  
— Nieprawda.  
— Prawda. To okropne być przez pół tygodnia sama. Czasami czuję się tak, jakbym już przepracowała cały dzień, patrzę na zegar w kuchni, jest dopiero dziesiąta rano i myślę sobie: „Jeszcze tylko dziewięć godzin i położę je do łóżka”.  
— Tak tylko mówisz, bo w tej chwili jesteś w kiepskim nastroju. Wiem, że radzisz sobie bardzo dobrze, kiedy mnie nie ma.  
— Nie radzę sobie.  
— Mówię ci, że sobie radzisz. Wiem, że sobie radzisz.  
— Skąd wiesz? Skąd wiesz lepiej ode mnie, czy sobie radzę, skoro cię przy tym nie ma?  
— Yyy, no bo cię znam, stąd wiem. Jesteś bardzo dobrą matką.  
— Kiedyś mówiłeś, że jestem bardzo dobrą aktorką.  
— Dalej jesteś bardzo dobrą aktorką.  
— To musi być prawda, skoro wierzysz w ten teatrzyk pod tytułem „szczęśliwa rodzina”, który odstawiam, kiedy ty wchodzisz do domu.  
Nie miałem na to odpowiedzi, a potem Millie znowu próbowała mi się wyśliznąć i straciłem do niej cierpliwość.

— NATYCHMIAST PRZESTAŃ, MILLIE, NA LITOŚĆ BOSKĄ!  
JESTEŚ BARDZO NIEGRZECZNĄ DZIEWCZYNKĄ! JESTEŚ  
BARDZO, BARDZO NIEGRZECZNA I MIARKA SIĘ PRZEBRAŁA!

Catherine w końcu uznała, że czas się zbierać do domu, i powiedziała, że będzie najlepiej. Jeśli wrócę do studia pracować dalej. Tym razem jednak nie rzuciłem się ochoczo na tę propozycję. Coś przeniknęło przez moją skórę nosorożca i wyczułem, że Catherine chce, abym zmienił plany i pojechał z nią do domu. Potrzebowała, żebym po prostu przy niej był. Potrzebowała, żebym ją wspierał. No i potrzebowała, żebym usiadł za kierownicą, bo była kompletnie zalana.

Skierowaliśmy się w stronę północnego brzegu. Powiedziałem Millie, że most Alberta jest zrobiony z różowego lukru i w póź-nomajowym słońcu wydawało się to prawdopodobne. Kiedy wjechaliśmy do Chelsea, ludzie na ulicy nagle zaczęli wyglądać zupełnie inaczej niż sto metrów wcześniej, po drugiej stronie rzeki. Z torebkami Moschino i koszulami od Ralpha Laurena, byli tak drogo ubrani, że musieli nosić metki na wierzchu. Musieliśmy przejechać przez najbogatsze dzielnice Londynu, zanim ponownie znaleźliśmy się pośród bardziej spauperyzowanych klas średnich.

Po czterdziestu minutach byliśmy już w naszym ślicznym pudełku po butach w Kentish Town. Postawiłem przed Millie herbatę, którą po trzech paczkach chrupiek słusznie zignorowała. Nie mam pojęcia, dlaczego dla zaoszczędzenia czasu nie wylałem herbaty do zlewu zaraz po jej zaparzeniu. Usiadłem koło Millie i z Alfim na kolanach kolejny raz oglądaliśmy *Króla Lwa*, aż do fragmentu, w którym Simba znika, żeby się usamodzielić, po czym wpada w lesie na dawno nie widzianą Nalę. Catherine naląła sobie jeszcze wina. Ucieszyłem się, że już nie karmi piersią, bo w przeciwnym razie Alfie byłby skazany na zatruciu alkoholowe. Nie rozmawialiśmy już więcej o tym, co powiedziała, lecz z zaskoczeniem zauważyłem, że wydają z siebie hałasy w stylu: „Czyż one nie są słodkie?” za każdym razem, gdy dzieci, dajmy na to, wyplują na podłogę jedzenie.

Zaparzyłem dzieciom herbatkę, a potem wszystko posprząta-

łem, ugotowałem dla nas kolację i pomyłem naczynia, wykapałem dzieci i położyłem je do łóżek, pozbierałem zabawki, a nawet załadowałem pralkę, lecz nie wywołało to najmniejszych choćby oznak wdzięczności ze strony Catherine, która leżała na sofie wpatrzona w sufit. Trzeba jej przyznać, że wiedziała, kiedy przestać pić, a mianowicie kiedy wino się skończyło. Wreszcie Catherine oznajmiła, że idzie się wcześniej położyć i uścisnęła mnie. „To nie twoja wina, tylko moja” — powiedziała znacząco, po czym ścisnęła mnie tak mocno, że o mało mi żeber nie połamała.

Zostałem chwilę na dole i w samotności słuchałem swoich ulubionych kawałków. Trzy razy puściłem sobie *For No One* Beatlesów, dzięki czemu poczułem się tak, jakby ktoś otworzył mi w głowie szereg tajnych drzwi. Kiedy nie przychodził mi już do głowy żaden pretekst, żeby zostać na dole, zrobiłem mleko dla Alfiego na noc, postawiłem koło mikrofalówki i ruszyłem na górę. Millie zajęła już moje miejsce obok Catherine, więc poszedłem do pokoju dziecięcego, położyłem się na łóżku Millie i naciągnąłem na głowę kołdrę w lalki Barbie. Skopałem na ziemię kilka pluszaków walających się w nogach łóżka i słuchałem, jak Alfie siąka nosem w łóżeczku obok mnie.

Po upływie godziny wciąż nie spałem. Spulchniłem poduszkę i podciągnąłem wyżej kołdrę, lecz to nie pościel przeszkadzała mi w zaśnięciu. Stale powracał do mnie obraz Catherine siedzącej na trawie i płaczącej. Nie zgadzało się to z wyobrażeniem mojej żony, które miałem w głowie, kiedy byliśmy osobno. Nieświadoma, że ją widzę, załamała ręce i poddała się. Teraz, kiedy spadła z niej maska, Catherine przestała udawać.

„Jakby brakowało mi czegoś, czego nie potrafię nazwać” — powiedziała. Próbowałem sobie wmówić, że to depresja na tle hormonalnym związana z ciążą, ale wiedziałem, że gdyby to było takie proste, to nie leżałbym bezsennie o drugiej nad ranem. Godzinę później usłyszałem, że Alfie zaczyna się wiercić. Teraz, gdy miał prawie rok, z reguły budził się raz w ciągu nocy. Chociaż szanse, że cokolwiek zdoła wyrwać Catherine z alkoholowej śpiączki, były niewielkie, zszedłem na dół i podgrzałem mleko,

zanim Alfie zacznie płakać. Wziąłem łyk do ust, żeby sprawdzić temperaturę, po czym wyplułem paskudną kredową ciecz do zlewu, ale zostawiła mi w ustach nieprzyjemny posmak. Teraz sztuka polegała na tym, żeby nakarmić Alfiego, a jednocześnie go nie rozbudzić. Kiedy jednak siedzieliśmy razem w półmroku pokoju dziecięcego i on łąpczywie ssał butelkę, nagle otworzył oczy, jakby właśnie zdał sobie sprawę z czegoś bardzo ważnego. Patrzył na mnie, pijąc. Zaryzykowałem niegłośnie: „Cześć, Alfie Adams”, a on dalej ssał, spoglądając na mnie. Sprawiał wrażenie tak ufego i niewinnego, tak zależnego od mojej opieki, że poczułem się, jakbym go w jakiś sposób zawiódł. Gdy patrzyłem w jego duże niebieskie oczy, wyobraziłem sobie na moment, że wszystko o mnie wie, że rozumie, dlaczego jego matka czuje się samotna i porzucona, i karci mnie za to surowo spojrzeniem mówiącym: „Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz, tato?”

— Przepraszam, Alfie. Naprawdę przepraszam.  
Powiedziałem to zupełnie szczerze.

## **Rozdział 7**

### **ZNAMIEŃ MĘŻCZYZNY**

— Nie da się zachować godności w basenie z piłkami. Kiedy leżymy na plecach pośród kolorowych kulek z plastiku, musimy pogodzić się z tym, że wyglądamy jak ciężkie, niezdarne błazny, spocone, kalekie morsy, dorośli, którzy przez sam fakt, że tam są, dopraszają się o kanonadę plastikowych kul armatnich w kolorach podstawowych. Trzeba obowiązkowo mieć na twarzy specjalny uśmiech wyrażający radość, nawet jeżeli nie znany nam ostrzyżony równo z garnkiem chłopiec właśnie trafił nas prosto w twarz piłką, którą wcześniej zgniótł, żeby bardziej bolało. To tylko jeden z aspektów utraty godności, którą za sobą pociąga współczesny kontrakt rodzicielski. Nie sposób mieć wyniosłej i obojętnej miny, kiedy nasze dwuletnie dziecko wymiotuje loda-

mi czekoladowymi na podłogę sklepu z markową odzieżą męską. Nie istnieje wyrafinowany, dystyngowany sposób na podtarcie dziecku pupy. Nigdy nie wiercie tym reklamom, które wam mówią, że dzięki dzieciom będziecie wyglądali *cool*, bo to nieprawda. Nie istnieje podwójny wózek „Action Man” z wyciąganym przewijakiem. Znamieniem mężczyzny nie jest już wyper-fumowanie się oід spice'em i surfowanie przy dźwiękach *Carmina Burana*. Znamieniem mężczyzny jest schowanie dumy do kieszeni, przewalanie się po podłodze i tarzanie w basenie z piłkami. To poniżające, ale należy do warunków transakcji.

Zgromadzeni przyszli ojcowie słuchali mnie w zaszokowanym milczeniu. Mimo że była to już trzecia ciąża Catherine, znowu znalazłem się w szkole rodzenia i tego konkretnego wieczoru wszyscy mężczyźni zostali odesłani do osobnego pomieszczenia, aby omówić kwestię, jakich zmian w naszym życiu się spodziewamy po narodzinach dziecka.

— Kolejna rzecz, przed którą nie ostrzegają — perorowałem jak oburzony słuchacz dzwoniący do radia podczas nocnej audycji — to wpływ dziecka na małżeństwo. Nagle czepiacie się siebie nawzajem, licytujecie, kto ma rację i komu jest ciężiej. Catherine pyta mnie: „Wyparzyłeś butelki?”, chociaż widzi, że stojąbrudne w zlewie. Zna odpowiedź na to pytanie, ale wie, że zadając je, zmusi mnie do przyznania się do winy i porażki. To jednak sprawia, że ja wyolbrzymiam problemy, jakie miałem z Alfim, kiedy jej nie było. Nie, nie wyolbrzymiam, kłamię! Twierdę, że nie miałem ani jednej wolnej chwili, przez co Catherine zmuszona jest udawać, że Millie strasznie dawała jej w kość w supermarkecie. To jest poker cierpiętników — ty wchodzisz z histerią przy kasie, ja cię przebijam sraczką w momencie przewijania pieluchy.

Słuchali o moich doświadczeniach z takim samym zaangażowaniem, z jakim ja je relacjonowałem. Żaden inny z obecnych mężczyzn nie był jeszcze rodzicem, toteż patrzyli na mnie jak na pokrytego bliznami starego wiarusa, co właśnie wrócił z pola bitwy z zapasem makabrycznych opowieści z rodzicielskiej linii frontu.

— Ale przede wszystkim z dnia na dzień ulatnia się młodość.



Wczoraj była, dzisiaj jej nie ma. Usiłowałem sztucznie odtworzyć moją — powiedziałem enigmatycznie — ale nie udało mi się. W momencie, gdy stajemy się odpowiedzialni za kogoś bardzo, bardzo młodego, nagle czujemy się bardzo, bardzo starzy. Przede wszystkim jesteśmy wyczerpani, tak fizycznie, jak emocjonalnie, toteż nawet jeśli znajdziemy czas na rzeczy, które robiliśmy jako młodzi ludzie, to będziemy się z nimi zmagali ze znużeniem i lękiem przytłoczonego brzemieniem lat emeryta. Kiedy dzieci stają się fizycznie mniej wymagające, w okresie dwóch czy trzech lat postarzeliliśmy się o dziesięć, więc i tak jest za późno, żeby wrócić do dawnego życia. Spojrzycie do lustra, zobaczycie siwiejące włosy i obwisającą twarz i pomyślicie sobie: „Skąd się wziął ten typ, do cholery?” Ale człowiek nie tylko wygląda staro i czuje się stary w środku, także myśli tak, jakby był stary. Zrzędzi i zamartwia się o dzieci, ale nie zdaje sobie sprawy albo nie obchodzi go, że idzie ulicą w źle dobranych skarpetkach i ze zmierzwionymi włosami. Robi się drażliwy, rozsądny i zorganizowany. Jeżeli zdarzy mu się zrobić razem z żoną coś beztroskiego i spontanicznego, to tylko w sytuacji, gdy dwa tygodnie wcześniej zaplanują sobie godzinę na zrobienie czegoś beztroskiego i spontanicznego. W dniu narodzin dziecka z tym wszystkim koniec. Koniec z niezależnością, młodością, dumą — ze wszystkim, co nas definiowało. Trzeba zaczynać od nowa.

Rozradowana wykładowczyni weszła do sali i zaczęła entuzjastycznie klaskać, chociaż nie miała pojęcia, co powiedziałem.

— No i jak sobie panowie radzą?

Żaden ze słuchających z otwartymi ustami mężczyzn nie oderwał wzroku od podłogi.

Prawdę powiedziawszy, czułem się w szkole rodzenia niezręcznie. Tak jakby zapóźnionemu dziecku kazano powtórzyć klasę. Na jednych z zajęć nasze partnerki miały za zadanie opaść na cztery łapy, my zaś uklęknąć obok nich i masować je po krzyżu, a prowadząca przyszła sprawdzić, czy dobrze masujemy. Były zajęcia z tego, jak się zachować podczas narodzin. Chyba powinniśmy się cieszyć, że jakaś dystygowana pani nie uczyła nas, jaki

jest najlepszy sposób na spłodzenie dziecka. „Znakomicie, a teraz jeśli wszystkie panie zechciałyby położyć się na podłodze, panowie mogliby poćwiczyć pobudzanie łechtaczki. Nie, panie Michaelu, zabiera się pan do tego zupełnie na opak...”

A dlaczego nie ma zajęć, które by nam pomogły sobie radzić już po przyjściu dziecka na świat? To jest moment, kiedy dorośli błędzą, to jest moment, kiedy naprawdę potrzebują pomocy. „Brawo, urodziliście, oto wasze dziecko. Teraz radźcie sobie sami”. Pozwoliłem sobie pośmiać się w duchu z naiwnego entuzjazmu tych, którzy po raz pierwszy mieli zostać rodzicami. Jeden z mężczyzn zadał nawet pytanie, z czym należy zrobić kanapki, niebożę. Dziecko całkowicie ich pochłaniało, jeszcze zanim się urodziło. Chciałem im powiedzieć: „Nie przychodźcie więcej do szkoły rodzenia, idźcie zamiast tego do kina, do restauracji, róbcie różne rzeczy dla własnej przyjemności, póki jeszcze możecie”. Oni jednak porównywali brzuchy i buciki i pytali nas, czy lepiej jest kłaść dziecko od razu do łóżeczka czy pozwolić mu na początek sypiać z rodzicami. Catherine wzruszyła ramionami i powiedziała, że do tej pory tego nie wie.

Catherine i ja nie podjęliśmy tematu, o którym była mowa w Windmill Inn, ale dało się zauważyć, że przestała udawać, iż wszystko w jej życiu jest tak idealne, jak zawsze sądziłem. Jej frustrację nieco złagodził remont domu. Ze zmęczonego stadium ciąży przeskoczyła w maniacką fazę moszczenia gniazda. Próbowałem uśmierzyć swoje poczucie winy, proponując, żeby odpoczywała i zostawiła to wszystko mnie, ale ona bardzo chciała coś zrobić dla nowego dziecka, więc heroicznie wchodziła na drabinę i z miłością malowała ściany pokoiku dziecięcego, zachlapując sobie farbą coraz większy brzuch. Oczywiście nie wszystko mogła zrobić sama. Niektóre rzeczy wymagały siły, fachowości i wiedzy technicznej, którą posiadają tylko mężczyźni, więc zwracała się w takich momentach do mnie i mówiła: „Michael, skocz do pani Conroy i zobacz, czy Klaus i Hans mogliby nam pomóc”. Z reguły mieściło się to w moich możliwościach.

Klaus i Hans to byli mieszkający obok niemieccy studenci,

których Catherine regularnie wykorzystywała do tego, żebym ja mógł się czuć bezużyteczny. Tym razem nie udało mi się zmontować komody. Instrukcja była wydrukowana po angielsku, niemiecku, włosku, hiszpańsku, francusku i arabsku. Producent wykazał się dobrymi intencjami, drukując instrukcję po angielsku, ale tak naprawdę nie robiło to żadnej różnicy. We wszystkich językach miała ona dla mnie dokładnie tyle samo sensu. Kiedy czytam zdanie typu: „Zdjąć zaślepkę ochronną (12) i dokręcić tuleję pierścieniową (41) koło zespołu lameli (53)”, mój umysł zasnuwa mgła i nie czytam już instrukcji, tylko patrzę tępo na przypadkowy zbiór słów. Klaus i Hans zmontowali komodę z szybkością i sprawnością ekipy mechaników w Formule 1.

— Masz klucze do wkrętów z sześciokątnym gniazdkiem, Michael, tak?

— Nie sędzę.

— Owszem, masz. W skrzynce z narzędziami.

— Klucze do wkrętów z sześciokątnym gniazdkiem? Jesteś pewien?

— Tak. Są w małej przegródce razem z ośnikiem.

— Z ośnikiem? Co to jest ośnik?

Klaus znał angielskie słowo na ośnik. Ja do tej pory nie wiem, co to jest ośnik ani w jaki sposób zostałem jego właścicielem. Klaus i Hans często wpadali pożyczyć ode mnie narzędzia, co wymagało otworzenia opakowań, w których się ukrywały od jakichś zamierzchłych świąt Bożego Narodzenia.

— Czy Michael używa w tym momencie wiertarki? — pytał Klaus Catherine w drzwiach frontowych. A potem: — Nie rozumiem, co w tym jest śmiesznego.

Ale choć Klaus i Hans byli szalenie uroczy i pomocni, czułem się jakby wykastrowany przez to, że Catherine w takim stopniu się na nich zdaje. Naprawili kosiarkę, odetkali zlew, sprawili, że radiobudzik, przy którym majstrowałem, przestał podskakiwać za każdym razem, kiedy nacisnęło się guzik „stop”. Jeśli po powrocie do domu zastałem jednego z nich, powiedzmy, na wymianie uszczelki, wkraczałem do akcji i mówiłem:

— Dzięki, Klaus, teraz już ja się tym zajmę. Godzinę później pukałem do jego drzwi i pytałem:

— To jak właściwie montuje się z powrotem kran? Catherine wiecznie chciała coś zmieniać w naszym domu. To

była swego rodzaju permanentna rewolucja. Kiedy tylko kampania zastąpienia dywanika w łazience nowym została uwieńczona powodzeniem, zaczynała się kampania wymiany mebli kuchennych. Optymistycznie zasugerowałem, że tapeta w pokoiku dziecięcym jeszcze parę lat wytrzyma, lecz ona stwierdziła, że byłoby nie fair, gdybyśmy następnej dwójce nie urządzili pokoju tak samo ładnie jak pierwszej.

— Następnej dwójce?

— No, chociaż prędzej czy później będziemy musieli się przeprowadzić do większego domu, prawda?

— DO WIĘKSZEGO DOMU! — Potem zdałem sobie sprawę, że moja reakcja za bardzo zdradza histeryczną panikę, w którą wpadłem, toteż powtórzyłem ten zwrot z taką miną, jakbym wnikliwie rozważał tę kwestię. — Większy dom. Hm, ciekawy pomysł...

Nie rozwiało to jej podejrzeń.

— Dlaczego? Nie jesteśmy zadłużeni ani nic? — spytała Catherine, ciągnąc po suficie wałek zamoczony w drogiej farbie.

Użyłem stanowczego: „Nie!” popartego emfatycznym, nie znoszącym sprzeciwu spojrzeniem prosto przed siebie, normalnie zarezerwowanym dla typów, którzy chcieli mi umyć szybę na świątlach. Catherine, ogólnie rzecz biorąc, nie okazywała zbytniego zainteresowania stanem naszych finansów. Raz próbowała spłacić debet czekiem z tego samego konta, ale generalnie jej jedynym zmartwieniem natury finansowej było to, że kiedy świeci słońce, na ekranie bankomatu nic nie widać.

Chciałem jej powiedzieć o moim podwójnym życiu i wyjaśnić, w jaki sposób narosły nam takie długi, ale teraz, kiedy mi wyjawiała, że nie jest szczęśliwa, nie miałem serca jeszcze bardziej jej zasmucać. Powiedziała, że zrobiłem się jakiś milczący, i z czułym uśmiechem spytała, o co chodzi. Odrzekłem, że wszyst-

ko jest dobrze — zawsze tak reagowałem na wszelkie kłopotliwe dociekania co do stanu moich uczuć. Mogłem powiedzieć, że jest bardzo dobrze, ale to już cztery sylaby, a nie miałem ochoty na wywnętrzanie się w stylu kalifornijskim. Jakoś nigdy chwila nie wydawała się odpowiednia na oznajmienie: „Tak naprawdę, kochanie, ten remont to kompletna strata czasu, a wiesz dlaczego? Bo nie spłacam kredytu!” Mówią, że szczerść to najlepsza strategia. Owszem, niech kwitnie szczerść, kiedy prawda jest miła i przyjemna. Ale co wtedy, kiedy jesteś tajemniczym drugim snajperem, który brał udział w zamachu na Kennedy'ego? W tym przypadku nie ulega wątpliwości, że szczerść nie jest najlepszą strategią.

— Byłeś już kiedyś w Dallas, Frank?

— Tak, przyjechałem tutaj zastrzelić Johna F. Kennedy'ego zza trawiastego pagórka.

W momencie gdy Catherine wyszła z fazy zmęczonej, ja w nią wkroczyłem. Każdą wolną chwilę poświęcałem pracy, aby spróbować spłacić zaległe raty kredytu. Ciągnęło mnie do domu i chciałem być z Catherine jak najwięcej, ale sytuacja finansowa uczyniła ze mnie więźnia zamkniętego w studiu. Żyłem tak, jak od początku wyobrażała sobie moja żona. Zauważyła, że mam mniej cierpliwości do dzieci, że po powrocie do domu nie podrzucam ich do góry i nie łaskoczę, tylko zwałam się na sofę wykończony, a potem mam obiekcje, kiedy dzieci po kolei wskakują mi na jądra. Jak mogłem usprawiedliwić wyraźną zmianę stosunku do dzieci? „Przedtem było łatwiej. Przedtem tylko udawałem, że cały dzień pracuję”.

Chociaż stopniowo zacząłem więcej zarabiać, do zaległych rat doszły jeszcze karne odsetki i rozmaite opłaty manipulacyjne. Zadzwoiłem do agencji, próbując zdobyć dodatkowe zlecenia. Mówiono mi, żebym się nie rozłączał, i kazano czekać na rozmowę z ludźmi, do których w przeszłości często zapominałem od-dzwonić. Codziennie harowałem w studiu, przerabiając ulubione melodie, które odkładałem na swój wymyślony pierwszy album, na dzingle reklamujące niskokaloryczne mrożone pizze.

Do zmęczenia wynikającego z ciężkiej pracy doszło brzemię tajemnic, które w sobie nosiłem. Z początku oszustwo było mikroskopijne, nie do zauważenia przez innych. Z trudem sobie przypominałem chwilę, kiedy się zrodziło, zasiewając w naszym związku małe ziarenko nieuczciwości. A jednak się przyjęło i tak się rozrosło, że było równie widoczne jak pokaźny brzuch pod T-shirtem Catherine. Kiedy dziecko osiągnie pewne rozmiary, musi wyjść na zewnątrz. To samo dotyczy kłamstwa. W tym momencie życie płodowe dotarło do takiej fazy, że zaczynałem odczuwać skurcze. Wiedziałem, że nie potrafię już dłużej zachować swojej tajemnicy dla siebie, ale nie wiedziałem, komu mógłbym ją zdradzić. Gdybym był katolikiem, mógłbym pójść do spowiedzi. Gdybym był starszą panią, mógłbym pójść pod jakimś pretekstem do lekarza i zanudzać go przez kilka godzin. Komu ludzie powierzają w dzisiejszych czasach swoje sekrety? Nie miałem zamiaru wystąpić w telewizji i załamać się na oczach zgromadzonej w studiu publiczności, aby jakaś podrzędna gatunku Oprah Winfrey położyła mi dłoń na ramieniu i przeszła do następnego punktu programu: „Kobiety, które spały z chłopakami swoich córek — zaraz po przerwie”.

Siedziałem sam w studiu, zastanawiając się, w kim mam najbliższego przyjaciela, z kim mogę się podzielić swoimi problemami. Zadzwoiła komórka i dobrze było usłyszeć kojący głos Catherine.

— Wszystko w porządku? — spytała, wyczuwając zmartwienie w moim głosie.

— Tak... — I nagle wszystko się ze mnie wylało. — Posłuchaj, Catherine, yyy, nie byłem z tobą szczery. Jesteśmy potwornie zadłużeni i opowiadałem ci bajki, że ciężko pracuję. W gruncie rzeczy po prostu tutaj mieszkałem, kiedy ty męczyłaś się z dziećmi. — Zapadła straszna cisza. Czekałem, aż Catherine coś powie, ale nie powiedziała, więc zacząłem coś bredzić, żeby wypełnić pustkę. — Wiem, ale zmieniłem się. Teraz pracuję naprawdę ciężko i wszystko ci wynagrodzę, przyrzekam.

Dalej nic nie mówiła. Żałowałem, że nie powiedziałem jej tego twarzą w twarz, zobaczyłbym wtedy jej reakcję. Cisza przy-

łaczała mnie; cisza tak głęboka, że nie było słycać nawet trzasków na linii, a to dlatego, że nie było żadnych trzasków na linii — rozłączyło nas. Nie wiedziałem, czy Catherine ze złości i obrzydzenia cisnęła słuchawką czy też nie usłyszała ani jednego mojego słowa. Nagle komórka znowu zadzwoniła.

— Przepraszam — powiedziała pogodnie Catherine. — Millie coś nacisnęła. Czyli wszystko w porządku?

— Tak, tak, wszystko dobrze — odparłem, oddychając z ulgą, wyczerpany. — Wrócę dzisiaj przed pójściem dzieci spać.

— Super. Brzmiałeś jakoś tak smutnawo.

— No, po prostu chciałbym już być w domu.

To przynajmniej nie było kłamstwem. Tego dnia nie mogłem jednak wrócić do domu przed skończeniem niezmiernie ważnego ośmiosekundowego utworu muzycznego, który był pilnie potrzebny do przekonania ludzi, aby odwiedzili Świat Łazienek. Był potrzebny na następny dzień rano, a ja oceniałem, że praca zajmie mi dwie godziny, może półtorej, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Włączyłem komputer i załadowałem odpowiedni program. Z salonu dobiegł mnie wybuch śmiechu. Moi współlokatorzy najwyraźniej setnie się czymś ubawili, lecz postanowiłem to zignorować i pracować dalej. Najpierw musiałem wykonać przyziemne zadanie, które polegało na przeniesieniu plików midi do Cubase przez ręczne przeciągnięcie ich kursorem. To jeszcze mniej interesujące niż się wydaje. Nastąpiła ponowna eksplozja śmiechu, tym razem jeszcze głośniejsza. Zerknąłem ku drzwiom, zastanawiając się, co takiego zabawnego mnie ominęło. Rozpoznałem w tym śmiechu szyderczy chichot hieny — rozbawienie czyimś kosztem — przez co sprawa była jeszcze bardziej intrygująca. W niewyjaśnionym śmiechu jest coś magnetycznego. Nie chodzi o zwykłe pragnienie udziału w festiwalu wesołości, lecz o palącą ciekawość przyczyny śmiechu. Kiedy morderca nie chce wyjść z obłązonego budynku, policja zawsze próbuje grózb, negocjacji albo suplik jego zrozpaczonej matki. Byłoby znacznie szybciej, gdyby na dany sygnał zaczęli się pokładać ze śmiechu. Morderca w mig by się znalazł na zewnątrz i spytał:

— Co jest? Z czego się śmiejecie?

Przejechałem myszą po brudnej podkładce. Nagle mysz wydała mi się ciężka i nieporęczna. Zegar wskazywał 16:44 i miałem wrażenie, że od trzech i pół minuty pokazuje to samo. „Ha ha ha ha ha ha” — wrzeszczały syrenie głosy moich współlokatorów. „Nie oderwą mnie od pracy” — pomyślałem. Nie wywabią mnie ze studia. Tak się jednak złożyło, że musiałem sobie dolać jeszcze trochę mleka do herbaty.

— Co jest? Z czego się śmiejecie? — spytałem, wchodząc do salonu.

— Gramy w „Rozpoznaj wstęp” — odparł Jim.

Była to jedna z naszych ulubionych gier: jeden z nas puszczał z kasety pierwsze akordy jakiegoś starego przeboju, a reszta przeżywała agonialne spazmy, usiłując sobie przypomnieć tytuł. Spędziłem niejedną wieczór w tym mieszkaniu, krzycząc: *Honky Tonk Women* po usłyszeniu jednego krowiego dzwonka albo *Ballroom Blitz* na dźwięk syreny.

Trudno było zgadnąć, dlaczego „Rozpoznaj wstęp” budzi taką wesołość, ale Jim udzielił mi dalszych wyjaśnień:

— Paul utknął na jednej płycie. Na razie sądzi, że chodzi o *Shaddap You Face* Joe Dolce'a albo muzykę do *Steptoe and Son*.

— Nie ulega kwestii, że to jakaś niedawna płyta — stwierdził Paul.

— Zobaczymy, czy ty rozpoznasz, Michael.

Jim, z podejrzanym błyskiem w oku, puścił ten kawałek i natychmiast rozpoznałem najlepszą piosenkę, jaką kiedykolwiek napisałem, zarejestrowaną na pocztówce dźwiękowej i graną trzy razy na antenie Thames Valley FM.

— *Czy to jest There's No-one Quite Like Grandma!* — spytał z nadzieją Paul.

Simon i Jim ponownie zwijali się ze śmiechu.

— Z trochę niższej półki — odparł Jim.

— To nie byłoby przypadkiem Mini Pops?

— Nie, to nie jest ich kawałek — powiedziałem oburzony. —



To jest *Hot City Metal* Micky'ego A., grany trzy razy na antenie Thames Valley FM. W swoim czasie był to całkiem nowatorski utwór.

Starając się, żeby nie było za bardzo widać, jaki jestem urażony, włożyłem swoją bezcenną pocztówkę dźwiękową do koperty i poszedłem po mleko. Jim kontynuował zabawę, puszczając kolegom bardziej konwencjonalne utwory.

Kiedy wracałem do studia przez salon, Jim przewijał kasetę do następnego kawałka. Było kilka sekund ciszy, zanim zabrzmiała muzyka. Z lekka zaciekawiony, czy rozpoznam utwór, spowolniłem kroku. Delikatnie zagrała gitara, C-dur przez jeden takt, e-moll przez następny, a potem na przemian to samo. Natychmiast rozpoznałem tę piosenkę. Każdy by rozpoznał ten słynny wstęp. I właśnie dlatego myślałem, że dostanę szału: przez chwilę nie potrafiłem go dokładnie umiejscowić.

— Aj, aj, aj, to jest, yyy... O Boże, to taki słynny utwór. Yyy, lata siedemdziesiąte, wielki przebój. To są Stonesi albo coś koło tego, prawda?

— Może tak, może nie — odparł sadystycznie Jim.

— Puść jeszcze raz — poprosiłem, stojąc jedną nogą za drzwiami i udając przed sobą samym, że nie zamierzam zostać.

Wycelował pilotem w wieżę, znowu zabrzmiała gitara i kiwałem mądrze głową, słuchając znajomego wstępu, podczas gdy wyszukiwarka w moim mózgu pracowała zawzięcie, usiłując zlokalizować miejsce, gdzie zmagazynowałem resztę utworu. Panował tam taki bałagan, że nigdy nie mogłem nic znaleźć.

— To takie oczywiste — stwierdził Simon niezbyt pomocnie.

— No, zgadnij — popędział mnie Paul.

Obaj już rozpoznali utwór. W tej rundzie brałem udział tylko ja.

Znowu zagrało C/C/C/C/e/e/e/e/e, a potem, kiedy odpowiedź była już w zasięgu ręki, Jim ponownie zatrzymał kasetę.

— Znam to, znam. To jest, kurczę, Neil Young albo ktoś w tym guście, nie?

Wywołało to pełen zachwyty szyderczy śmiech pozostałej trójki. Jako ekspert od ludzkiej psychiki wydedukowałem zatem, że przypuszczalnie nie jest to Neil Young ani nawet Crosby, Stills czy Nash.

— Dajcie mi jakąś wskazówkę.

Wymienili spojrzenia, pokiwali głowami, a potem Simon zgłosił się na ochotnika:

— To pierwsza piosenka w historii, która dotarła na pierwsze miejsce po tym, jak została wznowiona.

Tak precyzyjna wskazówka mogła tylko pogorszyć sprawę. Tego rodzaju fakty są przechowywane w innym dziale niż melodie. Teraz znajdowały się po drugiej stronie rzeki. Aby tam dotrzeć autobusem, trzeba się raz przesiąść. Teraz byłem dalej niż kiedykolwiek od rozpoznania tej piosenki, bo zrobiłem ogromny objazd, usiłując sobie przypomnieć istotny szczegół z historii muzyki pop w pytaniach i odpowiedziach. Byłem bliski dokończenia wstępu w głowie, ale w tym momencie jedynym tekstem, jaki potrafiłem podłożyć pod tę melodię, był obsesyjny dwuwiersz:

*To jest pierwsza piosenka,*

*Która dotarła na pierwsze miejsce po wznowieniu. Z niczym mi się to nie kojarzyło.*

— O Boże, co za męka. Nie mogę w to uwierzyć. Tak dobrze znam tę piosenkę — wyjęczałem.

Siedziałem teraz na krześle z głową w dłoniach, porzuciwszy myśli o pracy. „Tum-ti-tum-ti-tum-ti-tum tum tum tum ti-tum-ti--tum-ti-tum” — powtarzałem sobie bez końca. Choćbym jednak nie wiadomo ile razy wchodził na te muzyczne schody, zawsze w tym samym miejscu traciłem grunt pod nogami.

— Jedenaście lat po pierwotnej wersji nagrany został dalszy ciąg, który też dotarł na pierwsze miejsce — powiedział Simon.

— Ciii, ciii, ciii. Już prawie sobie przypominałem, a teraz znowu mi uciekło. A niech to! — A potem pomyślałem o tym, co Simon powiedział. — Dalszy ciąg? Piosenki? Co ty gadasz?

— Pochodzi z albumu o tym samym tytule.

— Z debiutanckiego albumu — wtrącił Paul i znowu poczułem, że rozwiązanie mi się wyślizguje.

Niby łoś, który połknął muszkę, bawiono się ze mną na wędce aż do wycieńczenia; wzięli mnie na haczyk i teraz mieli z tego maksymalną radochę. Kiedy to sobie uświadomiłem, postanowiłem zerwać się z haczyka. Zmobilizowałem całą swoją silną wolę, wstałem i oznajmiłem:

— To idiotyczne, mam gdzieś, jaka to piosenka. Wypadłem na korytarz i skierowałem się do mojego studia,

żeby o tym wszystkim zapomnieć. Pół sekundy później wróciłem do salonu.

— Dobra. Puść jeszcze raz — powiedziałem.

— Nazywam się Michael Adams i jestem quizoholikiem. Od pewnego czasu walczę z nałogiem, lecz w pewnych sytuacjach towarzyskich nie potrafię się oprzeć pragnieniu udzielenia poprawnej odpowiedzi.

W mojej wyimaginowanej grupie wzajemnego wsparcia inni quizoholicy siedzą w kręgu, kiwają głowami i uśmiechają się do mnie współczująco, kiedy relacjonuję swoje doświadczenia.

— Nie ma nic bardziej podniecającego. To jest jak intelektualne szczytowanie w miniaturze, mały mózgowy orgazm. Ale wiem, że jeden nigdy nie wystarczy, będę potrzebował następnego, a potem jeszcze następnego, i zanim się obejrzę, wszystkie moje pieniądze pójdą na quizy o muzyce popularnej i stracę wszystkich przyjaciół po gigantycznej kłótni wynikłej z nieprecyzyjnego formułowania przez nich pytań quizo wy ch. Próbuję zerwać z nałogiem, naprawdę próbuję, ale ciężko mi to idzie, bo na każdej ulicy jest pub i myślę sobie, wejdę na jeden szybki pubowy quiz, a potem siedzę tam cały wieczór. Teraz zmuszam się do zostania w domu i oglądania telewizji, ale na każdym kanale są *Milionerzy* albo inny teleturniej i nie mogę uwierzyć, że zawodnik nie wie, która linia londyńskiego metra jest oznaczona na mapce kolorem różowym.

— Hammersmith-City — wymyka się jednemu z quizoholików, to silniejsze od niego, udzielenie odpowiedzi cofa jego terapię o sześć kolejnych miesięcy.

Partia „Rozpoznaj wstęp” zamieniła się w bardzo ciężki nocny mecz. W końcu znalazłem kawałek, którego szukałem. Po wypróbowaniu przeze mnie tysiąca różnych kluczy muzyka w końcu otworzyła drzwi sejfu, w którym trzymałem pierwszą linijkę tekstu. „*Space Oddity* Davida Bowie”—oznajmiłem zmęczonym tonem do wtóru protekcyjnego aplauzu moich współlokatorów. Trwało to jednak tak długo i napięcie tak we mnie narosło, że doznałem tylko poczucia pustki i rozczarowania. Jedynym możliwym lekarstwem było szybsze zgadnięcie następnej piosenki.

Minęło wiele godzin, zanim wróciłem do studia, toteż skończyłem zamówiony utwór dopiero koło pierwszej w nocy. Wyłączyłem komputer, spojrzałem na zegarek i skonstatowałem, że ostatnie metro do domu już odjechało. Gdybym miał trochę kasy, to zamówiłbym taksówkę, ale już teraz zagarniałem do własnej kieszeni napiwkę zostawiane przez moich kolegów doręczycielom pizzy. Wysłałem Catherine SMS, dołączając smutną buźkę skomponowaną ze znaków interpunkcyjnych. Potem wysłałem następny SMS, podkreślając, że pierwszy miał być dowcipem i że normalnie nie robię takich kretyńskich rzeczy jak rysowanie ludziom smutnych albo radosnych buziek na wyświetlaczach komórek. Pisałem tak długo, że przez ten czas przypuszczalnie zdążyłbym przejść na piechotę dziesięć kilometrów dzielące mnie od Kentish Town.

Noc Catherine nie różniła się zapewne od innych, ale dla mnie system się zmienił. Teraz czułem się rozczarowany i było mi głupio, jakbym spędził wieczór, grając na maszynach wrzutowych, a potem odszedł z pustymi kieszeniami, zadając sobie pytanie, dlaczego czuję się taki nie spełniony. Położyłem się do łóżka, rzuciłem ostatnie spojrzenie na zdjęcie Catherine i dzieci, które niedawno stanęło na nocnym stoliku, i zgasilem światło. Potem leżałem w ciemnościach i próbowałem zrozumieć, w jaki sposób obietnica powrotu do domu przed porą kładzenia dzieci spać zamieniła się w przeprosiny zostawione na komórcie Catherine.

Moi współlokatorzy byli jak gry na moim komputerze: sama ich obecność stwarzała pokusę nie do odparcia. W następstwie decyzji, że nie będę więcej marnotrawił czasu, skasowałem ostatnio z twardego dysku Minesweepera, Tetris, Solitaire i wszystkie inne gry. Teraz, za każdym razem, kiedy cierpiałem na niemoc twórczą, traciłem dwa razy więcej czasu na ładowanie gier, a potem na ich ponowne usuwanie aż do następnego razu. Dlaczego byłem taki słaby? Dlaczego nie umiałem się oprzeć pokusie głupawych rozrywek? Dlaczego kiedy dotarłem już prawie do końca Minesweepera, dekoncentrowałem się i wylatywałem w powietrze na minie?

Czułem się tak, jakbym miał romans, ale nie z młodszą kobietą, tylko z młodszą wersją siebie samego. Niektórzy mężczyźni odnawiają po ślubie znajomość ze swoimi dawnymi dziewczynami, a ja ponownie spotykałem się z dwudziestokilkuletnim Michaeliem Adamsem. Dzięki niemu czułem się znowu młody; on rozumiał wszystkie moje problemy. Wciąż nas tak wiele łączyło; mieliśmy taki sam gest. Dopiero kiedy wspominałem o mojej żonie i dzieciach, jeżył się i zamykał w sobie. Nie chciał nic o nich wiedzieć; zawsze miał skrytą nadzieję, że jest w moim życiu najważniejszy, że związę z nim swoją przyszłość. Jak każdy romans, nasz związek szybko stał się zbyt skomplikowany. Próbowałem go zerwać, ale sprawy posunęły się już za daleko. Próbowałem oznajmić nieodpowiedzialnej, beztroskiej wersji siebie samego: „Nie chcę cię stracić jako przyjaciela” albo „Nie możemy się po prostu widywać od czasu do czasu?”, ale on nie dawał tak łatwo za wygraną. Powiedziałem mu, że spędziłem z nim cudowne chwile, że kiedy Michael junior i ja bawimy się ze sobą, jestem maksymalnie odprężony i beztroski, ale nie potrafię dać sobie rady z poczuciem winy; nie mogę znieść tej pokątności i zakłamania; nie potrafię dłużej udawać.

Wstałem z łóżka i włączyłem światło. Zacząłem to wszystko spisywać: że okłamywałem Catherine, i to od wielu lat; że poczułem się odsunięty, kiedy urodziły się dzieci; że nagle poczułem się jak natręt, który wchodzi z butami w romans między Catherine

a dziećmi. Z początku notatki te były przeznaczone wyłącznie dla mnie, ale im dłużej pisałem, tym bardziej chciałem się z kimś tym podzielić i w końcu moje wyznania przybrały postać długiego listu do ojca. Nigdy nie rozmawiałem z tatą o sprawach osobistych — nigdy nie łączyła nas tego rodzaju więź. Z nikim jednak nie byłem w zażyłych stosunkach, a zatem może była to próba ich nawiązania. Mogłem przynajmniej mieć pewność, że cokolwiek się stanie, ojciec będzie po mojej stronie. Jeśli masz romans, to czy można sobie wyobrazić lepszego powiernika niż człowiek, który też miał romans?

Pomyślałem o okresie, kiedy mama i tata się rozeszli. Byłem wtedy bardzo młody i sądzę, że wiele wspomnień uległo przetworzeniu w mojej głowie; zostały cyfrowo zremasterowane. Zachowałem jednak w pamięci serię bardzo wyraźnych obrazów, na których mama i tata wrzeszczeli na siebie, tata wskakiwał do samochodu, wciskał gaz do dechy i ocierał się o słupek bramy. Wiedziałem, że to nie jest normalne, aby odjeżdżać w ten sposób spod domu. Silniej zapadły mi w pamięć lata po rozwodzie, kiedy rodzice chłodną ręką przekazywali mi sobie nawzajem, jak szpiega wymienianego na wschodnioniemieckiej granicy. Przez całe lata spędzałem dni powszednie z matką, a weekendy z ojcem, grając na pianinie i zabijając czas w pozbawionym duszy kawalerskim gnieździe. Pomyślałem, że udało mi się idealnie odtworzyć to podwójne życie w dorosłości.

Mama powiedziała, że zależy jej tylko na tym, abym był szczęśliwy, po czym rozplakała się przy mnie, co nie było najlepszą metodą osiągnięcia celu. Po paru latach miała stałego przyjaciela imieniem Keith, który u nas nocował. Mama i Keith uprawiali rozbudowaną grę wstępną, polegającą na tym, że chodzili późnym popołudniem po ogrodzie i on udawał, że interesują go posadzone przez nią kwiaty. Potem matka gotowała mu kolację i Keith zostawał na noc. Zastanawiałem się, czy nosi tę idiotyczną apaszkę także pod pidżamą. Szli do łóżka o tej samej porze, a po około dwudziestu minutach wstawali i dużo chodzili do ubikacji. Ja leżałem w łóżku i słuchałem, jak przechodzą korytarzem i raz

po raz spuszcza ją wodę w kiblu. Pomyślałem, że może Keith nie ma w swoim domu ubikacji, bo bardzo często korzystał z naszej.

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że uprawiali seks. Myśl o tym, że moja matka miałaby uprawiać seks, zupełnie mnie przeraziła. Pamiętam, że kiedy mi wyjaśniono, iż moi rodzice musieli odbyć stosunek płciowy, aby mnie począć, poczułem niesmak i żałowałem, że to zrobili.

— Ale gdyby nie zrobili, to byś nie istniał — odparł mój kolega.

— W porządku. Wolę tę opcję.

Po mniej więcej roku spuszczenie wody słycać było rzadziej, stopniowo wypierał je inny odgłos: mama i Keith krzyczeli na siebie. Zawsze wysyłano mnie do łóżka o wczesnej porze, bo mama i Keith nie mogli się doczekać, kiedy będą sami, żeby się znowu trochę pokłócić.

Miałem dopiero osiem lat i nie całkiem rozumiałem, że rozstraja mnie kolejna runda krzyków i płaczów w domu, ale to chyba nie było normalne zachowanie, że co noc stawałem na końcu łóżka i obsikiwałem ścianę. Zawsze w tym samym miejscu. Nie wiem, co mnie opętało. Ubikacja nie była już wtedy cały czas zajęta. Mama wzywała budowlańców, hydraulików, tynkarzy — żaden z nich nie potrafił zrozumieć, dlaczego tapeta odchodzi, tynk się sypie, a dywan gnije. Bałem się, że któryś z nich zgadnie przyczynę. Wyobrażałem sobie, że jakiś budowlaniec wciągnie powietrze przez zęby i pokręci głową. „Ojejku. Nie, to nie jest grzyb ani pęknięta rura doprowadzająca do bojlera. Nie, to jest klasyczne podświadome wołanie o pomoc ośmiolatka ciężko przeżywającego rozwód rodziców. Mógłbym poprosić mojego stolarza, żeby rzucił na to okiem, ale wam tu potrzeba psychologa dziecięcego, a poza tym mój stolarz ma w tej chwili inną robotę”.

Postanowiłem nie zamieszczać tego w liście do taty, bo nie chciałem, żeby sobie pomyślał, że chcę wzbudzić w nim poczucie winy za porzucenie mnie, kiedy miałem pięć lat. Z drugiej strony, kurczę blade, powinien mieć wyrzuty sumienia za to, iż zostawił pięcioletniego syna. Był czas, że go nienawidziłem za odejście od

mamy, ale teraz nie opierałem już swojej opinii o ludziach wyłącznie na tym, co sądziła moja matka. Wyrosłem już z przekonania, że Liberace został homoseksualistą dlatego, że po prostu nigdy nie trafił na odpowiednią dla siebie dziewczynę.

Keith w końcu znalazł sobie czyjaś inną ubikację do spuszczenia wody. Przez wiele lat od tego drugiego porzucenia mama z nikim się nie związała. Potem ja byłem jej mężczyzną. Ja napełniałem bak, kiedy zajechaliśmy na stację benzynową. W weekendy posłusznie grałem rolę zastępczego męża, chodząc z nią po sklepach z odzieżą, wzruszając obojętnie ramionami, kiedy wychodziła z przymierzalni w kolejnych jednakowo brzydkich i niemodnych sukienkach. Byłem zmuszony szybko dorosnąć. Być może częściowo z tego powodu wymyśliłem sobie po trzydziestce drugie dzieciństwo. W końcu wyprowadziłem się z domu i wyjechałem na studia, a mama od razu poznała i poślubiła człowieka z Irlandii Północnej. Myślę, że przez ostatni rok życia była całkiem szczęśliwa. Zaprosiła mnie na ślub, bo uznała, że zechcę poznać jej męża, co było z jej strony miłe. Nie powiem, żeby mi szczególnie przypadł do gustu. Za mocno ścisnął mi dłoń, za długo patrzył wymownie w oczy i za często wypowiadał moje imię, kiedy się do mnie zwracał. To jednak nie przeszkodziło mamie w przeprowadzeniu się z nim do Belfastu. Niestety, nie zdobyłem się na wysiłek i nie odwiedziłem jej tam. Sześć miesięcy później, kiedy spacerowała przez centrum miasta, została śmiertelnie potrącona przez za szybko jadący samochód. Teraz tam, gdzie powinna być ona, jest duże puste miejsce. W sklepie, na krześle, w kolejce na przystanku autobusowym. Jest dziura w kształcie osoby wszędzie tam, gdzie byłaby ona, gdyby nie znalazła się na drodze tego samochodu.

Opowiedzenie ludziom o śmierci kogoś bliskiego odgrywa ponoć terapeutyczną rolę w procesie żałoby. Nie w moim przypadku. Kiedy mówiłem znajomym ze studiów, że moja matka została zabita w Belfaście, wszyscy pytali:

— Przez bombę?

Dalej z poważną miną wpatrywałem się w ziemię i wyjaśniałem:



— Nie, przez samochód.

— Rozumiem. — I po chwili: — Samochód pułapka?

— Nie. Zwykły samochód. Przejechał ją człowiek jadący ulicą.

— Rany. To straszne. Nie donosiła policji na IRA czy coś w tym rodzaju?

— Nie, oczywiście, że nie. To był wypadek. Facet po prostu za szybko jechał.

— Rozumiem. Uciekający terrorysta, tak?

— Nie, to był zwykły wypadek. Nie samochód pułapka, nie uciekający terrorysta i nie egzekucja przez IRA. Normalny wypadek drogowy. Nawet w Belfaście to się zdarza.

Każda osoba, której powiedziałem, składała mi kondolencje, ja mówiłem: „Dziękuję bardzo”, po czym następowała niezręczna cisza i mój rozmówca czuł się zobowiązany czymś ją zapełnić.

— Na pewno bałeś się czegoś takiego, kiedy się przeprowadzała do Irlandii Północnej.

— Nie — stwierdzałem sucho.

Najwyraźniej wszyscy uważali, że moja matka sama była sobie winna. Kurczę, przeprowadzić się do Belfastu, to jakbyś się napraszał, żeby cię przejechał siedemdziesięciopięcioletni staruszek. Podczas pogrzebu kuzynka matki powiedziała na głos: „Ostrzegałam ją, że ją zabiją, jak się przeprowadzi do Belfastu”. W końcu nie wytrzymałem i krzyknąłem: „Na litość boską, wpadła pod samochód! To się zdarza w Belfaście; to się zdarza w Londynie; to się zdarza w zasranym Reykjavíku!” Ktoś powiedział: „Dobra, Michael, nie ma co tak się gorączkować”. Inny krewny objął kuzynkę ramieniem i stwierdził: „Oczywiście, że Belfast to bardzo niebezpieczne miasto”.

Nie ma jak pogrzeby, zawsze wyjdzie na wierzch wszystko, co w rodzinie jest najgorsze.

Być może gdyby wciąż żyła. opowiedziałbym o swoich problemach jej, a nie ojcu, bo nie miałem pojęcia, jak tata zareaguje na mój list. Zrelacjonowałem mu wszystko, co się działo po przyjsciu na świat dzieci. Że spędzałem całe dni w swoim pokoju

na nagrywaniu kompilacji, podczas gdy Catherine samotnie zmagala się z najtrudniejszym okresem rodzicielstwa. Ze Catherine sądziła, iż pracuję po szesnaście godzin dziennie, a w rzeczywistości ja baraszkowałem na golasa w basenie z pięknymi młodymi dziewczynami i chodziłem na zakrapiane pikniki na Clapham Common. Ze próbowałem mieć wszystko naraz—życie rodzinne i kawalerską wolność, odpowiedzialność za dzieci i beztrioskie utracjuszostwo młodości. Kiedy skończyłem, były tego całe strony — szczerze i emocjonalne wynurzenia, które, jak podejrzewałem, miały być dla mojego ojca równie ciekawe, jak dla mnie opowieści Briana o kupionym po okazyjnej cenie mondeo. Mimo to następnego dnia rano wysłałem list.

Dobrze mi zrobiło wyrzucenie tego z siebie. Kiedy nadawałem list, wiedziałem, że postępuję słusznie. Musiałem sobie tak powiedzieć, bo listonosz odmówił oddania mi listu, kiedy półtorej godziny później przyszedł opróżnić skrzynkę. Teraz, kiedy podzieliłem się swoją tajemnicą z kimś innym, poczułem się tak, jakby zdjęto mi z ramion potężne brzemie. Nagle wszystko się wykrystalizowało. Nie można zerwać romansu i dalej się widywać z byłą kochanką. Tata próbował tego z laborantką Janet, co skończyło się tak, że się do niej wprowadził. Poprzedniego dnia obiecałem Catherine, że wrócę wieczorem do domu, lecz znowu się zabawiałem do późna w nocy. Jedyna droga do przodu była dla mnie teraz oczywista: postanowiłem wyprowadzić się z mieszkania. Koniec z podwójnym życiem. Ustawię sprzęt nagraniowy na strychu, w szopie albo w sypialni, wszystko jedno gdzie, ale nie mogę tego ciągnąć w nieskończoność.

Tak się potoczyło, że nigdy nie porozmawiałem z ojcem na temat tych wszystkich rewelacji, którymi go zarzuciłem. Sądzę, że liczył się terapeutyczny akt spisania tego wszystkiego i nadania listu, który w tym sensie już spełnił swoje zadanie. Zanim miałem okazję zobaczyć się z tatą, jego zdanie na temat listu nie wydawało się już tak istotne. Bo kiedy list przeczytała Catherine, jej reakcja przyćmiła wszystko inne.

## Rozdział 8

### PO PROSTU TO ZRÓB

— Michael, chciałbyś, żeby twoja płyta znalazła się na listach przebojów?

Budowałem wieżę z klocków dla Millie, kiedy Hugo zadzwonił na moją komórkę. Dzwonek telefonu wyrwał mnie z transu i zdałem sobie sprawę, że Millie jakiś czas temu wyniosła się gdzie indziej i że od paru minut bawię się klockami sam.

— Swoją płytę? — powtórzyłem, wstając.

— Aha. Z twoim nazwiskiem na okładce i w ogóle. Na topie. Rajcowałoby cię to?

To z pewnością jakiś podstęp, który ma mnie nakłonić do wzięcia jakiegoś gównianego zlecenia za marne grosze. Głos rozsądku z tyłu głowy poradził mi odpowiedzieć, że nie jestem szczególnie zainteresowany.

— No, byłbym bardzo zainteresowany — odparłem. — Ale, yyy, w jakim sensie to byłaby moja płyta?

Hugo przystąpił do wyjaśniania, lecz mimo całego udawanego entuzjazmu nie potrafił mnie przekonać, że to przedsięwzięcie byłoby moim osobistym *Sierżantem Pieprzem*. Za pośrednictwem jednego z licznych znajomych w Soho Hugo przygotowywał kompakt zatytułowany *Klasyka w reklamie*. Ulubione utwory klasyczne ludności—czyli te, które ludność umiała rozpoznać, bo słyszała je w reklamach telewizyjnych — teraz dostępne na jednym wspaniałym albumie.

— I natychmiast pomyślałem o tobie, Michael. Ty lubisz te klasyczne kawałki, nie?

— Jestem prawie pewien, że ktoś to już zrobił, Hugo.

— Na pewno nie w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Poza tym teraz mamy technologię, która pozwala odtworzyć brzmienie orkiestry na twoim genialnym sprzęcie, więc nie musimy wykładać fortuny na bandę idiotycznych skrzypków we frakach.

— Skoro tak stawiasz sprawę, to pochlebia mi, że mnie w tym widzisz.

Próbowałem zachować' krytyczny ton, ale Hugo już postanowił, że jestem właściwym człowiekiem do tej roboty.

— To musisz być ty, Michael. Jesteś człowiekiem, który skomponował melodię tum-ti-tum do reklamy herbaty instant w granulkach.

To była prawda. Rzeczywiście byłem człowiekiem, dzięki któremu *Chór żydowskich niewolników* Verdiego stał się synonimem „Wsyń herbatę, wody nalej i zaszalej!” Kiedy Classic FM zorganizowało doroczne głosowanie słuchaczy na sto najlepszych utworów wszech czasów, byłem dosyć zszokowany, kiedy *Chór żydowskich niewolników* zadebiutował od razu na dziewiątym miejscu. Gdyby nie herbata instant w granulkach, to wątpię, czy ten utwór załapałby się do pierwszej setki.

Taka miała być zatem skala moich sukcesów nagraniowych jako muzyka. Nie moje własne kompozycje na kompaktach, lecz moje syntetyczne aranżacje Beethovena, Brahmsa i Berlioza. W spisie utworów nazwisko kompozytora, tytuł i nazwa reklamowanych podpasek. Nie mogłem oprzeć się poczuciu, że po skończeniu studiów muzycznych trochę obniżyłem poprzeczkę swoim marzeniom.

— Może po prostu wydaj kompilację wszystkich klasycznych uwertur granych przez telefony komórkowe.

— Niezły pomysł. Moglibyśmy to zrobić w następnej kolejności.

Rozmawialiśmy o utworach, o których myśleli, i próbowałem wytłumaczyć Hugonowi, że w rzeczywistości żadna technika nagraniowa nie może odtworzyć brzmienia orkiestry, lecz on był nieugięty.

— Dołóż trochę echa czy coś w tym rodzaju. Damy ci taki budżet, żeby ci starczyło na śpiewaków i tak dalej do tych kawałków, jak z tym grubasem z opery, co jest taki smutny, że wystarczy mu jeden kornet.

— „O sole mio” nie jest z opery.

— Wszystko jedno.

— Możemy tak zrobić, ale efekt będzie gówniany.

— Tak, ale ludzie, którzy to kupują, nie zdają sobie sprawy, że efekt jest gówniany.

Powiedziałem Hugonowi, że jest najbardziej cyniczną osobą, jaką w życiu spotkałem, co mu szczerze pochlebiło. Nie odrzuciłem jednak wprost jego propozycji i jakoś tak wyszło, jakbym ją przyjął. *Klasyka w reklamie* miała być składanką tanio wyprodukowanych orkiestrowych urywków adresowanych do ludzi, którzy nie mieli ochoty brnąć przez całą symfonię. Chociaż czułem się trochę nieswojo, zasiadłem do pracy nad wyborem odpowiednich kawałków. Na liście musiał się znaleźć słynny „Lot opalarki Black and Decker” z opery *Bajka o carze Saltanie* Rimskiego-Korsakowa. Poza tym „Jowisz” z suity Holsta *Planety* — lepiej znany jako temat z reklamy parasola Dulux. Następnie reklama krakersów pszennych hovis, rzadziej zwana *Symfonią „Z Nowego Świata”*. Antonin Dvorak napisał ten utwór jako hołd dla Stanów Zjednoczonych. Myślę, że umieszczenie dziesięciu sekund z tej symfonii w reklamie telewizyjnej więcej mówiło o amerykańskim sposobie życia niż cała symfonia. Dalej „Taniec łabędzi” z *Jeziora łabędziego* — Czajkowski użył całego swego kunsztu kompozytorskiego w celu wyrażenia pysznego smaku, prostoty przyrządzania i całkowitej nieobecności kalorii w „Wyszczuplającej zupie dla kawalerów”. No i oczywiście *Symfonia na cześć margaryny Blue Band* Beethovena.

W ciągu kwadransa miałem gotową listę dwudziestu kilku utworów zawdzięczających swoją sławę częstym wystąpieniom w reklamach telewizyjnych. Catherine słyszała moją rozmowę telefoniczną i chociaż była wyciągnięta na podłodze jak wyrzucony na brzeg wieloryb (w daremnej próbie znalezienia wygodnej pozycji), usiłowała zobaczyć, co zapisuję. Wstydziłem się z nią rozmawiać o tym projekcie, lecz ona rozumiała moje wahania.

- No to nie rób tego, jeśli uważasz, że to poniżej twojej godności.
- Właściwie mu obiecałem, że to zrobię.
- No to zadzwoń i powiedz, że się rozmyśliłeś.

— Ale wiesz, jaki jest Hugo. Skończy się na tym, że się zgodzę na podwójny kompakt.

Moja słabość w obliczu takich ludzi jak Hugo irytowała Catherine. Powiniennem się bronić, powiedziała mi. Nie mając odwagi się z nią spierać, obiecałem pokornie, że następnym razem tak zrobię.

— Mam pomysł, jak zarobić trochę pieniędzy — oznajmiła mi stąd, ni zowąd. — Powieść-kompilacja.

Zaczęła robić jakieś notatki.

— Co?

— Skoro ludzie kupują te wszystkie kompakty ze składankami klasycznych urywków, ktoś powinien opublikować powieść-kompilację.

Catherine była bardziej wyrobiona literacko niż ja. Raz w miesiącu chodziła na spotkanie kółka lekturowego, na którym pół tuzina kobiet przez pięć minut dyskutowało o *Mandolinie kapitana Corellego*, a przez pozostałe trzy godziny psioczyło na swoich mężów.

— Nie rozumiem — powiedziałem. — Jak można stworzyć powieść-kompilację?

Odchrząknęła i odczytała mi to, nad czym pracowała.

— Akcja zaczyna się w Casterbridge, hrabstwo Wessex, kiedy burmistrz budzi się pewnego ranka i zauważa, że zamienił się w chrabąszcza. Pani Bennet uznaje zatem, że burmistrz nie jest już odpowiednim kandydatem na męża jej córki Molly Bloom, ucieka więc ze strychu, na którym więził ją Rochester, i podpala Manderley. „Zgroza, zgroza!” — woła Heathcliff, kiedy biały wieloryb wlecze Małą Neli w odmęty tragicznej śmierci, a Tom Jones siedzi sam w ogrodzie Barchester Towers i wie, że pokonał samego siebie. Kochał Wielkiego Brata.

Prychnąłem śmiechem z groteskowego pomysłu Catherine, udając, że łapię wszystkie odniesienia. W rzeczywistości, jako osoba mogąca się wykazać nieprzeciętną ignorancją literacką, bardzo chętnie przeczytałbym coś takiego.

— Szybko, szybko! — powiedziała nagle, kładąc moją dłoń na swoim brzuchu. — Tutaj? Czujesz?

— Nie. Nie jesteś w ciąży, prawda?

— Zdemaskowałeś mnie. Nie, po prostu jem całe tony ciastek z kremem.

Oboje parsknęliśmy śmiechem, po czym nagle zawołałem:

— Jej u! To był dopiero kop!

Czasem, kiedy Catherine chichotała, dziecko kopało delikatnie dla pokazania, że je również to rozśmiesza. Patrzyłem, jak pięta, łokieć lub inna część ciała dziecka sunie pod naprężoną skórą brzucha Catherine niby Moby Dick tuż pod powierzchnią wody. Catherine wkroczyła w drugą połowę ciąży. Formował się nowy człowiek. Za kilka miesięcy miałem po raz trzeci zostać biologicznym ojcem, ale jakoś nie czułem, żebym był w pełni uformowanym ojcem. Dziecko miało się rodzić długo i w bólach. Nie wiem, dlaczego oczekiwałem, że w moim przypadku rzecz dokona się łatwiej.

Dziecko tworzyło teraz równiutki wzgórek na przedzie brzucha Catherine. Mądrość ludowa mówiła, że wobec tego dziecko będzie chłopcem. Folklor i handlarki rybami podawały najróżniejsze metody określania płci dziecka: kształt brzucha, charakter zachcianek kulinarnych matki i, rzecz jasna, test z obrączką ślubną. Matka kładzie się na plecach i ktoś trzyma jej nad łonem obrączkę przywiązaną na nitce. Jeśli obrączka nieznacznie się kołysze, będzie dziewczynka; jeśli się obraca, będzie chłopczyk. Obrączka Catherine kołysała się i obracała, a mnie przez tydzień prześladowała myśl, że nasze dziecko będzie po dorośnięciu przypominało dziewczynę z komputera Simona.

Brzuch ciężarnej kobiety musi być o wiele większy niż u Catherine, aby mogła mieć całkowitą pewność, że ustąpią jej miejsca w metrze, ale do tej pory żadnej kobiecie nie udało się donosić ciąży do dwudziestego drugiego miesiąca. Około Bożego Narodzenia Catherine była już tak rozdęta, że mężczyznom siedzącym w metrze nie pozostawało nic innego, jak zachować się przyzwoicie i przysunąć sobie gazety tak blisko twarzy, aby nie sposób było spotkać się z nią wzrokiem. Tak im się przynajmniej wydawało. Catherine nie byłaby sobą, gdyby nie wystawiała głowy nad

brzeg gazety i nie mówiła: „Wygodnie się panu siedzi czy miałby pan ochotę położyć nogi na mojej buli?”

Podejrzewałem, że niektórzy mężczyźni z czystego zakłopotania nie potrafią ustąpić miejsca — pomyśleć o tym, że mieliby rozmawiać w metrze z zupełnie obcą osobą płci przeciwnej, i to na tematy ginekologiczne. To wystarczy, aby przeciętny Anglik zapadł się pod ziemię. Przedstawiłem tę hipotezę Catherine, a ona wysłuchiwała z uwagą, skinęła głową i zaproponowała swoją własną interpretację, dogłębnie przemyślaną: „Nie sądzisz, że to dlatego, że wszyscy mężczyźni są francowatymi egoistami?” Zakłopotanie nie należało do pojęć ze słownika Catherine, ale wyobrażam sobie, że jeśli ktoś leżał goły z nogami w obejmach i grupa studentów medycyny przyglądała mu się z końca łóżka, to potrzeba wyjątkowych bodźców, żeby taka osoba się zarumieniła.

Catherine przez jakąś godzinę siedziała na podłodze przed telewizorem i masowała krzyże, które bolały ją od kilku tygodni. Alfie się obudził i chociaż pora karmienia jeszcze nie nadeszła, zniosłem go na dół i dałem mu butelkę. Przy każdym pociągnięciu Alfie miał zaskoczoną minę, jakby się nie spodziewał, że z rozmaitych rzeczy, które mogą go spotkać po łyku ciepłego mleka, będzie to następny łyk ciepłego mleka. Zaczął zasypiać, więc postukałem go w piętę i jeszcze zapalczywiej przyssał się do butelki. Catherine uśmiechnęła się i powiedziała, że nareszcie nauczyłem się tej sztuczki, i dziecko w jej brzuchu znowu kopnęło.

Millie przypuszczalnie się obudziła, zobaczyła, że łóżeczko jej braciszka jest puste, i uznała, że za jej plecami dzieją się jakieś ciekawe rzeczy, bo nagle stanęła w drzwiach, twierdząc, że włosy ją bolą. Zdając sobie sprawę, że popełniamy błąd, pozwoliliśmy jej zostać w salonie. Umościliśmy się we czwórkę na sofie i po raz kolejny patrzyliśmy na początkowe fragmenty *Króla Lwa*. Kiedy Rafiki podniósł do góry nowo narodzone lwiątko i wszystkie zwierzęta radowały się, kłaniały i wznosiły okrzyki, tak bardzo chciało mi się płakać, że musiałem to zakamufłować histerycznym śmiechem. Ścisnąłem przy tym Millie tak mocno, że powiedziała: „Auć!”

\*



Położyłem dzieci z powrotem do łóżek i puściłem im z komórki elektroniczną wersję *Kohysanki* Brahmsa, oficjalnego hymnu każdego pokoiku dziecięcego w naszej ojczyźnie, wybranego ze względu na swoją olbrzymią popularność, delikatną melodię oraz — przede wszystkim — fakt, że prawa autorskie wygasły dwa stulecia temu. Głaskałem po głowie zasypiającą Millie. To były chwile, dla których wróciłem do domu. Pomyślałem o tych wszystkich mężczyznach w szkole rodzenia, pełnych entuzjazmu i dobrych intencji. Ilu z nich pozwoliło sobie na to, żeby stać się obcymi ludźmi we własnej rodzinie? Ilu próbuje realizować się w pracy, aby zrekompensować sobie nagłą utratę pozycji w domu? Częściowo wyszliśmy już ze średniowiecza i mężczyźni są obecni przy narodzinach swoich dzieci, lecz ilu z tych mężczyzn jest obecnych w życiu swoich dzieci? Teraz, kiedy postanowiłem zmienić swój tryb życia, nagle poczułem się wojującym ojcem rodziny, jak jeden z tych fanatycznych działaczy antynikotynowych, którzy do niedawna wypalali trzy paczki dziennie. Dlaczego tak wielu mężczyznom zależy na tym, żeby być dobrym w pracy albo w sporcie, lecz bycie lepszym ojcem ma dla nich mniejsze znaczenie?

Oczy Millie w końcu się zamknęły i wyczerpana komórka zawyla jęklonie, przerywając koncert. Wiedziałem, że trudno mi się będzie przestawić na spędzanie większej ilości czasu w domu, lecz alternatywa była po prostu nie do przyjęcia. Musiałem się nauczyć, że będąc z dziećmi, trzeba odłożyć swoje plany na kiedy indziej. Nie da się być z parolatką i niemowlakiem, a jednocześnie stroić gitarę akustyczną. Usiąść, zrobić sobie kanapkę, iść do ubikacji — są to luksusy, których trzeba się wyrzec. Trzeba ten czas przeznaczyć wyłącznie dla nich i w całości się zaangażować w to, co one robią. Nie można w tym uczestniczyć tylko trochę. Nie można zabrać małych dzieci na basen i samemu nie pływać. Ta analogia stosuje się do całego życia po przyjściu na świat dzieci. Nawet jeśli woda jest zimna i nie masz ochoty na kąpiel, musisz wskoczyć do basenu.

— Śpią — powiedziałem po powrocie do salonu.

Catherine nie zareagowała i zdałem sobie sprawę, że ona też śpi. Tego wieczoru czułem się z nią już swobodniej, nie musząc cenzurować wszystkiego, co mówię. Pozostało tylko załatwić praktyczne sprawy związane z wyprowadzką z mieszkania, aby dni kłamstwa mieć już za sobą. Nie powiedziałem Catherine, że nagle przyjadę furgonetką pełną sprzętu, który trzeba będzie wcisnąć do naszego już zagraconego domu: gdybym to zrobił, odwiódłaby mnie od tego. Zresztą spora część moich rzeczy mogła pójść na strych. Rozmaite taśmy demo ze wszystkimi moimi piosenkami mogły zbierać kurz obok pudła z moimi malunkami z dzieciństwa; były to tylko pamiątki zgromadzone na innym etapie mojej podróży do dorosłości. Zamierzałem powiedzieć Catherine, że mam już dosyć bycia z dala od niej i dzieci, toteż spontanicznie postanowiłem zrezygnować ze studia i pracować w domu. Czułem się bardzo dziwnie, bo była to niemal prawda.

Dwa dni później przed południem nerwowo jechałem wynajętą dużą furgonetką przez ruchliwe ulice Londynu i po mistrzowsko wykonanym zakręcie za dwadzieścia siedem punktów karnych zaparkowałem ją pod mieszkaniem. Wieżę zostawiłem na koniec, żeby móc słuchać przy pracy muzyki. Wybrałem *21<sup>st</sup> Century Schizoid Man* i *Moc przeznaczenia* Verdiego. Nucilem pod nosem, wkładając ubrania do pudeł. Zabawne było widzieć, do jakiego stopnia wytarte dzinsy i kurtki pilotki z mojej kawalerskiej garderoby kontrastują z kardiganami i papuciami, które nosiłem w domu. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że świat zewnętrzny całkowicie odmiennie postrzeże mnie w moich dwóch rolach. Kiedy pchałem chodnikiem podwójny wózek, starsze panie uśmiechały się do mnie i ja uśmiechałem się sympatycznie do nich, lecz kiedy szedłem sam ulicą, zapomniałem, że nie mam przy sobie paszportu do akceptacji społecznej, i odruchowo szczyrzyłem zęby do jakiejś mijającej mnie pani, która odwracała oczy, jakby chciała powiedzieć: „Nawet się nie waż na mnie patrzeć, ty zboczeńcu”.

Na szafie z ubraniami leżała olbrzymia sterta czasopism mu-

zycznych. Po raz ostatni rzuciłem okiem na dwadzieścia roczników pieczołowicie przechowywanych starych numerów „New Musical Express”, po czym wrzuciłem je do worków na śmieci. Przejrzałem kilka wywiadów z bohaterami mego chłopięctwa — zapienionymi punkami rzucającymi nihilistyczne hasła w stylu: „Nie ma przyszłości” i „Niech żyje anarchia”; sam kiedyś przybierałem takie pozy. „Lepiej będzie, jeśli wywiozę te wszystkie czasopisma na makulaturę” — pomyślałem.

Byłem teraz ojcem i miałem dzieci, które robiły za dużo bałaganu, żebym jeszcze ja znosił do domu całą tę bezwartościową przeszłość. Chociaż próbowałem wrócić do czasów, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, teraz już wiedziałem, że to niemożliwe. Kilka tygodni wcześniej graliśmy na łące w piłkę, kiedy minęła nas oszałamiająca opiekunka z kilkuletnim dzieckiem. Wszyscy się zatrzymali i patrzyli w jej stronę.

— Śliczna — powiedział Jim.

— To chyba chłopczyk — sprostowałem, zauważywszy, że mały ma na sobie dzinsy Baby Gap.

Nie byłem już młodzieńcem. To tak, jakby ktoś próbował wyglądać *cool*, jeżdżąc lotusem elanem z nalepką „Baby on Board” na tylnej szybie.

Zapakowałem sprzęt i gadzety stojące na półkach: przedatowany palmtop (bez baterii), z trudem dający się otworzyć scyzoryk, ładowarkę kompatybilną tylko z konsolą do gier, którą wieki temu zastąpiłem nową — wszystkie dziecięce zabawki i śmieci z czarnego plastiku, które nagromadziłem jako trzydziestokilkuletni nastolatek. Zapakowanie wszystkich kompaktów i książek zajęło mi tylko godzinę, dzięki czemu miałem resztę popołudnia na rozplątanie dziesięciu kilometrów plastikowego spaghetti wysnuwającego się z keyboardu, stołu mikerskiego i wieży. Ostatecznie udało mi się załadować sprzęt muzyczny do transita. Przypomniały mi się dni, kiedy grałem z tymi wszystkimi zespołami i sądziłem, że taskanie wzmacniaczy i keyboardów do furgonetek któregoś dnia zaowocuje najlepiej sprzedającą się płytą. Pocieszałem się myślą, że kiedy *Klasyka w reklamie* zdobędzie

platynową płytę, będę ją mógł oprawić i powiesić nad kominkiem. A może honorowe miejsce na ścianie ubikacji byłoby bardziej stosowne.

W końcu wszystko znalazło się w furgonetce, gotowe do przetransportowania za rzekę. Posprzątałem pokój, jak najhałaśliwiej odstawiłem wiadro z detergentami pod zlew, z hukiem położyłem odkurzacz na jego miejsce w szafie, lecz żaden z moich współlokatorów nie podniósł oczu. Nie miałem nic więcej do zrobienia. Szlus. Przyszedł moment, by powiedzieć do widzenia mojej przywiedłej młodości.

Jim siedział przy stole, bezskutecznie próbując wprowadzić numery do telefonu komórkowego, natomiast Paulem aż trzepało z frustracji, kiedy usiłował się powstrzymać przed zasugerowaniem Jimowi, żeby po prostu przeczytał instrukcję. Simon oglądał wideo z golami piłkarskimi. Nie nagrany świetny mecz, gdzie gol jest czymś cennym i znaczącym, lecz kompilację różnych bramek, wyjętych z kontekstu i pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia. Był to sportowy odpowiednik *Klasyki w reklamie*.

— No, to by było na tyle — powiedziałem z autoironicznym patosem, który miał zatuszować fakt, że chwila rzeczywiście była dla mnie bardzo podniosła.

Zgoda, z tymi ludźmi nie łączyło mnie pokrewieństwo dusz, ale mogli się trochę bardziej wysilić przy mówieniu do widzenia. Mężczyźni nigdy nie byli najlepsi w emocjonalnych pożegnaniach. Kiedy ekspedycja Scotta wracała przez Antarktydę i kapitan Oates postanowił odebrać sobie życie, nie chcąc być ciężarem dla swoich towarzyszy, udawał, że wychodzi z namiotu, aby udać się do ubikacji. Mógł powiedzieć, że idzie się zabić, ale nie miał ochoty patrzeć, jak jego przyjaciele z zażenowaniem i obojętnością wzruszają ramionami i mruczą pod nosem: „No, to cóż, na razie”.

— No, to cóż, na razie, Michael — powiedział Jim, gdy szykowałem się do stawienia czoła lodowatej śnieżycy w pełni zaangażowanego życia małżeńskiego.

— No, cześć — powiedzieli Simon i Paul.

Postałem tam, zakłopotany, jeszcze kilka sekund. Kiedy pomyślałem o wszystkich przyjemnych chwilach, które tam spędziłem, zrobiło mi się smutno, łzy cisnęły mi się do oczu, lecz pozostali sprawiali wrażenie obojętnych, ani trochę niewzruszonych.

— Aha, ostatnia rzecz — powiedział Simon.

— Tak? — odparłem pełen nadziei.

— Jaki jest jedyny klub piłkarski bez liter do kolorowania?

— Że co?

— No, wiesz, kolorujesz litery w gazecie, wypełniasz „o” czy „a”. Jaki jest jedyny klub ligi angielskiej albo szkockiej, którego nazwa nie zawiera liter możliwych do pokolorowania?

— Simon, to jest najbardziej bezsensowne pytanie, jakie w życiu słyszałem — stwierdziłem, po czym spytałem: — Który to klub?

— Sam wymyśl.

— Nie, to idiotyczne, nie będę tracił czasu i energii na zastanawianie się nad tym.

— Dobra, na razie — powiedział i wrócił do oglądania wideo.

— Ale tak z ciekawości, który to klub?

— Przecież powiedziałeś, że to bezsensowne pytanie.

— Bo jest bez sensu. Taka wiedza do niczego się nie przydaje, co jest typowe dla rozmów prowadzonych w tym domu. Całe godziny stracone na rozmawianiu o czymś zupełnie nieistotnym. Więc Simon, proszę cię, powiedz nam, który zespół ma nazwę składającą się z samych liter niemożliwych do pokolorowania?

— Prędzej czy później wymyślisz.

— Pomyślałem, że skoro poruszyłeś tę kwestię, to mi powiesz. Simon podniósł wzrok ze stanowczym uśmiechem.

— Nie.

— No, to będę leciał — powiedziałem po chwili przerwy.

— No. Do zobaczenia — mruknęli.

— O, już wiem — zablefowałem.

— Brawo.

— Mógłbym tylko sprawdzić, czy myślę o tym samym klubie co ty?

— Jasne. O którym klubie myślisz? — spytał Simon, wiedząc, że nie mam zielonego pojęcia, jaka jest odpowiedź.

— Przestań, powiedz mi.

— To nieistotne — odparł, nie odrywając wzroku od ekranu.

— QPR — wypaliłem bez zastanowienia.

— Nieźle. Poza tym, że można pokolorować „Q”, „P” i „R”.

— Faktycznie.

Usiadłem przy stole kuchennym i zacząłem wymieniać nazwy podrzędnych klubów piłkarskich, aby się dowiedzieć, że można pokolorować „B” w Bury oraz „e” w East Fife. Parę butelek piwa później przyszła Monica. Kiedy się dowiedziała, że to mój ostatni wieczór w mieszkaniu, wykonała kilka rozmów telefonicznych i towarzystwo, które planowało iść do klubu, zamiast tego ściągnęło do mieszkania z butelkami wina i puszkami piwa. Monica spontanicznie zorganizowała imprezę pożegnalną, którą w skrytości ducha chciałem zostać zaskoczony przez moich współlokatorów.

O dziewiątej wieczór w mieszkaniu było około czterdziestu osób, pijących tanie czerwone wino z kubków do kawy i gibających się w takt piosenek, które powinienem był rozpoznać. Miło było słyszeć, jak mówią:

— A, to ty jesteś ten gość, co się wyprowadza. Dzięki za zaproszenie na imprezę.

W pewnym sensie ta pożegnalna feta stanowiła ważną cezurę w moim życiu. Było to bar miewa mojego ojcostwa. Wieczór ten zdominowała jedna myśl. Nie: „Czy dobrze robię?” albo: „Czy będę dzięki temu szczęśliwszy?”, tylko, niestety: „Jaki jest jedyny klub ligi angielskiej albo szkockiej, którego nazwa nie zawiera liter możliwych do pokolorowania?” Prześladowało mnie to, chciałem zapomnieć, ale wpadłem w pułapkę. To był mój wieczór, znalazłem się w centrum uwagi, ale nie potrafiłem się dobrze bawić, bo kiedy ludzie coś do mnie mówili, ja tylko udawałem, że słucham, bo mój umysł gorączkowo wertował dziesiątki nazw klubów piłkarskich z niższych lig.

— Więc gdzie się przenosisz?

— Fulham — powiedziałem rozanielony.

— Do Fulham?

— A, nie, nie Fulham.

— Czemu nie?

— No bo można pokolorować literę „a”, prawda?

O dziewiątej tańczyłem spięty, a dwa piwa później trochę bardziej rozluźniony. Potem mnie olśniło. Dowcip polega na tym, żeby myśleć dużymi literami. Co za ulga, że mam już to z głowy. Podrygując, zbliżyłem się do Simona, zachwycony sobą.

— Exeter City — oznajmiłem z zadufaną miną.

— Można pokolorować „e”.

— Nie można, jeśli się napisze dużymi literami.

— To prawda, ale jeśli napiszesz dużymi, to można pokolorować „R”. Zastanowiłem nad tym.

— Dobra, Exeter City napisane dużymi literami, poza „r”, które piszemy małą. Słuchaj, wymyślę to...

I poszedłem sobie, mrużąc pod nosem nazwy klubów z drugiej ligi szkockiej. Impreza trwała dalej i przyszła Kate ze swoim nowym chłopakiem, co wzbudziło we mnie niewytłumaczalną zazdrość. Wiedziałem, że między nami nic nigdy nie będzie, ale chyba miałem podświadomą nadzieję, że Kate już do końca życia z nikim się nie zwiąże, licząc na to, że zmienię zdanie. I nie podobało mi się, że Jim poświęca jej tyle uwagi. Skoro mnie nie wolno zdradzać z nią swojej kobiety, to nikomu innemu też nie wolno. Przez cały wieczór prawie nie rozmawiałem z Simonem ani z Jimem. Wciąż nie powiedziałem moim współlokatorom, że jestem żonaty. Przygotowałem sobie całą historię wyjaśniającą, dlaczego i dokąd się przeprowadzam, ale żaden z nich nawet się nie pofatygował mnie zapytać.

Jakiś czas potem Paul zobaczył, że stoję sam w kącie, i podszedł do mnie z dwiema butelkami piwa, z których jedną mi wręczył.

— To jak, zostajesz na noc?

— Nie, rzeczy są włożone do furgonetki. Jeszcze tylko to piwo i koniec z piciem.

— Czyli nie miałeś zamiaru zostać i pomóc w sprzątaniu?

— Paul, przykro mi, nie miałem zamiaru zostać i pomóc w sprzątaniu, ale tak się często dzieje, kiedy ktoś ci zrobi imprezę-niespodziankę.

— Nie to chciałem powiedzieć. Przepraszam.

Widać było, że sporo wypił. Wydawało się, że chce powiedzieć coś, co mu leży na sercu.

— Michael, wiem, dlaczego nigdy nie sprowadziłeś sobie dziewczyny do mieszkania.

Paul nie wiedział o nocy spędzonej z Kate, ale nie zamierzałem się przechwalać mityczną nocą miłosnych uniesień w sytuacji, gdy kilka metrów dalej stała Kate we własnej osobie.

— Nigdy? — spytałem, udając, że szukam w pamięci kontr-przykładów.

— Daj spokój. Trzy lata tu mieszkałeś, tyle nocy cię nie było, ale ani jednej dziewczyny tutaj nie sprowadziłeś. Wiem dlaczego.

Z zainteresowaniem dowiedziałem się, że moja tajemnica w ostatniej chwili wyszła na jaw. Chciałem uzyskać więcej informacji na ten temat.

— A, rozumiem. Ktoś ci powiedział czy to tylko przypuszczenie?

— To oczywiste.

— Rozumiem. No tak, nie da się zaprzeczyć, że jestem, jakby to powiedzieć, inny od was wszystkich.

— Nie aż taki inny. W każdym razie nie ode mnie — stwierdził enigmatycznie.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że ty też prowadziłeś podwójne życie?

— Tak, prowadziłem.

Sprawa miała wrażenie zachwyconego, że może się tym ze mną podzielić.

— Kurczę blade, ścichapkę z ciebie, Paul!

— No, ale chyba nie potrafię już dłużej zachować tego w sekrecie.

— Aha, rozumiem, co chcesz powiedzieć.



— Pomyślałem, że tobie powiem pierwszemu, bo ty mnie zrozumiesz. Ja też jestem gejem.

— Co?

— Ja też jestem gejem. I myślę, że ty czujesz do mnie to samo, co ja do ciebie.

— Nie, nie, nie, Paul. Nie jestem gejem.

\_ Nie próbuj się z powrotem chować — szepnął pośród zgiełku toczącej się wokół nas imprezy. — Skoro ja mogłem podzielić się z tobą moją tajemnicą, to ty też możesz.

— Nie jestem gejem — powtórzyłem.

— Właśnie potwierdziłeś, że nie dasz rady już dłużej utrzymać tego w sekrecie.

— Chodziło mi o co innego.

— Tak? Na przykład o co?

— Wolałbym nie mówić, jeśli pozwolisz.

— Michael, nie ma nic złego w tym, że ktoś jest gejem.

— Zgadzam się. Nie ma nic złego w tym, że ktoś jest gejem. Powiem więcej, to super być gejem.

— Świetnie. Już jesteś blisko.

— Tyle tylko, że przypadkiem ja nim nie jestem.

— Wciąż jesteś w fazie negacji, Michael.

— Nie jestem w żadnej fazie negacji. Po prostu neguję, że jestem gejem.

— Powiem ci wszystko, jeśli i ty mi powiesz.

\_ Nie mam ci nic do powiedzenia, bo nie jestem zasranym pedałem, okej?

Stanowcze stwierdzenie Paula dotyczące mojego rzekomego homoseksualizmu przysłoniło rzecz istotniejszą: właśnie mi wyjawiał największą tajemnicę swojego życia, a mianowicie to, że nie tylko jest gejem, ale również kocha się we mnie. Nagle wszystko stało się zrozumiałe — wszystkie te razy, kiedy miał nadzieję, że będę w domu na przygotowane przez niego posiłki, wszystkie jego dziwne dąsy. Zachowywał się jak spuszczone po brzytwie dziewczyna. Doszedłszy do przekonania, że rzekoma nieobecność kobiet w moim życiu ma to samo podłoże co w jego wypadku, zbudował sobie

wyimaginowany świat, w którym moje komplementy pod adresem upieczonej przez niego ryby albo nowych spodni nabierały głębszego znaczenia, toteż teraz nie zamierzał pozwolić mi na zburzenie jego iluzji. „Jak to możliwe, żeby popaść w takie urojenia” — zastanawiałem się. A potem przypomniałem sobie, że zawsze sądziłem, iż Catherine jest szczęśliwa, siedząc sama w domu.

— Cieszę się, że postanowiłeś to ujawnić, i przepraszam, jeśli się zdarzyło, że w domu panowały homofobiczne klimaty.

— Nie. Jim i Simon czasami coś zażartowali, ale ty zawsze ich gasiłeś. Wtedy zaczęło mi świtać.

— To, że nie jestem homofobem, nie robi ze mnie homoseksualisty, ty głupia cioto. Bez obrazy.

— Michael, kocham cię i myślę, że ty kochasz mnie, tylko nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy.

— Zapomnij o mnie. Idź i złóż propozycję Simonowi. On musi się przespać z jakimś żywym stworzeniem, zanim ukończy trzydzieści lat.

Pokazałem na Simona, który bez powodzenia próbował rozkochać w sobie jakąś dziewczynę, opisując swoje ulubione witryny internetowe, w rozpaczliwej nadziei, że jakoś tak wyjdzie... Paul nie dał się jednak zniechęcić.

— Posłuchaj, znam kilku gejów. Im zawdzięczam siłę, która pozwoliła mi wyjawić prawdę. Tobie też mogą pomóc. Wszystko im o tobie powiedziałem.

— KTO CI DAŁ PRAWO ROZPOWIADAĆ ŚWIATU, ŻE JESTEM GEJEM?

Cały pokój umilkł na tę wiadomość i wszystkie głowy odwróciły się ku mnie, oczekując wyjaśnienia. Wszystkie usta się rozdziawiły. Człowiek, który przyniósł pizzę, odstawił piwo i powiedział, że musi wracać do restauracji.

— To wszystko tłumaczy — powiedziała głośno Kate.

— Nie jestem homoseksualistą, jeśli to kogoś interesuje. Właśnie mówiłem Paulowi, że nie powinien opowiadać ludziom, że jestem gejem, to znaczy, yyy, gdyby taka myśl przyszła mu do głowy.

Nikt nie sprawiał wrażenia przekonanego.

— W porządku, Michael. Nie ma nic złego w tym, że ktoś jest gejem — zachęcił głos z głębi pokoju.

— Wiem, że nie ma.

— Twoje zdrowie, chłopie! — krzyknął ktoś inny.

— W takim razie mamy podwójne święto! — zawołała Monica. — Idzie w świat i wyjawia prawdę.

Wszyscy klaskali i jakiś żartowniś puścił *YMCA*. Moje samotne protesty utonęły w zgiełku, kiedy wszyscy nagle zaczęli śpiewać i tańczyć do Village People. Puścili tę płytę specjalnie dla mnie i uważali, że zachowuję się naprawdę nieładnie, nie tańcząc, więc w końcu zatańczyłem, co uznano za ostateczne potwierdzenie mojego homoseksualizmu. Zrobiono dla mnie miejsce na parkiecie tanecznym, zachęcano mnie i klaskano, jakbym nagle zrzucił z ramion ciężkie brzemie tajemnicy. Spojrzałem na Paula, który stał w rogu i mamrotał słowa piosenki, ale wciąż nie był wystarczająco wyzwolony, aby zatańczyć do tego nieoficjalnego hymnu homoseksualistów. Kiedy następnym razem podniosłem wzrok, zobaczyłem Simona cokolwiek zaskoczonego i urażonego propozycją, którą składał mu mocno pijany Paul.

Trochę później podeszła do mnie Kate i powiedziała, że nie przyszło jej do głowy, że ta „inna osoba”, której chcę być wierny, jest mężczyzną. Teraz rozumiała, dlaczego nie chciałem się z nią przespać. Myślę, że podniosło ją to na duchu. Nie czułem się na siłach ponownie wchodzić w „fazę negacji”, więc podziękowałem jej za wyrozumiałość i uśmiechnąłem się. Szansa na to, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę tych ludzi, była niewielka, więc jeśli postanowili uznać mnie za homoseksualistę, to co z tego?

Po paru godzinach narzuconej sobie abstynencji poczułem, że uśmiech mnie rozboleł, gdy patrzyłem, jak inni imprezowicze toną w pijaństwie. Pożegnałem się z kilkoma osobami, ale wszyscy zdążyli zapomnieć, z jakiej okazji jest impreza, więc nie miałem zbyt wielu wyrzutów sumienia, kiedy się dyskretnie wymknąłem. Jechałem wynajętą furgonetką przez londyńską noc i wkrótce znalazłem się na Waterloo Bridge, dawnej granicy

po między moimi dwoma światami. Spojrzałem na rzekę, podziwiałem roziskrzony Canary Wharf i City na wschodzie oraz parlament i London Eye na zachodzie. Potem skierowałem się w stronę Aldwych, mijając skulone ciała śpiące po bramach lub przykryte tekturą. London był jak moje życie. Z daleka wyglądał super. Dopiero patrząc z bliska, człowiek zdawał sobie sprawę, jaki to kanał.

Wreszcie znalazłem się pod swoim domem. Było za późno na rozładowywanie auta. Furgonetka była wyposażona w alarm i miała dwie kłódki z tyłu, więc uważałem, że mogę bezpiecznie zostawić w niej rzeczy do rana. W domu panowały ciemności i cisza, kiedy bezgłośnie wśliznąłem się do przedpokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Od urodzenia się dzieci Catherine miała tak lekki sen, że odruchowo chodziłem na palcach, starając się nie oddychać zbyt głośno.

W widocznym miejscu na stole kuchennym leżała kasetta wideo, co oznaczało, że Catherine pamiętała o nagraniu mojego ulubionego programu. Chociaż wolałem się z tym nie afiszować, nic mnie bardziej nie bawiło niż nagrane domową kamerą filmy z labradorami wjeżdżającymi na skateboardach do basenów i maluchami zakleszczonymi w muszlach klozetowych. Nasza kamera była zamontowana na statywie, a zatem program zainspirował Catherine do sfilmowania naszych dzieci. Wyjąłem z lodówki piwo i usiadłem przed telewizorem, troskliwie ustawiwszy głośność prawie na zero, i zdrowo się pośmiałem z katastrof innych ludzi. Pierwszy filmik pokazywał scenę, ewidentnie zaaranżowaną, w której grupa ludzi udawała, że nie patrzy, dokąd idzie, wchodząc w ubraniu do rzeki. Ich wysiłki przyniosły im pięćset funtów, czyli sumę wystarczającą na zakup nowej kamery, więc „Daj im Boże zdrowie” — pomyślałem. W następnej sekwencji dzieci zachowywały się w sposób nieprzyjemnie szczery — mały chłopczyk powiedział do przedszkolanki z ogromną nadwagą: „Jesteś wielka, tłusta świnia”. Kiedy został skarcony, pokazał na przedszkolankę z miną mówiącą, jak wielką wyrządzono mu niesprawiedliwość, negując tę

oczywistą prawdę, i dodał: „Kiedy ona naprawdę wygląda jak tłusta świnia...”

Potem był ślub kościelny. Pana młodego spytano, czy chce tę kobietę za żonę, a on odpowiedział, że chce. Pannę młodą spytano, czy chce tego mężczyznę za męża, a ona trochę się speszyła i miała kłopoty z mówieniem. „Zaraz zemdleje” — pomyślałem. Co za banał. Pomyliłem się. W tym momencie jakiś mężczyzna siedzący pięć rzędów od ołtarza zerwał się na nogi z walkmanem na uszach, wyrzucił ramiona do góry i krzyknął: „GOL!” Śmiałem się tak głośno, że miałem obawy, czy nie obudzę całej ulicy, już nie wspominając o Catherine. Przewinałem kasetę do tyłu i jeszcze raz obejrzałem ten filmik. Za drugim razem rozśmieszył mnie prawie tak samo jak za pierwszym. Fantastyczne. Uwielbiałem ten program. Prowadzącemu też się spodobał ten numer, ale obiecał, że następny będzie jeszcze zabawniejszy. „No, to już musi być coś zupełnie niezwykłego” — pomyślałem i pociągnąłem kolejny łyk piwa. Potem ekran zrobił się czarny. „No nie, coś pochrzaniła z nagrywaniem”.

Nie pochrzaniła. Nagle na ekranie pojawiła się rozwścieczona twarz Catherine. „Ty gnoju!” — wrzasnęła do kamery. „Ty kłamco, egoisto, tchórz, nierobie, kłamco i bucu pieprzony! Chcesz żyć z dala ode mnie i dzieci. Chcesz mieć »trochę przestrzeni dla siebie«. No to masz, zasrańcu! Pies cię jebał!”

Pobiegłem na górę. Nasze łóżko było puste. Pokój dzieci był pusty. Szafa ubraniowa w części należącej do Catherine była pusta. Zniknęły też niektóre zabawki i większość ubranek dzieci. Nasza wysprzątana i ogołocona z wszystkiego sypialnia przypominała pokój hotelowy. Rozglądałem się wokół siebie osłupiały. Myśli mi błądziły bezładnie. Nagle, nie wiadomo skąd, przyszło mi do głowy Hull City. Odpowiedź na pytanie Simona brzmiała: „Hull City”. Moja żona odeszła ode mnie i zabrała dzieci. Moje małżeństwo się rozpadło. Hull City. Oczywiście.

## Rozdział 9

### DOKĄD CHCESZ DZISIAJ PÓJŚĆ?

— A to jest pokój dziecięcy — powiedziałem do mojego ojca, który ominął jakieś zostawione przez Catherine pluszaki, aby rzucić okiem na porzucony pokój Millie i Alfiego.

— Bardzo ładny. Bardzo mi się podobają te gwiazdy na suficie. To ty namalowałeś?

— Yyy, nie, Catherine.

— Aha.

— Tutaj spała Millie, a tutaj Alfie.

— Aha, rozumiem. A kto to jest ta na kołdrze?

— No, to jest Barbie — odparłem z niedowierzaniem.

Mieszkałem w domu, w którym wizerunek Barbie był otaczany większym kultem niż Maria Panna w Watykanie. Deprymujące było się dowiedzieć, że istnieją jeszcze ludzie, którzy nigdy o niej nie słyszeli.

— A to, yyy, to jest Ken.

— Czy Ken jest mężem Barbie?

— Nie wydaje mi się, żeby byli po ślubie. Ken to po prostu jej chłopak. A może narzeczony, nie jestem pewien. — W powietrzu zawisła krępująca cisza. — W sumie to chodzą ze sobą już jakieś trzydzieści lat, więc jeśli Ken do tej pory nie podniósł tej kwestii, to Barbie powinna zacząć się martwić.

Prychnąłem nerwowym śmiechem, ale tata chyba nie załapał, że to miał być dowcip. Być może sprawy małżeńskie nie były w tym momencie najlepszym tematem do żartów. Staliśmy tam przez chwilę i tata próbował sprawiać wrażenie zainteresowanego pokojem dzieci.

— Niczego nie dotknąłem, odkąd Catherine ode mnie odeszła — powiedziałem z trochę afektowanym żalem nad sobą.

Tata zastanowił się nad tym.

— Przecież mówiłeś, że wzięła samochód.

Wiekowi rodzice są bezkonkurencyjni, jeśli chodzi o skupianie się na nieistotnych szczegółach.

— Dobrze, odkąd ode mnie odjechała, tak lepiej?

— Gdzie byłeś, kiedy od ciebie odjechała?

— Pakowałem do auta rzeczy z tamtego mieszkania, żeby wrócić tutaj.

Nastąpiła pełna zamyślenia cisza. Mojego ojca coś gnębiło, lecz nie katastrofa, która spadła na małżeństwo jego syna.

— Ona odjechała, kiedy ty pakowałeś rzeczy do auta? Westchnąłem z rezygnacją, aby dać mu do zrozumienia, że nie

jest to najistotniejsza sprawa, i powiedziałem przez zaciśnięte zęby:

— Wynająłem furgonetkę.

— Rozumiem. — A potem znowu coś mu się nie zgodziło. — Bo wiedziałeś, że ona będzie potrzebowała samochodu, żeby zabrać dzieci i ich rzeczy do matki?

— Nie, oczywiście że nie wiedziałem, bo inaczej próbowałbym ją zatrzymać.

— To dlaczego nie wzięłeś waszego samochodu do przewiezienia rzeczy? W astrze dużo się zmieści, zwłaszcza w hatchbacku.

— Posłuchaj, jakie to ma znaczenie? Było tego całkiem sporo, musiałbym jechać na dwa razy.

Umilkł na moment i przeszliśmy do sypialni. Trochę się zawstydzilem, kiedy sobie uświadomiłem, jak bardzo po kobiecemu jest urządzone: kołdra w kwiaty, obrębiona koronką serweta na komodzie. Wydawało się to zupełnie nie na miejscu, odkąd spałem tam sam.

— Czy to dużo kosztuje, wynająć furgonetkę?

— Co?

— Czy to dużo kosztuje, wynająć furgonetkę do przewiezienia rzeczy?

— Nie wiem. Tak, dużo, kosztowało około miliona funtów. Tato, furgonetka naprawdę nie jest istotna.

— Ale już jej nie wynajmujesz do poruszania się po mieście, skoro Catherine wzięła samochód?

— Nie, już nie wynajmuję tej zaszranego furgonetki. Chociaż żałowałem, że już nie wynajmuję, bo mógłbym nią rozjechać ojca.

Moją irytację pogłębiał fakt, że nie mogłem się powstrzymać przed obwinianiem taty za odejście Catherine. Jak zawsze wierny sobie, tata niedawno zostawił swoją przyjaciółkę dla młodszej kobiety. Jocelyn była bardzo rozgoryczona. Musi być bardzo ciężko zostać porzuconą w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, zwłaszcza jeśli powód jest taki, że nie masz już pięćdziesięciu czterech lat. Z wściekłości przesłała Catherine mój list ze szczegółowym wyznaniem win, żeby ją ostrzec, jacy niestali są ci Adamsowie.

Być może dlatego tata zdawał się unikać tego tematu. Kiedy zadzwoniłem, żeby go zaprosić, spytałem, czy przeczytał list.

— Tak, oczywiście — odparł pogodnie.

— No, i co myślisz?

Nie zawahał się ani sekundy.

— Charakter pisma bardzo ci się polepszył, prawda?

Ja jednak chciałem wiedzieć, w jaki sposób Jocelyn dostała list w swoje ręce. Przeszukała tacie kieszenie, grzebała mu w szufladach? Miałem go o to spytać, kiedy powiedział:

— Szkoda, że nie zaprosiłeś mnie kilka tygodni wcześniej. Miło byłoby zobaczyć się z Catherine i dziećmi.

„Tak, jaka szkoda” — pomyślałem. Jaka szkoda dla ciebie, że moja żona odeszła ode mnie, zabierając dzieci. Jaka szkoda. Biedny tata, biedny tata.

— Tak, cóż, szkoda, że Jocelyn przeczytała list, który do ciebie napisałem, bo gdyby nie przeczytała, to Catherine i dzieci dalej byłyby ze mną.

— Masz rację! Punkt dla ciebie! — powiedział, jakby to był szkolny klub dyskusyjny.

— Przeszukała ci kieszenie czy jak?

— Nie rozumiem.

— Jocelyn. Jak to się stało, że przeczytała mój list? Nastąpiła przerwa, podczas której tata zaczął sobie uświadamiać, że zrobił coś, czego nie powinien był robić.

— Nie, ja, yy, pokazałem go jej.

— CO TAKIEGO?



— Źle zrobiłem?

— Pokazałeś jej prywatny list z bombą od swojego syna, a potem ją spuściłeś po brzytwie?

Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i mizerny rząd przeczepionych włosów na czubku jego głowy zakołysał się nieznacznie, gdy tata zmarszczył czoło.

— Co to znaczy „spuścić po brzytwie”?

— To, co przez ciebie zrobiła mi Catherine. Olać kogoś, pieprznąć kimś.

— To chyba trochę niesprawiedliwe. Znaczy, to ty oszukiwałeś swoją żonę, nie ja.

W tym momencie trafiła mnie cała seria piorunów.

— Przynajmniej nie zostawiłem swojego pięcioletniego dziecka, żeby się zwinąć z jakąś laborantką.

— To niesprawiedliwe, Michael. To było bardziej skomplikowane...

— Myślałem, że musiałem zrobić coś naprawdę strasznego, że mnie tak nagle porzuciłeś. Myślałem, że to była moja wina.

— Małżeństwo rozpadło się przez twoją matkę i przeze mnie.

— Jasne, to wina mamy. Oczywiście. Zwał wszystko na mamę. Ona i tak nie może się bronić, prawda?

— Chcę tylko powiedzieć, że było wiele rzeczy, o których nie wiedziałeś.

— Ale jedno wiem: dalej by żyła, gdybyś od niej nie odszedł, bo nie przeprowadziłaby się do Belfastu z tym facetem. Więc to twoja wina, że została potrącona.

— Daj spokój, Michael. To nie ja prowadziłem ten samochód, prawda?

— To równie dobrze mogłeś być ty! — wrzasnąłem. Cichy głos z tyłu głowy protestował: „Co ty wygadujesz,

Michael? To przecież bzdury”. Nie byłem jednak w nastroju, żeby odwoływać swoje słowa.

— Zostawiłeś mnie i mamę dla kobiety, która potem od ciebie odeszła, więc znalazłeś sobie inną, a potem następną i jeszcze następną. A teraz co ci z tego zostało? Syn, który spieprzył sobie

życie, i kretyńskie przeszczepione włosy, które wyglądają tak, jakby ktoś ci napryskał ziaren gorczycy na twoją łysą pałę!

Wiedziałem, że nacisnąłem guzik atomowy. Oskarżyć go o to, że zniszczył mi dzieciństwo, że był złym ojcem, a nawet bezpośrednim sprawcą śmierci mamy — to było dopuszczalne, ale o przeszczepie włosów nikt nigdy nie wspominał. Po prostu się wiedziało, że nie należy tego robić. Nastąpiła krótka chwila milczenia, podczas której tata obojętnym wzrokiem patrzył mi w oczy, a następnie wstał, wziął płaszcz, nałożył kapelusz i wyszedł.

Dwadzieścia minut później jadłem kupione w supermarkecie mielone zapiekane z ziemniakami, które odgrzewałem w piekarniku dla nas obu. Podzieliłem jedzenie na dwie połowy i zjadłem swoją porcję, a potem resztę. Później sobie przypomniałem, po co zaprosiłem tatę do Londynu. Zamierzałem pokazać mu dom, poczęstować go lunchem, wyjść aśnić sytuację z kredytem hipotecznym i zapytać, czy mógłby mi pożyczyć dosyć sporą sumę pieniędzy.

Zaszokowały mnie pewne rzeczy, które mu powiedziałem, i poziom goryczy, którą od dłuższego czasu w sobie dusiłem. Dlaczego nie mogłem mieć takiego ojca, jakiego widzi się w reklamach? W reklamie Gillette, której tekst podśpiewywałem sobie milion razy, ojciec i syn jadą razem na ryby gdzieś w Ameryce i tata pomaga synowi wyciągnąć na brzeg łososia. Czują się ze sobą dobrze i swobodnie, ojciec jest bardzo starannie ogolony i ktoś śpiewa: „Najlepsze dla mężczyzny”. Ten ojciec nigdy by nie uciekł z laborantką imieniem Janet. Mojego ojca nigdy by nie zaprosili do reklamy Gillette. No, ale on nosił brodę, o ile sobie przypominam.

Oczywiście mój tata też wychowywał się bez ojca. A przez większość czasu także bez matki. Pierwszego września 1939 roku wsadzono go w pociąg do Walii i ponownie zobaczył się z ojcem dopiero po wojnie. Marzyłem sobie, że gdyby taty nie ewakuowali, to jego ojciec byłby dla niego wzorcem osobowościowym, co może by sprawiło, że zostałyby z nami i był wzorcem osobo-

wościowym dla mnie, dzięki czemu ja byłbym lepszym ojcem i Catherine nie odeszłaby ode mnie. A więc sprawa się wyklarowała: to wszystko była wina Adolfa Hitlera. Wątpię, czy o tym pomyślał, kiedy napadał na Polskę.

Cały ten wieczór przeleżałem na sofie, oglądając telewizję. Od czasu do czasu robiłem się na tyle głodny, że sprawdzałem, czy dowieziona mi do domu ohydna pizza nie jest trochę bardziej jadalna na zimno. Nie była, ale i tak ją zjadłem. Z pilotem w rękę przeskakiwałem po wszystkich kanałach filmowych na kablówce, oglądając trzy filmy naraz. Trevor Howard pocałował Celię Johnson, kiedy wsiadała do wagonu, a potem cały pociąg spadł do rzeki Kwai. Potem Celia położyła dzieci do łóżeczek i Jack Nicholson rozwalil drzwi siekierą.

Znowu to samo: próbowałem oglądać kilka historii jednocześnie, przez co z żadnej nie miałem przyjemności. Czułem dziwną empatię z Jackiem Nicholsonem w *Lśnieniu*. Mieszkam w tym domu, zastygły w czasie, pilnuję lokalu aż do powrotu wszystkich i stopniowo tracę rozum, bezskutecznie próbując zabrać się do pracy. Nie uważam, żebym był aż tak złym mężem jak on. Nigdy na przykład nie próbowałem zmasakrować mojej żony i dzieci siekierą, ale nie sądzę, żeby Catherine uznała to za argument przemawiający na moją korzyść.

Od kilku tygodni mieszkalem sam w domu urządzonym pod kątem dzieci. Mała podwieszana karuzela wciąż obracała się leniwie na wietrze, a wahadło w kształcie ludzika oscyloowało maniakalnie pod tęczowym zegarem. Jednak te małe enklawy ruchu jeszcze bardziej podkreślały martwość i oniryczną ciszę panującą w pokoju dziecięcym bez dzieci. Nie chciałem niczego zmieniać. W każdej chwili wszystko było gotowe na ich powrót. Nadal musiałem otwierać bramkę zabezpieczającą, żeby zejść na dół po schodach, dalej musiałem zmagać się z różnymi zabezpieczeniami, żeby otworzyć szuflady. Wprowadziłem tylko jedną niewielką zmianę: pomieszałem kolorowe literki z magnesami z boku lodówki, z których Catherine ułożyła tekst „Ty gnoju”. Zastanawiałem się, jak długo szukała litery „u”, zanim zdecydo-

wała się użyć odwróconego do góry nogami „n”. Byłem teraz samotnym stróżem we wzorcowym domu rodzinnym — całkowicie wyposażonym lokalu czekającym na powrót mojej żony i dzieci. Było tam wszystko, czego mogli zapragnąć, wszelkie zabezpieczenia, które można kupić w celu uchronienia pociech przed wszelkimi katastrofami, oczywiście nie licząc drobnego wypadku, jakim jest rozejście się rodziców. I pomyśleć, że ciągaliliśmy ze sobą dzieci do tych sklepów, kupowaliśmy osłony kontaktów i magnetowidu, zabezpieczenia szuflad, bramki na schody i barierkę nie pozwalającą Millie stoczyć się z łóżka, ale nie zobaczyliśmy na półkach nic, co by zapobiegło zbliżającemu się rozwodowi! Dobra, dzieci wychowują się bez ojca, a z mamy robi się żyjąca w nędzy zgorzkniała kobieta, ale przynajmniej maluchy nigdy nie spadły z trzech schodków koło kuchni, a to jest podstawa.

Chciałem, żeby wrócili. Tak bardzo pragnąłem ich powrotu, że czułem się pusty w środku, odrętwiały, chory. Poszedłem do domu jej rodziców i błagałem Catherine, żeby wróciła, ale powiedziała, że nie będzie ze mną rozmawiać, bo jestem egoistycznym gówniarzem, bo ją zdradziłem, bo jest wpół do czwartej rano. Jedynym urozmaiceniem moich długich, samotnych tygodni były więc spotkania z dziećmi, na które Catherine z lodowatą miną się zgodziła. Widywaliśmy się raz w tygodniu przy huśtawkach w Hyde Parku, gdy wiatr zdmuchiwał z drzew ostatnie liście. Ja i Catherine staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy, jak dzieci się bawią, a ponieważ cisza była potwornie przytłaczająca, od czasu do czasu wołałem rzeczy w stylu: „Nie na dużą zjeżdżalnię, Millie!”, a Catherine mówiła: „W porządku, Millie, możesz iść na dużą zjeżdżalnię, jeśli chcesz”. Chociaż patrzyła na Millie, w rzeczywistości mówiła do mnie. W założeniu te kilka godzin w tygodniu to miał być dla mnie przyjemny czas spędzany z dziećmi, ale jakoś nie dostrzegalem w tym niczego przyjemnego. Byłem z nimi przez pełną napięcia i zakłopotania godzinę, po czym wracałem sam do domu.

I oto znowu zaczęło się podwójne życie. Długie dni w samo-

tności, mogę robić, co tylko mi się podoba, a potem krótkie okresy spędzane z moją żoną i rodziną. Catherine była na tyle złośliwa, żeby zwrócić mi na to uwagę.

— Właśnie tego chciałeś, prawda? Widywać się z nami od czasu do czasu, a poza tym mieć „przestrzeń dla siebie”. Dalej się z nimi widzisz i bawisz, ale nudna i ciężka praca spada na kogo innego. Jedyna różnica jest taka, że leżysz teraz przez cały dzień w większym łóżku.

— To niesprawiedliwe — powiedziałem, a potem zacząłem szukać argumentów za tym, że to niesprawiedliwe.

Na zewnątrz moje życie mogło się wydawać podobne do tego, które wiodłem wcześniej. O ile jednak przedtem uważałem, że idealnie zorganizowałem sobie życie i czerpię wszystko, co najlepsze z obu światów, o tyle teraz byłem potwornie nieszczęśliwy. Teraz nie miałem już nad niczym kontroli, moje godziny jako ojca były mi niechętnie odmierzane, a nie hojną ręką przydzielane przeze mnie samego. Catherine dzierżyła władzę. Moje podziemne ognisko walki przeciwko dyktaturze dzieci padło ofiarą zdrady kapusia. Teraz zostałem zesłany na rodzicielską Syberię, skazany na odosobnienie z dwoma godzinami widzeń na tydzień.

Chociaż to Catherine zaproponowała te spotkania, była na mnie taka wściekła, że ledwo mogła na mnie patrzeć. Za pierwszym razem próbowałem się z nią przywitać pocałunkiem w policzek, rażąco błędnie oceniając sytuację. Catherine szarpnęła się do tyłu i mój pocałunek wylądował na jej uchu, a ja zachowywałem się tak, jakby to było najnaturalniejsze w świecie miejsce do całowania. Usiłowałem się bronić, twierdząc, że to, co zrobiłem, nie było takie straszne jak romans z inną kobietą, lecz ku mojemu rozczarowaniu Catherine stwierdziła, że z dwojga złego wolałaby to drugie. Przynajmniej mogłaby to przypisać nienasyconej męskiej chuci.

Wyglądała na zmęczoną. Widać nie sypiała zbyt dobrze, mając na głowie dwójkę dzieci. Ja też byłem zmęczony. Też nie sypiałem zbyt dobrze, ale z odwrotnych powodów. Brzuch miała teraz komicznie wielki. Albo była w piętnastym miesiącu ciąży, albo już urodziła dziecko i chowała je pod swetrem. Chętnie

dotknąłbym jej brzucha, pomacał go i pogadał do niego, ale to dziecko było dla mnie jeszcze bardziej zakazane. Chciałem się dowiedzieć, jak zamierza sobie zorganizować dzień zero, ale wolałem nie pytać, gdzie chciałaby, żebym był podczas porodu. Pewnie by odpowiedziała, że w Kanadzie. W ciągu minionych ośmiu miesięcy, kiedy dziecko stało się małą osobą, wykształciły mu się oczy, uszy, serce, płuca, naczynia krwionośne, końcówki nerwowe i wszystkie te niesamowite rzeczy, które same powstają, miłość łącząca jego rodziców najwyraźniej zwiędła i umarła. Żeby tak dzieci wyskakiwały z matki w pełnej namiętności chwili poczęcia, a nie dziewięć miesięcy później, kiedy po tym ogniu został tylko popiół!

— No? Pójdiesz się z nimi pobawić czy nie? — spytała, bo po to tam przyszedłem.

— Tak, jasne.

Podszedłem i starałem się być tak spontanicznym i rozrywkowym tatą, jak to tylko jest możliwe w sytuacji, kiedy jesteś czujnie nadzorowany przez matkę dzieci zastanawiającą się nad rozwodem. Millie była w małym gaju.

— Chcesz, żebym się z tobą gonił po małym gaju?

— Nie.

— To może połuśtam cię na huśtawce?

— Nie.

— Mam cię! — zawołałem, kiedy ją złapałem tak dla śmiechu. Ze zdenerwowania zrobiłem to zbyt brutalnie, za mocno ją chwyciłem, przestraszyłem ją albo coś, w każdym razie nagle zaczęła płakać.

— Co ty robisz? — zawołała z wściekłością Catherine. Podeszła do nas, zabrała mi Millie, przytuliła ją do siebie

i spojrzała na mnie z nienawiścią w oczach. Miałem nadzieję, że lepiej mi pójdzie z Alfiem. Kilka tygodni wcześniej postawił pierwsze kroczyki — nie byłem obecny przy tym wydarzeniu — i teraz bez lęku dreptał wokół nas, tylko od czasu do czasu padając na wywatowaną pieluchą pupę. Zajął pozycję koło metalowej ramy huśtawki i walił w nią kamyczkiem. Czułem, że Catherine

mnie obserwuje, więc kucnąłem koło niego i też waliłem kamyczkiem w metalowy słupek. Alfiemu podobał się dźwięk kamienia tłukącego o metal. Nie nudził go dźwięk kamienia tłukącego o metal. Kiedy po pięciu minutach uznałem, że już wystarczy, zdenerwowałem się, więc dalej stukałem kamyczkiem o metalowy słupek. Oglądałem się i posłałem Catherine uśmiech w stylu: „Ile do dzieci potrzeba cierpliwości”, ale ona nie odwzajemniła uśmiechu. Zmarzłem na kość i było mi coraz bardziej niewygodnie w przykucniętej pozycji, ale ziemia była zbyt rozmokła, poczułem, jak krew odpływa mi z nóg, i robiłem stuk-stuk-stuk kawałkiem żwiru w zimny i dźwięczny słupek. Zawsze chciałem umieć odróżniać te elementy wychowania dzieci, które mocniej je wiążą z rodzicami, od tych, które są zupełną stratą czasu.

W końcu usiadłem obok Catherine na ławce i zastanawiałem się, jak nawiązać rozmowę o tym, co się stało. Mieszkała ze swoimi zwariowanymi rodzicami, którzy byli teraz jeszcze uciążliwsi, bo skończył się już sezon masakrowania stonóg.

— Na pewno jest ci bardzo ciężko, prawda? Wiesz, twoi rodzice, dzieci i tak dalej.

— Tak.

— Masz jakieś wyobrażenie, jak długo chcesz tam zostać?

— Nie.

— Mogłabyś wrócić do domu.

— A ty co byś ze sobą zrobił?

Zrozumiałem, że w ten sposób nie wywabię Catherine z jej skorupy.

— No, ja bym ci pomagał przy dzieciach. Zrezygnowałem z mieszkania.

— Pewnie, przecież już ci nie jest potrzebne. Teraz, kiedy się nas pozbyłeś, na co ci mieszkanie?

Jak najspokojniej i ze skruczą próbowałem wyłożyć myśl, że być może przedtem nie byłem całkowicie przygotowany do ojcostwa i dopiero teraz przystosowywałem się do tej roli. W tym momencie pękła jej emocjonalna tama.

— Nie sądzisz, że mnie też ciężko się było przystosować? —

powiedziała wściekłym, zapluwającym się szeptem. — Zrezygnować z pracy, urodzić, a potem cały dzień tkwić sama w domu z płaczącym niemowlęciem? Nie sądzisz, że to był dla mnie wielki szok, że nagle jestem brzydka, gruba, zmęczona i płaczliwa? Ze krew mi leci z popękanych sutków, kiedy karmię dziecko, i nie ma mi kto powiedzieć, że wszystko jest w porządku i że dobrze sobie radzę, nawet jeśli dziecko nie chce jeść ani spać, ani nic, tylko całymi dniami płacze? Przykro mi, że tak cholernie ciężko ci było się przystosować, Michael. — Rozpląkała się, zła na mnie i na siebie za to, że się rozkleiła na moich oczach. — Ja też nigdy się nie przystosowałam, bo to niemożliwe. Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Miałam wyrzuty sumienia, kiedy myślałam o powrocie do pracy, i miałam wyrzuty sumienia, że zrezygnowałam z pracy, ale nie było z kim na ten temat porozmawiać, bo wszystkie inne kobiety z dziećmi przy huśtawkach to osiemnastolatki mówiące po chorwacku. Więc naprawdę mi przykro, że tak trudno ci było mieszkać pod jednym dachem z żoną, która przeżywa koszmar, ale w porządku, bo mogłeś po prostu się wynieść, po prostu stamtąd spieprzyć i nic nie robić ze swoimi kumplami, imprezować, oglądać wideo i wyłączać komórkę na wypadek, gdyby twoja żona chciała ci się wypłakać w słuchawkę.

Musiałem przyznać, że coś w tym jest. Kiedy byłem sam, godzinami przygotowywałem precyzyjne argumenty, jak amerykańscy Indianie strugający przed bitwą pięknie zdobione strzały. Catherine przyszła jak armia amerykańska, walnęła z wielkiej armaty i zdmuchnęła mnie z pola walki. Mimo to przedstawiłem jej moje mizerne usprawiedliwienie. Uzmysłowiłem jej, że istnieje różnica między moim postępowaniem a postępowaniem innych ojców: ja miałem świadomość, że to robię.

— Co? Myślisz, że przynosi ci zaszczyt, że mnie świadomie oszukiwałeś? Ci mężczyźni dalej należą do drużyny. Dalej tworzą ze swoimi żonami jedną ekipę, ona działa w domu, on w pracy. Dalej są w tym wszystkim razem.

— Są w pracy, jasne, tak samo jak ja byłem. Ale ci mężczyźni tak naprawdę nie muszą jeździć na te wszystkie delegacje, cho-



działanie na te wszystkie bankiety i grać z klientami w golfa w weekendy. Robią to, bo dla nich to nie jest mniej ważne niż bycie z rodziną.

Wszystko, co mówiłem, tylko ją jeszcze bardziej złościło.

— Więc powiedzmy sobie jasno: miałeś to wszystko przemyślane i zamiast postanowić, że nie będziesz takim ojcem, zachowywałeś się dziesięć razy gorzej, bo nie było cię w domu celowo i zgodnie z planem.

— Sądziłem, że tak będzie lepiej dla naszego małżeństwa. Czuję, że moje usprawiedliwienia wychodzą mi z ust martwe.

— Twoja koncepcja pięknie się sprawdziła, prawda? Potem wstała i powiedziała, że wraca do matki, a ja odparłem desperacko i żałośnie:

— Szczęściara z ciebie, że masz matkę.

Catherine spojrzała na mnie z pogardą. Nienawidziłem się za te słowa prawie tak samo mocno, jak ona zdawała się mnie nienawidzić. Kiedy odeszła, pomyślałem: „Skoro oboje uważamy, że jestem nędznym robakiem, to coś nas ze sobą łączy. Może uda nam się coś zbudować na tym fundamencie”.

Po ich odejściu siedziałem jakąś chwilę sam na placu zabaw. Przyszła młoda matka z dwójką dzieci i spojrzała na mnie jak na zbiegłego z więzienia pedofila. Kiedy usłyszałem, jak mówi do dzieci, żeby się do mnie nie zbliżały, wstałem i poszedłem do domu.

Na macie w przedpokoju leżała kolejna znajoma koperta, lecz ta została doręczona przez gońca, a nie listonosza. Odłożyłem ją, nie otwartą, razem ze wszystkimi innymi. Sterta rosła jak gromadzący się przeciwko mnie materiał dowodowy. Oczywiście wiedziałem, że bank chce pieniędzy, ale uważałem, że nic nie zarobię, jeśli będę czytał zawarte w kopertach pogróżki. Dopóki pracowałem, dopóty mogłem sobie powiedzieć, że coś w tej sprawie robię, toteż zanurzyłem się po uszy w muzyce. Jeden z listów został nadany jako polecony, co wydawało się stratą pieniędzy. Z chęcią pokwitowałem odbiór, co jednak wcale nie znaczyło, że mam

zamiar otworzyć i przeczytać list. Czasami próbowali dzwonić, lecz kiedy zobaczyłem na wyświetlaczu ich numer, szybko włączałem sekretarkę i przyspieszałem taśmę przy odsłuchiwaniu wiadomości od nich. Naburmuszony mężczyzna nie był taki groźny na szybszych obrotach. Brzmiał jak Kaczor Donald, który nawdychał się helu.

W niektóre dni siedziałem przy keyboardzie przez trzynaście albo czternaście godzin, ale często dawało to mniejsze efekty niż parę godzin pracy przed południem. Niegdyś byłem w stanie zatopić się w muzyce, ale to było w czasach, kiedy jeszcze tak rozpaczliwie nie musiałem tego robić. Termin nagrania *Klasyki w reklamie* upływał za parę miesięcy, więc miałem czas na tworzenie swoich własnych wiekopomnych kompozycji. Tego dnia był to trzynastosekundowy dżingiel zawierający werset: „Masłokrem! Masłokrem! Niskocholesterolowa, łatwo rozprowadzana maślaność”.

Hm, przydałby się jakiś maślany temat. Szkoda, że zgodnie z ustawą w dole ekranu będzie musiał migać napis: „TO NIE JEST MASŁO”, ale to nie mój problem. Kobieta z agencji powiedziała, że chcą, aby mój kawałek maksymalnie przypominał *Happiness* Kena Dodda, lecz bez naruszania praw autorskich. Miałem więc wybór pomiędzy okaleczeniem melodii albo złamaniem prawa. Czasu zostało mi do szóstej. Włączyłem keyboard. — Masło. Jakie to budzi skojarzenia? Wypróbowałem różne brzmienia na swoim Rolandzie. Obój, harfa, puzon. Nic choćby w odległy sposób nie kojarzyło mi się z masłem, ale podejrzewałem, że nowy masłokrem też się nie będzie kojarzył. Posłuchałem piosenki Kena Dodda i podzieliłem ją na części składowe. Dżingiel miał być śpiewany przez chór odgrywających pantomimę krów, więc musiałem się skoncentrować na tym obrazie przy komponowaniu. Nigdy sobie nie wmawiałem, że od mojej pracy zależy przyszłość ludzkości, jednak kiedy siedziałem na obrotowym stołku, próbując nie myśleć o stanie mojego małżeństwa, lecz skupić się na stadzie pantomimicznych krów wyśpiewujących zalety nowego masłokremu —

cóż, nie napawało mnie to jakąś szczególną dumą. Adrenalina nie płynęła mi w żyłach jak przy naprawdę ważnej pracy. Na przykład położna odbierająca nasze trzecie dziecko — ona będzie musiała zapomnieć o swoich prywatnych problemach i skupić się na porodzie. Psia mać! Znowu to samo. Jeden mały krok i myślałem o naszym kolejnym dziecku, zamiast się skoncentrować na dżin-glu do reklamy nowej niskotłuszczowej margaryny zawierającej składniki mlekopochodne.

— Tak, masłokrem. Dobra, Michael, skup się. Masło.

Zaśpiewałem sobie kilka razy *Happiness*. Czy agencja specjalnie tak to urządziła, żebym był zmuszony śpiewać o szczęściu, chociaż nigdy nie czułem się bardziej nieszczęśliwy? Próbowałem sparodiować melodię, ale nie potrafiłem usunąć z głowy oryginału. Skup się, skup się. Czasami, kiedy miałem dużo zmartwień, kiedy na igle gramofonu było dużo kurzu, ledwo słyszałem melodie w swojej głowie. Tego dnia kurzu było tyle, że igła zsunęła się na środek płyty.

Ciężko było zapomnieć o dzieciach, skoro uśmiechały się do mnie z fotografii na kominku, więc wstałem i poodwracałem ramki. Usiadłem, po czym uznałem, że okropnie to wygląda, jakbym próbował je wymazać z życia czy coś w tym rodzaju, więc wstałem i z powrotem poodwracałem zdjęcia.

Hm. Masło? „Masło” — pomyślałem. Czy Catherine miała prawo tak po prostu zabrać dzieci? W końcu jestem ich ojcem. Jakby ona się czuła, gdybym pewnego dnia wziął dzieci pod pachę, oświadczył, że nie jestem szczęśliwy w małżeństwie i zostawił ją samą? Przeżuwałem to w myślach i kiedy spojrzałem na zegar, był kwadrans po dwunastej. Od paru godzin nie myślałem o nowym masłokremie, a nawet gdybym wymyślił odpowiednią melodię, trzeba ją było jeszcze zapisać i zmasterować. Sprawa nabierała cech pilności. Do roboty. Masło, masło. „Masłokrem! Masłokrem! Bezcholesterolowa, łatwo rozprowadzalna maślaność”. Wypowiedziałem to na głos trzy razy. Potem spróbowałem znowu, kolejno kładąc akcent na poszczególne słowa. A potem poszedłem zrobić sobie herbatę.

Dom wydawał się inny. Inaczej go widziałem. Nie pozostawało to bez związku z faktem, że czasem godzinami leżałem na plecach na dywanie albo siedziałem na podłodze pod stołem kuchennym. Można sobie pozwolić na takie rzeczy, kiedy ktoś jest sam. Błąkałem się po pokojach, by w końcu zdecydować, że wypiję herbatę na szczycie schodów.

Kot raczył opuścić swoje ulubione miejsce pośród pluszaków Alfiego i położył się obok mnie na wykładzinie dywanowej. Kiedy sprawiliśmy sobie kota, powiedzieliśmy Millie, żeby wybrała dla niego imię. Resztę dnia spędziliśmy na próbach wyperswadowania Millie jej natychmiastowego i spontanicznego wyboru, lecz ona była nieugięta, więc musieliśmy się zgodzić. Kot imieniem Kot i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy podczas moich samotnych tygodni w domu. Kupowałem mu jakieś smakołyki, stawałem przed domem i wołałem: „Kot! Kot!”, a przechodnie przyspieszali kroku, unikając kontaktu wzrokowego. Wieczorami siedział mi na kolanach, głaskałem go pod brodą, a on mruczał niedorzecznie głośno. Przywiązywałem piłeczkę do kawałka sznurka i bawiłem się z nim, a kiedy nie chciał jeść karmy, dawałem mu świeżej ryby, którą nigdy nie pogardził. Wszystko to bardzo podnosiło mnie na duchu. Aż do Dnia Czerwonej Obroży. Kot nie miał obroży. Aż do Dnia Czerwonej Obroży. Po kilkugodzinnej nieobecności wszedł przez kłapkę w tylnych drzwiach z jasnoczerwoną nową obrożą na szyi. Obwąchał miskę z jedzeniem, uznał, że mu nie odpowiada, i znowu wyszedł. Byłem zdruzgotany. Wyobrażałem sobie, że Kot siedzi w ogrodzie i nie wpuszcza innych kotów albo próbuje złapać wróbla, żeby go z dumą złożyć u stóp swego pana, tymczasem on leżał zwinięty przy elektrycznym kominku kogoś innego, jadł świeżą rybę kogoś innego, leżał na kolanach u kogoś innego. Na obroży wypisane było imię: „Cleo”. Takie nosił imię, przebywając w swoim tajemnym drugim domu. Kot prowadził podwójne życie. Poczulem się zdradzony, spuszczonego po brzytwie, odrzuconego. Co najgorsze, byle kot kpił sobie ze w mnie w żywe oczy. Czterdzieści minut później wciąż byłem na szczycie schodów,

leżąc na plecach z nogami zwisającymi nad kilkoma pierwszymi stopniami. Kot imieniem Kot już dawno wy wędrował z domu, ale wzory na suficie były na tyle fascynujące, że zatrzymały mnie tam jeszcze przez półtorej godziny. Klekot listownika w końcu wyrwał mnie z transu i dźwignąłem się na nogi. Ten hałas rozjaśniał mój dzień. Może mimo wszystko świat zewnętrzny jeszcze o mnie całkiem nie zapomniał? Oczywiście nie miałem zamiaru czytać listu z banku, ale mogła to być ulotka firmy taksówkarskiej albo pizzerii, a zawsze miło jest przeczytać wiadomość od ludzi, którzy pofatygowali się, by podtrzymać z tobą kontakt. Na macie leżała broszura agencji nieruchomości, z dużą liczbą domów w cenie powyżej miliona funtów. Przeglądając błyszczące zdjęcia pięknych i drogich willi, nabrałem przekonania, że broszurę wrzucił Kot, który teraz poszedł się pławić w glorii swego sardonicznego zwycięstwa.

Jednak ta zmiana rytmu długiego i samotnego dnia wystarczyła, żeby zagnać mnie z powrotem do pracy. Usiadłem na obrotowym stołku. Wykonałem kilka niecierpiących zwłoki zadań, zanim naprawdę zabrałem się do roboty. Sprawdziłem, ile łupieżu uda mi się wytrząsnąć z włosów na blat biurka. Wymacałem pryszcz na środku pleców i przez dziesięć minut wyginałem się jak jogin, usiłując wycisnąć go obiema rękami. Zdrapałem trochę tłustego, szarego brudu, który narósł na klawiszach syntezatora. Powąchałem go, położyłem na języku. Wtedy przypomniałem sobie o nowym masłokremie. „No, Michael!” — zachęciłem się na głos. „Masłokrem! Masłokrem! Bezcholesterolowa, łatwo rozprowadzania maślaność”. Zastanawiałem się, czyby nie zadzwonić do agencji i nie spytać, czy na sto procent chcą użyć tego sloganu. Większa część dnia już minęła. Zapomniałem o lunchu i nagle poczułem taki głód, że musiałem natychmiast coś zjeść. W domu nie było jednak nic oprócz dwudniowego chleba i darmowej próbki zasranego masłokremu, którą mi dali.

Wyrzucając skórkę od chleba, spojrzałem w twarz rzeczywistości: zawałę termin. Po raz pierwszy w mojej karierze zawodowej nie zdążę oddać zlecenia na czas. Zadzwoniłem do producentki, żeby spytać, czy mogliby poczekać jeden dzień dłużej. Naj-

pierw całe wieki było zajęte, a kiedy wreszcie się dodzwoniłem, odezwała się automatyczna sekretarka.

„Halo, tu Sue Paxton, numer 79460003. Nie ma mnie w tym momencie przy biurku, ale może uda ci się mnie złapać pod numerem 79460007. Jeśli sprawa jest pilna, spróbuj zadzwonić na komórkę, numer 07700900004, albo na pager, 08081570980, numer 894. Faks możesz wysłać pod numer 79460005, a e-mail pod adres s kropka paxton małpa Junction5 kropka co kropka uk. Jeżeli sądzisz, że o tej porze mogę być u siebie, moje domowe numery to 01632756545 albo 01632758864, faks 01632756533, e-mail s kropka paxton małpa Compuserve kropka com. W przeciwnym razie zostaw wiadomość”.

Zdażyłem w tym czasie zapomnieć, po co dzwonię, więc odłożyłem słuchawkę. Kilka minut później uzbroidłem się w kartkę i długopis, aby ponownie wykręcić ten numer. Potem usiłowałem dotrzeć do Sue Paxton wszystkimi podanymi sposobami, ale wszędzie zadowolano się poinformowaniem mnie o pozostałych drogach. Zanim je wszystkie sprawdziłem, minęła kolejna godzina. Wtedy już na poważnie zabrałem się do roboty i nareszcie udało mi się usunąć z głowy oryginalną melodię i zmodyfikować akordy. Nagle wszystko zagrało mi w głowie, szybko, zapisz to i nagraj, zanim ci ucieknie, i wtedy zadzwonił telefon. Catherine odwołała przewidziane na następny dzień spotkanie w Hyde Parku, byłem wściekły, bezsilny, nieprzyjemny i rozżalony. Rozłączyłem się i chodziłem po mieszkaniu, kopiąc meble.

Potem telefon zadzwonił jeszcze raz, ale nie była to Catherine z informacją, że zmieniła zdanie. Znowu dzwonił z banku. Krzyknąłem: „Odpieprz się!” do tego namolnego chama i rzuciłem słuchawkę. Pół godziny później zadzwonił jeszcze raz, mówił do mnie tonem zadowolonego z siebie nazistowskiego komendanta obozu, który odkrył podkop. Powiedział, że wysłali mi list z informacją, iż upoważnili swoich prawników do wszczęcia procedury egzekucyjnej. Wiedziałem, co to znaczy: zabiorą mi dom. Argumentowałem i wyjaśniałem, powiedziałem mu, że to dla mnie jedyna szansa na odzyskanie rodziny, że mam dwojkę

małych dzieci i trzecie w drodze, że ich matka odeszła ode mnie i wprowadziła się do rodziców, ale nie może tam mieszkać bez końca, długo nie wytrzyma z matką, która ciągle jej truje o tym, że dzieci nie są ochrzczone, więc kiedyś będzie musiała wrócić do domu i wtedy zobaczy, że możemy się dogadać, wtedy zobaczy, że się zmieniłem i znowu będziemy razem, bo tylko to się liczy, to moja jedyna nadzieja: że wszyscy wrócą do domu, ale nic z tego nie wyjdzie, jeśli nie będę już miał domu, więc sam pan rozumie, że muszę tu zostać; nie mogą mi teraz zabrać domu. On słucha cierpliwie, bez słowa. Potem mi mówi, że zajmują dom.

## **Rozdział 10**

### **TO MOŻESZ BYĆ TY**

— Przepraszam, nie ma pan jakichś drobnych na zbyciu? Mógłby mi pan dać parę pensów?

Nabrałem zwyczaju przechodzenia bez zatrzymywania się obok bezdomnych, którzy tworzyli muzykę tła na londyńskich ulicach. Tego dnia nagle sobie jednak uświadomiłem, że bezdusznie minąłem inną istotę ludzką, więc odwróciłem się i włożyłem pięć funtów do jego tekturowej skarbonki. Pięć funtów! A on nie miał nawet kawałka sznurka ze smutnym psem na końcu.

W pierwszej chwili się zdenerwowałem, że facet nie rozpływał się nad moją przesadną hojnością, że za pięć funtów nie kupiłem sobie szczęśliwszego żebraka. Za piątką oczekuje się podziękowań pierwszej kategorii, z wysłanym tydzień później spersonalizowanym listem wyjaśniającym, na co potem zostały wydane, z PS zawierającym prośbę o zaświadczenie o darowiźnie do celów podatkowych. On jednak ocenił, że niczym się nie różnię od innych bogatych, dobrze ubranych ludzi, którzy go mijali. Sądził, że mam ładny dom, szczęśliwą żonę i wszystko inne, czego ludziom zazdrościł.

Właśnie zdeponowałem w banku klucze do mojego domu. Wszedłem do naszego lokalnego oddziału, postąpiłem w kolejce i dałem je młodej dziewczynie w okienku.

— Chwileczkę, zawołałam kierownika — powiedziała.

— Nie, nie trzeba, wszystkie papiery wypełnione. Nie mam czasu. Muszę sobie znaleźć jakieś miejsce do spania na dzisiejszą noc.

— A... czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć?

— Owszem. Ubikacja na dole. Trzeba najpierw pociągnąć powoli i zaraz potem bardzo szybko.

Spojrzała na mnie tępo, ale gdy zacząłem się odwracać, przypomniała sobie wyuczoną kwestię.

— Dziękujemy panu za dzisiejszą wizytę, panie Adams. Miłego dnia.

— Serdecznie pani dziękuję — rzuciłem za siebie, wychodząc na londyńskie ulice, niepewny, co ze sobą zrobić.

Jakiś czas po prostu szedłem przed siebie. To było dosyć surrealistyczne. Normalnie z chodnika korzysta się w przerwach pomiędzy istotnymi momentami życia, teraz zaś nie było nic innego oprócz chodnika. Poczuję się zbędny. Kosz na śmieci do czegoś służył: wrzucało się do niego papiery. Bariereki do czegoś służyły: powstrzymywały ludzi przed wchodzeniem na ulicę. Ale do czego ja służyć? Nic nie robiłem, nigdzie nie szedłem, więc do czego byłem potrzebny?

Przez chwilę stałem i patrzyłem na płataninę taśmy magnetofonowej owiniętej wokół barierki — cienka, brązowa, błyszcząca girlanda, wyrzucona i powiewająca na wietrze. Na tej taśmie przypuszczalnie była nagrana muzyka, którą ktoś skomponował i zaaranżował, a teraz taśma wiła się bezużytecznie. W którymś momencie taśma się zerwała.

Miałem teraz tyle wolnego czasu, ile chciałem, lecz ta waluta mocno straciła na wartości. Wolny czas przestał być dla mnie czymś, co podkradałem małymi kęsami rozkoszy, został mi narzucony jak dożywotni wyrok. Miałem przy sobie torbę z kilkoma rzeczami do ubrania, kosmetyczką i przewodnikiem po Londynie.



Wszystkie inne moje ruchomości zostały upchnięte w garażu sąsiadki.

— O, szczęściarz z pana, że ma pan lodówkę z takim dużym zamrażalnikiem — powiedziała staruszka pani Conroy, usiłując wprowadzić optymistyczny nastrój, kiedy wiozłem lodówkę po podjeździe.

Plastikowe worki na śmieci zostały wypełnione po brzegi pluszakami, a telewizor opatulony w kołdrę z Pocahontas i umieszczony w łóżeczku Alfiego. Przeniesienie wszystkiego zabrało mi dwa dni, a po zakończeniu tej operacji garaż wyglądał jak zgnieciona, posejsmiczna wersja naszego domu. Pani Conroy życzliwie powiedziała, że mogę zostawić rzeczy na tak długo, jak tylko chcę. Klaus i Hans już u niej nie mieszkali, bo wrócili do Niemiec, więc nikt nie korzystał z garażu. Dała mi tekturowe pudła, częstowała mnie kanapkami i herbatą, kiedy zmęczyłem się targaniem sof i materacy, i wręczyła mi drugi klucz do garażu, żebym mógł w każdej chwili tam wejść, jeśli będę musiał coś zabrać. Nie pytała, skąd się wzięły problemy ze spłatą kredytu. Jedyna aluzja do tego, co się stało, padła w chwili, gdy zamknąłem garaż i jeszcze raz jej podziękowałem. Spojrzała na mnie ze smutkiem, uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

— Rzadko pan bywał w domu, prawda?

Teraz szedłem powoli Camden High Street, przyciskając do siebie nieliczne ze swoich rzeczy, które nie były zamknięte w garażu pani Conroy. Stwierdziłem, że większe zainteresowanie niż zazwyczaj budzą we mnie plastikowe bibeloty w witrynach sklepów prowadzonych przez organizacje charytatywne. Minałem salon gier o nazwie „Ubaw Po Pachy”, ale sądząc po szarych, wypranych z emocji twarzach w środku, szyld był trochę przekłamany. Agencje nieruchomości reklamowały atrakcyjne domy, spółdzielnie mieszkaniowe proponowały pożyczki na dogodnych warunkach. Catherine dowiedziała się o niespłacie kredytu z listu do mojego ojca, ale to nie przeszkodziło mi podjąć tego tematu podczas długich godzin spędzonych na mrozie przy huśtawkach. Kiedy mówiłem o błahych sprawach, zawsze odpowia-

dała monosylabami, więc postanowiłem wykorzystać kwestię zbliżającej się utraty domu w celu zmuszenia Catherine do tego, żeby ze mną porozmawiała.

— Myślę, że bank niedługo zajmie nasz dom — oznajmiłem. Nie oczekiwałem, że rzuci mi się na szyję, ale nie przyszedł

mi do głowy żaden inny temat, który mógłby przebić skorupę jej obojętności. Spojrzała na mnie i znowu odwróciła wzrok.

— I tak musielibyśmy go sprzedać po rozwodzie — powiedziała, jakby to było już uzgodnione.

Nigdy wcześniej nie wspomniała o rozwodzie, ale hurra, nareszcie ze mną rozmawiała. Spróbowałem na to spojrzeć od dobrej strony.

— I tak nie byłabym w stanie tam wrócić — podjęła. — Byłam nieszczęśliwa, siedząc sama w tym domu.

To ponowne obrócenie nożem w ranie było wyrachowane. Chociaż teraz nie chciała być ze mną, przedtem ją unieszczęśliwiłem, nie będąc przy niej. Pocieszyło mnie jednak, że nie sprawiała wrażenia zdruzgotanej wiadomością o domu. Nie rozstałem się z nią z poczuciem, że utrata domu zmniejszyła szanse na nasze ponowne zejście się. Przypuszczalnie wynikało to jednak z faktu, że owe szanse były obecnie na poziomie zbliżonym do zera.

Kiedy szedłem bez celu główną ulicą, przyszło mi do głowy, że dysponuję znakomitym pretekstem, aby zjawić się u Catherine: nie miałem gdzie spać. Próbowałem sobie wyobrazić, jak by zareagowała. Gdyby kiedyś powiedziała: „Jeśli zdarzy ci się wylądować na ulicy, zawsze możesz zamieszkać u mnie”, to na pewno bym to zapamiętał. „Mam tylko pojedyncze łóżko, serce moje, ale co tam, będzie nam jeszcze przytulniej Jak się koło mnie położysz”. Nie, w tym filmie nie padł taki tekst.

Mój ojciec też nie wchodził w rachubę. Pomijając fakt, że mieszkał w Bournemouth, nadmiar męskiej dumy po obu stronach sprawił, że nie rozmawialiśmy ze sobą od chwili, gdy wyszedł z mojej kuchni. Zresztą gdybym zjawił się pod jego drzwiami i powiedział, że oddałem klucze do banku, na pewno bardzo by się zmartwił i spytał, czy pamiętałem o tym, żeby

pryczepić do breloczka kartkę z nazwiskiem i adresem. Pozostawała jeszcze jedna możliwość: mieszkanie w Balham. Od czasu mojej wyprowadzki wiele się tam jednak wydarzyło.

Monica zerwała z Jimem, który dla przyzwoitości odczekał kilka godzin, zanim zaprosił na randkę Kate, jej najlepszą przyjaciółkę. Po kilku tygodniach ewakuował się do jej mieszkania przy Holland Park, wyposażonego we wszystko, czego Jim potrzebował do pisania doktoratu, chociaż Sky Sports 2 trochę śnieżył. Paul w końcu przestał się kryć ze swoim homoseksualizmem i wyprowadził się do Brighton, aby zamieszkać ze swoim chłopakiem, wykidając z nocnego klubu, który pracował również w wojskowym biurze rekrutacyjnym. Simon załatwił do zwolnionych pokoiów trzy młode kobiety, ale kiedy im pokazał wszystkie swoje ulubione witryny internetowe, pozmiały zamki i wystawiły jego rzeczy za drzwi.

W ciągu dwóch miesięcy wszyscy czterej opuściliśmy mieszkanie. Opowiedział mi o tym wszystkim Simon, który kilka tygodni wcześniej zadzwonił do mnie na komórkę. Wciąż nie mógł przeboleć eksmisji, która go spotkała. Na moją sugestię, że pokazywanie dziewczynom witryn porno było błędem, odpowiedział, że jego zdaniem powód był inny: poczęstował się kiedyś ich masłem orzechowym i dlatego straciły do niego sympatię.

Moje kawalerskie gniazdko też zatem nie wchodziło w grę. Nie przychodziła mi do głowy żadna inna meta. Pomyślałem o wszystkich znajomych z okresu od dwudziestego do trzydziestego roku życia, ale z żadnym nie byłem w kontakcie. W dniu narodzin swojego pierwszego dziecka człowiek może spokojnie wykreślić z adresownika wszystkie osoby, które nie mają dzieci. Oszczędzi to wiele zakłopotania i niepotrzebnego wydawania pieniędzy na kartki świąteczne w późniejszym okresie. Oczywiście, Catherine i ja mieliśmy szeroki krąg znajomych, ale w rzeczywistości były to jej przyjaciółki z mężami na doczepkę. Odkąd się ożeniłem, straciłem kontakt ze wszystkimi kolegami ze studiów. Nie winięm za to Catherine, nigdy nie miała nic prze-

ciwko mojemu widywaniu się z kumplami sprzed naszego zamieszkania razem. Problem w tym, że ja leniwie i biernie pozwoliłem jej organizować nasze życie towarzyskie. Catherine nie przyszło oczywiście do głowy, żeby starać się podtrzymywać kontakty z moimi dawnymi znajomymi. Nie było ani jednej pary, do której mógłbym teraz bez skrupowania pójść. Już wcześniej budzili we mnie kompleksy, ze swoimi gigantycznymi kieliszkami do wina, włoskim chlebem i bogatą kolekcją gatunków oliwy z oliwek na serwantce.

Skutek był taki, że pod koniec dnia spędzonego na blakaniu się po mieście, zadzwoniłem do Hugona Harrisona, aby spytać, czy mógłbym się u niego zatrzymać na parę dni, dopóki nie znajdę jakiegoś rozwiązania. Nie byłem szczególnie zachwycony perspektywą, że będę musiał wytłumaczyć koledze z pracy — w gruncie rzeczy mojemu głównemu pracodawcy — że popadłem w poważne kłopoty finansowe, okazało się jednak, że Hugo nie jest na tyle wrażliwy, aby zainteresował go jakikolwiek temat nie związany z wyczynami Hugona Harrisona, więc nie pofatygował się zapytać. Bardzo się ucieszył, że może mnie zaprosić do siebie, bo dzięki temu miał z kim porozmawiać.

Rezydował we wspaniałym mieszkaniu z tarasem na poddaszu wysokiego budynku blisko Albert Bridge, z widokami na cały Londyn, mógł więc patrzeć na wszystkich z góry. Kiedyś był to blok mieszkań komunalnych, ale rada miejska zdołała eksmitować wszystkich lokalnych mieszkańców na tej podstawie, że uparcie głosowali na Partię Pracy. Teraz budynek był ufortyfikowany, z elektrycznymi bramkami i kamerami telewizji przemysłowej, natychmiast wykrywającymi każdego, kto robił coś podejrzanego, na przykład zostawał na weekend w Londynie. Żona Hugona mieszkała na wsi ze swoimi końmi, dzieci były w szkole z internatem i Hugo spędzał dni powszednie w swoim luksusowo urządzonej mieszkaniu. Ten styl życia nie różnił się zbytnio od uprawianego kiedyś przeze mnie, poza tym, że on z jakiegoś tajemniczego powodu znajdował więcej uznania w oczach społeczeństwa. Ale w końcu Hugo należał do modnych sfer. Wpraw-

dzie stał za blisko ludzi, kiedy z nimi rozmawiał, ale od swojej rodziny generalnie trzymał się jak najdalej.

Wzięcie mnie przez Hugona pod swój dach nie odbyło się całkiem charytatywnie: musiałem za to zapłacić, słuchając go przez cały wieczór. Im dłużej mówił, tym lepiej rozumiałem, po co jest mu potrzebne to mieszkanie. Konikiem Hugona były stosunki seksualne. Spotkałem nudziarzy golfowych czy nudziarzy brydżowych, ale po raz pierwszy byłem zmuszony słuchać nudziarza seksualnego. Opowiadał mi ze szczegółami o swoich erotycznych dokonaniach, przyjąwszy założenie, że podzielam jego pogląd, zgodnie z którym każdy zdrowy mężczyzna tak postępuje. Fakt, że żona ode mnie odeszła, w jego oczach czynił ze mnie męczennika za sprawę, bohaterską ofiarę wojny płci. Poił mnie alkoholem i kiedy nad rozmigotanym miastem w dole zapadł zmierzch, próbował mnie pocieszyć opowieściami o tym, jakim jest draniem dla swojej połowicy. Zainteresowało mnie, co naprawdę myśli o swojej żonie, więc pociągnąłem go za język w kwestii jego małżeństwa.

— No, jest dobrą matką i w ogóle — pochwalił ją. — Ciągłe coś posyła dzieciom do internatu. Ale widzisz, jest gruba. Sakramencki błąd.

— Że jest gruba?

— Nie, nie, ona nie może nic na to poradzić — przyznał wielkodusznie. — To ja popełniłem błąd. Widzisz, z początku mi się podobała dzięki swoim gigantycznym melonom. — Na wypadek, gdyby to określenie było mi nie znane, pokazał pantomimicznie, co to są gigantyczne melony i na których obszarach ludzkiego ciała z reguły występują. — Ale nie wolno się żenić z dziewczyną, która ma gigantyczne melony, Michael. Kiedy mój najstarszy syn zaczął się umawiać z dziewczynami, udzieliłem mu tylko jednej rady: „Zawsze pamiętaj, synu, duże cyce po dwudziestce, gruba żona po czterdziestce”.

— Urocze — dworowałem sobie. — Jestem pewien, że kiedyś ci za to podziękuje.

Ponownie napełnił mi kieliszek i mówił o puszystości swojej

żony, jakby to było jakieś makabryczne kalectwo uniemożliwiające mu pożycie z nią, a tym samym usprawiedliwiające fakt, że parzył się z kobietami, kiedy tylko wzięła go ochota. Sądząc po jego anegdotach, zdarzało się to bardzo często. Na przykład był autentycznie dumny z siebie, że udało mu się uwieść aktorkę, która strasznie chciała wystąpić w produkowanej przez niego prestiżowej i lukratywnej reklamie. Co za niezwykle osiągnięcie, Hugo! Ależ ty jesteś spryciarz! Opowiedział mi, że jego żona była wtedy w Londynie i był z nią umówiony na wyjście do opery. Hugo miał bilety, jego żona sterczała pod Coliseum, a on w tym czasie zabierał pełną nadziei aktorkę do hotelu. To dopiero początek...

— Wiedziałem, że szanowna małżonka będzie próbowała do mnie zadzwonić, więc nastawiłem komórkę na wibrację. Właśnie rznąłem tę napaloną aktoreczkę — nie pamiętam, jak miała na imię — kiedy nagle moja komórka zaczęła skakać po nocnym stoliku. Spojrzałem na numer na wyświetlaczu i oczywiście była to komórka Mirandy.

— O rany, musiałeś się poczuć strasznie.

— Co? Nie, wpadłem na perwersyjny pomysł. Ta aktorka była trochę nawalona, cała rozchichotana, wiesz, no i wziąłem wibrujący telefon i przycisnąłem jej do... no wiesz, do piczki.

— Co zrobiłeś?

— No! Uznała, że to superpomysł i strasznie ją to podnieciło. Wyobrażasz sobie? Moja żona dzwoni, żeby się dowiedzieć, gdzie, do cholery, jestem, ale słyszy tylko sygnał. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że im dłużej czeka, tym bliżej orgazmu jest moja kochanka!

— To obleśne, Hugo.

— Prawda? Moja żona doprowadziła moją kochankę do orgazmu! — Parsknął głośnym śmiechem podobnym do ryku osła, dopił swoje wino, klepnął mnie w plecy i spytał: — Jeszcze wina, Michael?

Kiedy wrócił z kuchni, spytałem go, czy ta dziewczyna dobrze zagrała w reklamówce. Spojrzał na mnie jak na wariata i odparł:

— Boże jedyny, nie. Nie zaangażowałem jej.

Dalej opowiadał mi z o wiele za dużą liczbą szczegółów o swoich seksualnych przygodach z dziesiątkami anonimowych kobiet, ale im bardziej lista się wydłużała, tym bardziej wydawał mi się samotny. Całkiem niewykluczone, że zmyślił sobie te wszystkie historie i raczył mnie swoimi fantazjami. Jedynym konkretnym dowodem, jaki miałem na jego niesamowite uwodzicielskie moce, była wizyta u taniej prostytutki w Soho. Dziwna rzecz, ale tego akurat podboju nie wymienił. Czułem się coraz bardziej skrępowany, słuchając go. Starał się mnie w to wciągnąć, uzyskać moją aprobatę. Tak jak on, oszukiwałem moją żonę

i Hugo starał się wzbudzić we mnie poczucie, że uprawnia mnie to do dożywotniego członkostwa w klubie mizoginów. Stanowczo uznałem, że nie jestem taki jak on. Nie byłem pruderyjny, nie miałem nic przeciwko seksowi, ale Hugo z taką pogardą mówił o uwodzonych przez siebie kobietach, że zostawiło mi to w ustach prawie tak samo przykry smak, jak na pewno zostawiało im.

— Żyje się tylko raz, Michael — powiedział. — A nie przychodzi mi do głowy nic bardziej nudnego niż cykanie Mirandy raz w tygodniu do końca życia.

W końcu nalał mi wina i spytał, czy zastanawiałem się dokładniej nad *Klasyką w reklamie*. Nagle coś sobie uświadomiłem z całkowitą jasnością.

— Postanowiłem, że mimo wszystko tego nie zrobię.

— Jak to?

Próbowałem mu to wyjaśnić. Powiedział, że chce płyty z muzyką klasyczną bez wszystkich tych nudnych fragmentów, a ja odparłem, że muszą być nudne fragmenty, bo dzięki temu, co on nazywa nudnymi fragmentami, ciekawe fragmenty są ciekawe.

— Życie ma swoje nudne fragmenty — oznajmiłem nieco za głośno.

Usiłowałem mu wytłumaczyć, że wokalny finał *IX Symfonii* Beethovena jest poruszający, mocny i wspaniały dzięki poprzedniej godzinie, dzięki temu, że słuchacz się zaangażował. Wiolonczele i basy prowadzą go przez kolejne części, wypierają się nawzajem, a potem budują temat *Ody do radości*, wprowadzony

wcześniej przez sekcję instrumentów dętych drewnianych. Właśnie dlatego chóralna kulminacja jest jednym z najwspanialszych momentów w historii muzyki.

Hugo nie dał się porwać mojemu entuzjazmowi.

— Dobra, możemy olać *Dziwiątą* Beethovena. Zamiast tego damy ten kawałek Mozarta z reklamy jogurtu.

Próbowałem więc ponownie mu wytłumaczyć, że płyta nie może się składać z wyizolowanych fragmentów. Nie na tym polega sztuka. Nie na tym polega życie. Nareszcie to zrozumiałem.

Moja dziwna pryncypialność zaskoczyła go i wkrótce na powrót skierował rozmowę ku rozmaitym metodom zdradzania przez siebie żony. W tym momencie wstałem i oznajmiłem:

— Będę się zbierał, Hugo. Chcę odwiedzić jeszcze parę osób i przypuszczalnie zostanę u nich na noc.

Zanim się obejrzałem, patrzyłem na siebie w lustrze windy, zastanawiając się, jak to się stało, że zamieniłem ciepłe łóżko w luksusowym mieszkaniu na nie wiadomo co.

— Dobranoc panu — powiedział portier w liberii, który otworzył mi drzwi frontowe.

Jak na bezdomnego, wkroczyłem na ciemne ulice Londynu w dosyć okazałej oprawie.

Zobaczyłem podrabiany pub irlandzki i ruszyłem w jego stronę. Potem usiadłem w rogu i powoli, lecz systematycznie się upiłem. To zachowanie godne utracjusza nie było całkowicie spontaniczne. Później kupiłem nawet w monopolowym małą butelkę whisky, chociaż nigdy nie lubiłem whisky. Catherine często mnie oskarżała o skłonności autodestrukcyjne, ale myślę, że kiedy siedziałem w tym pubie, nie mając domu, do którego mógłbym wrócić, ekskomunikowany z rodziny i pozbawiony przyjaciół, miałem prawo trochę się poużalać nad swoim losem. Jakby mało było tych upokorzeń, z szafy grającej szła piosenka, którą rozpoznałem z dawnych czasów.

— Co to jest za muzyka? — wybełkotałem do barmanki, kiedy zbierała na tacę puste kufle z mojego stolika.

— The Truth Test — powiedziała z nosowym australijskim



akcentem, który nie całkiem pasował do plastikowych koniczynek na ścianie.

— The Truth Test! Kurde, tylko nie The Truth Test! To znaczy, że są sławni?

— Żartuje pan sobie? Ta piosenka jest na pierwszym miejscu.

— The Truth Test! Ale oni gówno grali! Występowali z nami jako drugi zespół w Godalming. Musiałem im pożyczyć mojego zasranego fuzza!

Spróbowała się uśmiechnąć, rozważyła, czy mnie zapytać, co to jest fuzz, i uznała, że byłoby to niemądre. Ktoś włączył ten kawałek po raz drugi i uznałem, że jest to dla mnie sygnał do wyjścia. W moim portfelu nie było już teraz banknotów, znalazłem jednak świstek papieru, na którym zanotowałem nowy adres Simona w Clapham. Włożyłem go do kieszeni i ruszyłem na południe. W prostej linii odległość wynosiła tylko dwie mile, lecz w zygzakowatej wydłużała się do czterech. Zanim dotarłem na miejsce, zgubiłem mój świstek papieru. Stałem w ciemnościach na Clapham Common i po raz kilkunasty przeszukiwałem kieszenie. Dwa razy sprawdziłem, czy karteczka nie wpadła mi za mankiet, i dwa razy się przekonałem, że nie mam mankietów. Co teraz? Odległe reflektory krążyły wokół Clapham Common, największej wysepki ulicznej w Londynie. Usiadłem na ławce. Byłem pijany. Byłem zmęczony. W końcu pogodziłem się z sytuacją i wyciągnąłem się na ławce. Z oddali dobiegł mnie dźwięk alarmu samochodowego. Włożyłem sobie torbę pod głowę, owinałem się jak najszczelniej płaszczem i próbowałem zasnąć. W moim pijackim stanie pozwoliłem sobie uśmiechnąć się na myśl o sytuacji, w której się znalazłem. Ostatnią przesyłką pocztową, którą otworzyłem w domu, był biuletyn wydawany przez moją dawną uczelnię. Jak zawsze zacząłem od rubryki: „Gdzie teraz są?” Może należało wpisać do kwestionariusza: „Leżę na ławce na Clapham Common kompletnie upieprzony”.

Mimo wiatru i okazjonalnych kpiących śmiechów kaczek pływających w jezioru, dosyć szybko zasnąłem. Sen zawsze szybko mnie morzył, kiedy dużo wypłem. Dlatego mnie zwolnili

z mojej pierwszej pracy wakacyjnej, która polegała na wożeniu emerytów na plażę. Jednak w środku nocy alkohol i mżawka zaczęły mi się dawać we znaki i obudziłem się jednocześnie mokry i odwodniony. Jak zawsze, kiedy człowiek się budzi w obcym miejscu, mija ułamek sekundy, zanim sobie przypomni, gdzie jest. Nie miałem wrażenia, że śpię w swoim łóżku. Nie miałem wrażenia, że jestem u Hugona w luksusowym łóżu z kolumnkami, którym wzgardziłem. Kiedy sobie uświadomiłem, że dreszcze i bóle wynikają z faktu, iż śpię na ławce w parku, ogarnęła mnie taka rozpacz, że miałem ochotę rzucić się pod pierwszy przejeżdżający pojazd, ale pierwszym mijającym mnie pojazdem okazał się wózek mleczarski, więc w najlepszym razie posiniaczyłbym sobie nogę, a nie chciałem wydłużać listy swoich porażek.

Gdy o tej nieprzyjemnej porze tuż przed świtem oddałem się smutnej introspekcji, moja dusza zaczęła się taplać w tym niebezpiecznym bajorze, jakim jest żal nad sobą. Od początku pragnąłem tylko jednego: miłości i szacunku Catherine. Chciałem tylko mieć pewność, że kobieta, którą kocham, odwzajemnia moje uczucie. W moim egocentrycznym wszechświecie postrzegałem ją jedynie jako planetę krążącą wokół mnie. W tym błędzie można było tkwić, dopóki nie przyszły dzieci, po czym prawa fizyki rozbiły ten układ planetarny. Nie mogłem się z tym pogodzić. Nadal próbowałem zająć miejsce w centrum jej życia. Jeśli przy śniadaniu zdenerwowała się z jakiegoś innego powodu niż ja, to zawsze zadbałem o to, żeby przy lunchu wkurzyła się już na mnie.

Zawłaszczalem sobie jej irytację, która zawsze musiała się wiązać ze mną. Może wszyscy mężczyźni mają taką mentalność. Może w dniu, kiedy pani Thatcher straciła posadę premiera, Denis Thatcher, zjeżony i nadaśnany, powiedział: „Nie rozumiem, dlaczego jesteś na mnie taka zła”.

Leżałem tam, zmarznięty i pusty w środku, i obserwowałem przejeżdżające samochody. Było ich coraz więcej, w miarę jak Londyn budził się do życia. Ich kierowcy sprawiali wrażenie, że coraz bardziej im się spieszy. W mizernym świetle latarni zoba-

czyłem coś przymocowanego do barierek po drugiej stronie drogi. Kilka metrów od ogołoczonego szkieletu roweru z wysiłkiem rozpoznałem zwiedniętą wiązaną tanich goździków, teraz zrudziałych i bez życia. Jest tylko jeden powód, dla którego ludzie przywiązują kwiaty do barierek: dla oznaczenia miejsca, w którym ktoś został zabity. Śmignął kolejny samochód, nieświadomy znaczenia tego miejsca, pędził ulicą tak samo jak feralne auto, które spowodowało, że ludzie postawili ten żalony, uschły już teraz pomnik. W lecie parkują tutaj furgonetki z lodami. Pomyślałem, że może jakieś dziecko biegło na drugą stronę kupić lody i nie zatrzymało się, żeby się rozejrzeć na boki, tak jak Millie, która zobaczyła kiedyś na środku drogi piórko i wbiegła na jezdnię, a ja tak strasznie ją skrzyczałem, że się rozplakała. Nigdy wcześniej nie widziała mnie takiego wściekłego na nią, ale tak naprawdę byłem zły na siebie, że puściłem jej rękę, nie przewidziawszy konsekwencji.

Mój umysł ruszył galopem po niebezpiecznej pochyłości. A jeśli Millie zostałaby przejechana? A jeśli byłaby jakaś barierka, do której musiałbym przywiązać tanie goździki? „Nie myśl o tym, Michael. Wygnaj to z głowy”. Nie mogłem się jednak powstrzymać. Zacząłem sobie scena po scenie wyobrażać śmierć Millie. Stworzyłem w głowie do bólu wiarygodny fatalny scenariusz i patrzyłem, jak się rozwija.

Jestem w ogrodzie przed domem i podlewam kwiaty w skrzynkach na oknach. Drzwi frontowe zostawiłem uchylone, bo nie mam w kieszeni kluczy. Podświadomie rejestruję, że przez szparę wychodzi kot. Nie widzę, że za kotem idzie Millie. Kot jest teraz na chodniku i Millie trzyma go za ogon. Kotu nie podoba się ta zabawa, więc ucieka na drugą stronę ulicy. Millie goni go, wybiegając pomiędzy zaparkowanych samochodów. Jedzie duża, biała furgonetka z egzemplarzem „The Sun” na desce rozdzielczej. Kierowca słucha Capital Gold, grają *Bohemian Rhapsody*. Leci solówka gitarowa, przy której kierowca zawsze przyspiesza. Nagle słychać głuchy dźwięk, krzyk i głośne tapnięcie, gdy opona przejeżdża po ciele Millie. Potem tylna opona też po niej przejeź-

dza. Wszystko to dzieje się bardzo szybko, ale równocześnie w zwolnionym tempie. Millie leży na ulicy za furgonetką. Zupełnie nieruchoma, jest tylko ciałem, małym, zgruchotanym, bezużytecznym ciałem. Tego ranka włożyłem jej na nogi te buciki, razem wybraliśmy sukienkę, a teraz kierowca stoi na chodniku i przy użyciu wszystkich znanych mu wulgarnych słów przekonuje, że to nie jego wina. Jadące w drugą stronę BMW trąbi jak najęte, bo zaszara furgonetka blokuje drogę. Potem budowlańiec rzyga na chodnik, jego radio dalej gra, leci tekst o tym, że tak naprawdę nic nie ma znaczenia, a potem gong i koniec pieśni — życie Millie trwało tylko trzy lata.

Kolejna para reflektorów rozświetla wyschnięte, zrudziałe kwiaty i przytomnieję. Moje antymarzenie jest tak realistyczne, że chcę natychmiast zobaczyć Millie, chcę ją wziąć na ręce, przytulić i nie puszczać, ale nie mogę. Nie dlatego, że zabrała mi ją biała furgonetka, lecz dlatego, że zabrał mi ją bardziej skomplikowany wypadek: rozpad małżeństwa. To oczywiście nie to samo i Millie wykaraska się z tego, Catherine dobrze ją wychowa. Ale Millie nie będzie mnie kochała tak, jak ja kocham ją; nie będzie się o mnie martwiła. I chociaż to milion razy lepiej, niż żeby ją rozjechała furgonetka flejtuchowatego budowlańca, straciłem ją: nie będziemy mieszkać razem; Millie nie będzie mnie naprawdę znała. Zdarzył się straszny wypadek i straciłem ją.

Jak do tego doszło? Co uruchomiło ten ciąg wydarzeń? Dzień, kiedy po raz pierwszy oszukałem Catherine, kiedy wyłączyłem komórkę, zobaczywszy na wyświetlaczu swój domowy numer — to był kot wymykający się przez uchylone drzwi. Potem była ta historia, kiedy Catherine spytała mnie, czy pracowałem całą noc, i zamiast odpowiedzieć, że pracowałem do dziesiątej i byłem za bardzo zmęczony, żeby wracać do domu i przez całą noc być budzony przez dzieci, spuściłem wzrok i milcząco potwierdziłem. Nie wyprowadziwszy jej z błędu, skłamałem przez zaniechanie — podobny występki jak niepatrzenie, gdzie jest Millie, niemyślenie o tym, że moja córka może być w niebezpieczeństwie. Potem łągałem z rosnącą nonszalancją i okłamywałem sam siebie,

że Catherine jest szczęśliwa. Zacząłem celowo uciekać od niej i od dziecka — analogicznie do ucieczki kota, kiedy Millie trzymała go za ogon. A potem kot znalazł się po drugiej stronie ulicy i Millie nie mogła go złapać, a potem nagle łup, moje dwa życia zderzają się ze sobą, Catherine płacze, płacze, płacze, i już po wszystkim, nie da się już niczego naprawić. Straciłem ich, tak jak tata stracił mnie. „To był innego rodzaju wypadek” — pomyślałem. Zdrada. Tata nauczył mnie, jak się przechodzi przez ulicę, bo nie chciał mnie stracić. Powiedział mi, żebym nie wbiegał na jezdnię za piłką, bo nie chce mnie stracić. Nie widział jednak niebezpieczeństwa, na jakie mnie narażał, kiedy poszedł na drinka z tą dziewczyną, którą poznał przez pracę. Po prostu nie pomyślał. Jak dziecko biegnące za kotem czy piłką, był podekscytowany, pobiegł za piękną dziewczyną, a potem łup, stracił syna, jego małżeństwo się rozleciało, zdarzył się straszny wypadek.

Najciemniejszą godzinę przed świtem rozświetliło błyskające niebieskie światło pędzącego radiowozu, lecz ciszy zimowej nocy nie przekłuło wycie syreny. Dlaczego nie jadą na pełnym gazie do rozpadających się małżeństw? Dlaczego żaden radiowóz nie pogonił za moim ojcem, kiedy ten odjechał spod naszego domu, i dlaczego żaden funkcjonariusz go nie pouczył: „To bardzo niebezpieczne, obywatelu, temu dziecku może stać się krzywda”? Czy teraz wszystko zacznie się od nowa?

Podczas ostatniego spotkania z Catherine przy huśtawkach ponownie tłumaczyłem jej, że zrezygnowałem z mieszkania w Balham, jeszcze zanim ode mnie odeszła. Dostrzegłem chwilę zawahania, jakby Catherine była prawie skłonna mi uwierzyć. Powiedziałem jej, jaki wściekły byłem na tatę, że pokazał list swojej dziewczynie.

— Dlaczego to zrobił? Dlaczego pokazał Jocelyn bardzo osobisty list, który zaadresowałem do niego?

— Bo był dumny — odparła spokojnym tonem.

Natychmiast wiele spraw się rozjaśniło. To było takie oczywiste, kiedy już Catherine to powiedziała: tata pokazał Jocelyn moją szczegółową spowiedź, bo był bardzo dumny, że dostał ode

mnie list. Nigdy wcześniej nie wysłałem mu nawet pocztówki. Bardzo rzadko do niego dzwoniłem i odwiedzałem go w Bournemouth. Gdybym mu napisał, że rabuję emerytów, aby mieć pieniądze na heroinę, wymachiwałby listem dokoła i mówił: „Patrzcie, patrzcie, list od mojego syna!”

Ja byłem winny temu, że tata pokazał mój list swojej dziewczynie. Ja byłem winny temu, że Catherine go dostała. Zaniedbywałem nie tylko młodsze, ale również starsze pokolenie. Skutkiem tego mój list stał się ważny nie ze względu na to, czego dowiedział się dzięki niemu tata czy czego dowiedziała się dzięki niemu Catherine, lecz ze względu na to, czego dowiedziałem się dzięki niemu ja. Jak potwornie oszukana poczuła się Catherine, kiedy poznała prawdę o moim sposobie życia, i jak strasznie zdesperowany był mój ojciec, że nie zwracam na niego najmniejszej uwagi!

Nad parkiem wstawał świt i nagle poczułem, że wszystko mi się poukładało w głowie. Zrozumiałem, jak to wszystko działa. Znalazłem rozwiązanie zagadki. Trzeba spędzać czas z ludźmi, których się kocha. Nie próbuje się ich zmieniać, nie złości się na nich tylko dlatego, że zachowują się nie tak, jak my chcemy, znosi się nudę, awantury i monotonię, po prostu spędza się z nimi czas. Na ich warunkach słucha się, jak opowiadają o samochodzie kupionym przez znajomego w Belgii i o tym, co robili na placu zabaw. Trzeba mieć cierpliwość i po prostu być z nimi. Ze starszym rodzicem i małym dzieckiem, wszystko jedno. Po prostu trzeba spędzać z nimi czas i wtedy wszyscy są szczęśliwi. Nawet my sami.

Chciałem zobaczyć się z Catherine i podzielić z nią tym objawieniem, powiedzieć jej, że ponieważ teraz wiem, jak powinienem postępować, wszystko znowu będzie dobrze. Chciałem z nią być, nudzić się razem z nią. W półmroku usiłowałem usiąść, ale dostałem mdłości i zakręciło mi się w głowie. Zwykle na kacu wołałem o świeże powietrze, ale tutaj nie stanowiło to problemu. Zamknąłem oczy i zacząłem delikatnie masować sobie skronie okrężnymi ruchami palców, jakby to rokowało jakiegokolwiek

szanse na usunięcie skutków spożycia butelki wina, kilku szklanek mocnego piwa i małej butelki whisky.

— Wyglądasz na ździebko sponiewieranego, stary.

Jeśli wyglądałem na tak sponiewieranego, jak się czułem, to byłem zaskoczony, że ktokolwiek ma ochotę znaleźć się w promieniu stu metrów ode mnie. Na ławce w parku obok mnie siedział lump. Tradycyjny cuchnący lump, z puchą piwa w dłoni i wielkim strupem na podbródku. Z tradycji wyłamywał się tylko tym, że był Walińczykiem. Pijacy szkoccy, to owszem, widywałem ich na pęczki. Pijacy irlandzcy, to owszem, zadomowili się na stacji metra Camden. Ale bezdomny alkoholik z Walii to była dla mnie nowość. To dziwne, ale ci Szkoci i Irlandczycy wszędzie się wcisną — są w filmach, w muzyce, w spektaklach tańca celtyckiego, a nawet w tekturowych pudłach przy stacjach metra. Nareszcie znalazł się jakiś Walińczyk, który próbował przywrócić równowagę etniczną.

— Yyy, no, czuję się trochę sponiewierany, fakt. Musiałem chwilkę posiedzieć.

— A potem żeś się położył i spędziłeś tu noc, ha ha ha ha. To jest moja ławka, wiesz, ale mocno spałeś, tom ci ją odstąpił na tą noc. Chlapiasz se?

Zaproponował mi łyk piwa z puszką, z której zwisała jego ślina.

— Nie, dziękuję, z zasady nie piję przed śniadaniem ciepłego piwa i menelskiego gluta.

Zadowolilem się pomysłem tego. Nie miałem odwagi rzeczywiście tego powiedzieć. Było miłe z jego strony, że chciał się ze mną podzielić swoją jedyną puszką piwa, chociaż była to zdecydowanie najmniej kusząca propozycja, jaką mi w życiu złożono. Zmartwiło mnie, że lump jest wobec mnie taki przyjazny, że traktuje mnie jak równego sobie.

— Nie widziałem wcześniej, żebyś tu sypiał.

— Oczywiście, że nie. Nie jestem bezdomny.

— Oj, przepraszam, wasza wysokość. — Ze swojego miejsca na ławce obok mnie skłonił mi się po pijacku z teatralną kurtuazją.

No to gdzie mieszkasz?

— Yyy, właściwie teraz to nigdzie—wymamrotałem. — Ale

tak się składa, że do niedawna miałem dwa mieszkania — dodałem w nadziei, że uwiarygodni to moją pozycję wypłacalnego członka normalnego społeczeństwa.

— Więc kiedyś miałeś dwa mieszkania, a teraz nie masz żadnego. — Opróżnił do końca puszkę i upuścił ją na ziemię. — Na moje oko w sumie wychodzi sprawiedliwie.

Miał rację. W tym, jak potoczyły się sprawy, była pewna symetria: człowiek, który próbował mieć wszystko, skończył z niczym. Nie podobało mi się jednak, że usiłował mnie sprowadzić do swojego poziomu. Nie byłem lumpem! Dobra, nie miałem gdzie mieszkać, nie miałem pieniędzy i spędziłem ostatnią noc na ławce, ale choćbym był nie wiem jak uwalony, nigdy nie upuściłbym puszki po piwie na ziemię.

— Mam żonę i dwójkę dzieci, jeśli chcesz wiedzieć, i trzecie w drodze — oznajmiłem z dumą.

Obejrzał mnie od stóp do głów. Przyglądał się mojej wymiętej, nie ogolonej twarzy, sterczącym do góry włosom, pogniecionemu, brudnemu ubraniu i, pożałuj Boże, dobytkowi wciśniętemu do podartej torby.

— Ale z niej szczęściara. Znaczy, każda kobieta marzy o tym, żeby się załapać na takiego faceta jak ty.

— No, znaczy, strasznie się pokłóciliśmy, ale zadzwonię do niej. Zadzwonię do niej z tamtej budki.

— No to idź dzwonić.

— I pogodzę się z nią, bo nie jestem jakimś wyrzutkiem społecznym.

— Jasna sprawa.

— Bo nie jestem jakimś bezdomnym żebrakiem.

— Pewnie. Idź zadzwonić do żony.

— Zadzwoniłbym, ale... Nie miałbyś jakichś drobnych na zbyciu?

Z dwudziestoma pensami wyproszonymi od walijskiego lumpa wystukałem numer rodziców Catherine i uzbroiłem się w odwagę, aby stawić czoło ich lodowatej dezaprobacie. Serce podskoczyło mi z radości, kiedy odebrała Millie.



— Cześć, Millie, mówi tata. Jak się masz?

— Dobrze.

— Jadłaś śniadanie? — Cisza po drugiej stronie; zrozumiałem, że Millie kiwa głową. — Byłyście dobre dla babci i dziadka?

Znowu cisza. Może kiwała, a może kręciła głową, trudno to było ocenić. Należało przestać zadawać jej pytania, które wymagały od niej tylko potwierdzenia albo zaprzeczenia.

— Podoba ci się mój kapelusz? — spytała mnie.

— Śliczny. Czy to jest kapelusz babci?

— Nie! — powiedziała jak do kogoś kompletnie niekumatego. — Babcia nie jest piratem.

Aparat zjadał impulsy i chociaż cudownie się rozmawiało z Millie, dyskusja o tym, czy babcia jest piratem, nie posuwała do przodu dzieła odbudowy mojego życia.

— Czy jest mamusia, skarbie? — Cisza. — Millie, ja stąd nie widzę, czy kiwasz czy kręcisz głową. Możesz dać mamusię do telefonu?

Usłyszałem głos Catherine, która kazała jej oddać słuchawkę.

— Halo?

— Cześć, to ja. Posłuchaj, musimy porozmawiać, bo wiem, że musisz mnie nienawidzić i w ogóle, i rozumiem, że z twojego punktu widzenia nie jestem najwspanialszym facetem na świecie, ale nie jestem taki najgorszy, wiesz. I chodzi o to, że cię kocham i Jezu, faceci spali z innymi kobietami i żony im wybaczyły, a ja nigdy cię nie zdradziłem. Chryste, nawet jak się onanizuję, to zawsze staram się myśleć o tobie.

— Nie rozmawiasz z Catherine, Michael. Tu Sheila — wyjaśniła mnie dosyć chłodno jej matka. — Proszę cię, nie używaj w ten sposób imienia Pana Boga swego.

— Och, yyy, przepraszam, Sheila. Boże, przez telefon masz dokładnie taki sam głos.

— Proszę cię, nie używaj imienia Pana Boga swego nadaremno.

— Aha, kurde, sorry. Mogę rozmawiać z Catherine?

— Nie, nie możesz.

— Co? Nie pozwolisz mi czyjej nie ma?

— Nie ma jej.

Sheila nie była zbyt wylewna.

— Yyy, a wiesz gdzie jest?

— Wiem.

— W takim razie czy mogłabyś mi powiedzieć, gdzie jest?

— Nie jestem pewna, czy powinnam.

— Jez... jejku, Sheila. Catherine to moja żona. Jest w dziewiątym miesiącu ciąży z naszym trzecim dzieckiem. Chyba mam prawo wiedzieć, gdzie jest.

Po chwili milczenia Sheila powiedziała mi, gdzie jest Catherine. Ja coś krzyknąłem i wybiegłem z budki, zostawiłem słuchawkę dyndającą na kablu i osoba, która weszła po mnie, usłyszała Sheilę mówiącą:

— Proszę, nie używaj w ten sposób imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Pobiegłem Clapham High Street, przeciąłem Stockwell, mijałem wszystkie stacje metra, przez które przejeżdżałem, kiedy oscylowałem pomiędzy małżeństwem a kawalerstwem, ale teraz nie miałem nawet funta na bilet, biegłem i biegłem, wszystko mnie bolało i było mi niedobrze, ale biegłem dalej do Catherine. Musiałem być przy niej. Musiałem być u jej boku, bo Catherine zaczęła rodzić. W tym momencie przychodziło na świat nasze trzecie dziecko.

## **Rozdział 11**

### **TO JEST TO**

Jakiś kierowca zatrafił, kiedy przebiegałem przez Clapham Road. Miałem już w nogach dwie mile i czułem, że zaraz padnę. Kiedy zobaczyłem pomarańczową lampkę nadjeżdżającej taksówki, zacząłem wymachiwać rękami jak wariat.

— Halo! — wydyszałem oparty o drzwi auta. — Niech pan

posłucha, nie mam przy sobie gotówki, ale moja żona rodzi w św. Tomaszu, i jakby pan mógł mnie tam podrzucić, to bym panu przysłał czek na dwa razy większą sumę.

— Wskakuj pan, ja sam mam dwójkę, małe małąpiątka. Zawiozę pana dwa razy szybciej i za friko. Ja stawiam.

Miałem nadzieję, że tak powie. Widziałem to na filmach — zdesperowany człowiek, którego żona rodzi, trafia na policjanta albo taryfiarza, który łamie przepisy, żeby mu pomóc. Ten taksówkarz oglądał inne filmy niż ja.

— Odwal się pan — warknął i odjechał, prawie urywając mi rękę.

Podjąłem swój maraton przez południowy Londyn, od czasu do czasu przerzucając torbę z jednej ręki do drugiej. W końcu wyrzuciłem ją do kosza na śmieci. Kiedy dotarłem do rzeki, mogłem biec tylko krótkimi zrywami, rozdzielonymi długimi okresami żwawego, rozdygotanego marszu. Nie sposób jest dokładnie ocenić odległość do jakiegoś miejsca, dopóki nie pędziło się tam na ciężkim kacu, aby zdążyć zobaczyć narodziny swojego trzeciego dziecka. Odcinki ulicy, które w mojej głowie miały zaledwie pięćdziesiąt metrów, ciągnęły się bez końca, jakbym szedł w złym kierunku po ruchomym chodniku na lotnisku Gatwick. Wysilek spotęgował mdłości. Kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze, czułem, jak pot spływa mi po plecach i przesiąka przez płaszcz.

Tamiza rozpościerała się po mojej lewej, budynki parlamentu majaczyły we mgle za rzeką. Kiedy dreptałem wykończony po nadbrzeżnej alejce, uwzięła się na mnie czereda rowerzystów i przez moment wyglądało na to, że mogę się przed nimi schronić, tylko wskakując na drzewo. Wreszcie dotarłem do wejścia szpitala św. Tomasa i z trudem łapiąc powietrze, podszedłem do recepcji.

— Dzień dobry, przyszedłem się zobaczyć z Catherine Adams, która w tym momencie rodzi. Może mi pani powiedzieć, na którym ona jest piętrze?

Recepcjonistka najwyraźniej nie podzielała mojego przeko-

niania, że wskazany jest pośpiech. Wciąż dysząc, wyjaśniłem, że jestem mężem rzezonej Catherine Adams, że nie było mnie przy niej, kiedy niespodziewanie zaczęły się skurcze porodowe, ale muszę natychmiast udać się na górę, bo żona chce mnie mieć przy swoim boku. A potem zwymiotowałem do kosza na śmieci.

Widok wymiotującego człowieka nie był chyba dla recepcjonistki niczym szczególnym, bo zupełnie jej to nie wzruszyło. Kiedy oparłem głowę na ladzie recepcji i wyjęczałem z cicha do siebie: „O Boże!”, zadzwoniła na oddział położniczy, aby uzyskać potwierdzenie mojej wersji wydarzeń.

— Tak, jest tutaj w recepcji — powiedziała. — Właśnie zwymiotował do kosza na śmieci, a teraz chyba zamierza zemdleć.

Nastąpiła rozmowa, z której słyszałem tylko połowę. „Rozumiem... tak... tak...” Po tonie głosu poznałem, że są jakieś problemy natury administracyjnej.

— O co chodzi? — spytałem zniecierpliwiony. — Jest jakiś kłopot?

— Chcą wiedzieć, dlaczego pan zwymiotował. Jest pan chory?

— Nie, nie jestem chory. Po prostu przybiegłem tutaj, to wszystko.

— Nie, nie jest chory. Ale czuć od niego alkoholem — dodała dobrodusznie, a potem pokręciła głową z rozczarowaniem, dając mi znać, że ten szczegół nie zdołał przechylić szali na moją korzyść.

W końcu poinformowała mnie, że nie mogą mnie wpuścić na salę porodową, że wedle ich wiedzy Catherine i ja jesteśmy w separacji oraz że Catherine ma do pomocy swoją siostrę Judith. Tak jakby poród nie był wystarczająco bolesny.

— Okej. W porządku, rozumiem—powiedziałem spokojnie. — W takim razie, yyy, może zajrzę później.

A potem skręciłem za róg i wskoczyłem do windy. Wsiadłem na siódmym piętrze i następną przeszkodą, jaką napotkałem, były wielkie, zdezelowane drzwi z metalu z dzwonkiem z boku. Pokręciłem się tam przez chwilę, udając, że oglądam plakat zatytułowany: „Jak badać sobie piersi”, i przechodząca pielęgniarka

obrzuciła mnie bardzo nieufnym spojrzeniem. W końcu brzdęk windy oznajmił przyjazd kolejnego oczekującego ojca, który wyszedł na korytarz z wielką stertą zawiniętych w celofan kanapek właśnie zakupionych w sklepie na dole. Genialnie, facet idzie na oddział położniczy.

— A, słynne kanapki — powiedziałem, uznawszy, że lepiej będzie się z nim zaprzyjaźnić, jeśli mam spróbować z nim wejść do wnętrza sanktuarium.

— Nie wiedziałem, z czym są najlepsze dla rodzącej, więc wziąłem duży wybór.

— Z serem i ogórkiem konserwowym — oznajmiłem z przekonaniem, stając za nim przed drzwiami.

— O — powiedział z zakłopotaną miną. — Akurat z tym nie wziąłem. Pójdę i zamienię którąś na z serem i ogórkiem.

— Nie, nie, z pastą jajeczną są nawet lepsze. Niektórzy ludzie uważają, że kanapka z serem i ogórkiem zwiększa ryzyko cesarki.

— Naprawdę? Kurza melodia, dziękuję, że mi pan powiedział.

Zadzwoił, podał swoje nazwisko do mikrofonu, został wpuszczony, a ja razem z nim.

Przybrałem zdecydowaną minę osoby, która wie, dokąd zmierza, mimo że musiałem zwalniać przy każdych drzwiach, które się przypadkiem otworzyły. Na pozbawionym okien korytarzu oddziału położniczego panowała atmosfera tajnego więzienia rodem z jakiejś zamierzchłej faszystowskiej dyktatury. Potępieńcze wrzaski dobiegały zza rozmaitych drzwi, z których wychodzili ludzie z metalowymi narzędziami tortur w rękach. Na widok kolejnych drzwi ogarnęło mnie przecucie, że właśnie tam rodzi Catherine.

— Przepraszam, pomyliłem sale — powiedziałem do nagiej kobiety, która wchodziła do baseniku. Usłyszałem stanowczy głos jakiegoś mężczyzny: „Nie, wszyscy wiedzą, że z serem i ogórkiem zwiększa ryzyko cesarki”. Na końcu korytarza znajdowała się dyżurka pielęgniarek. Podkradłem się tam dyskretnie i zobaczyłem wiszącą na ścianie dużą białą tablicę z numerami

pokojów i nabazgranymi pod spodem nazwiskami matek. Pod ósemką ktoś napisał niebieskim mazakiem: „Catherine Addams”. Przez dwa „d”, jakbyśmy byli rodziną Addamsów. Kiedy nagle ujrzałem swoje odbicie w lustrze, pomyłka ta wydała mi się całkiem usprawiedliwiona.

Przygłodziłem włosy, ale poczułem, że znowu się najeżyły. Zapukałem delikatnie i wszedłem do środka.

— Aaaaaaaaaauuuuuuuuu!

— Dzień dobry, Catherine.

— Aaaaaaaaaauuuuuuuuu! — wrzasnęła znowu. Uznałem, że albo ma skurcz, albo jest to naturalna reakcja na zobaczenie mnie.

— Co ty tu, kurde, robisz?! — krzyknęła.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— O, to świetny pomysł, bo akurat nie mam nic konkretnego do roboty. Aaaaaaaaaauuuuuuuuu!

W pokoju była jeszcze tylko Judith. Patrzyła na mnie z zawiedzioną miną dublerki, która zobaczyła, że aktorka grająca główną rolę tuż przed podniesieniem kurtyny zjawiała się w teatrze.

— Nie powinno tu być położnej, lekarki albo kogoś? — spytałem.

— Rozwarcie wynosi dopiero pięć centymetrów — odparła Judith, urażona, że nie uważam jej nawet za „kogoś”. — Co jakiś czas zaglądamy sprawdzić. Przygotowałam jej kanapki i wszystko.

— Ona nigdy nie je kanapek.

— A.

Judith zrobiła jeszcze bardziej rozczarowaną minę.

— Posłuchaj, Catherine — zacząłem. — Dużo sobie przemyślałem. Już wiem, co źle robiłem.

— Naprawdę? Moje gratulacje, Michael!

Siedziała na łóżku w mało eleganckim szlafroku szpitalnym, prawie tak zgrzana i rozchełstana jak ja.

— Wydawało mi się, że jesteś na mnie wiecznie wkurzona.

— Jestem na ciebie wkurzona. Jestem tobą totalnie zniesmaczona i przerażona.

— Tak, teraz jesteś, to oczywiste. Ale wcześniej, kiedy miałaś dosyć bycia matką dwójki małych dzieci, wydawało mi się, że mnie już nie kochasz, i dlatego od ciebie uciekałem.

— Aaaaaaaaaauuuuuuuuu!

Judith wymownie wkroczyła do akcji, przykładając Catherine do czoła ręczniczek, który był jeszcze bardziej mokry niż ona.

— Co to za zapach?

— „Niezbędne olejki” — odparła Judith z zadufanym skinieniem głowy. — Bardzo mi pomogły, kiedy rodziłam Barneya.

— To nie są niezbędne olejki, Judith. Wcale nie są niezbędne. Przez cztery tysiące lat kobiety rodziły bez niezbędnych olejków. Lepiej pasowałaby nazwa: „Zupełnie niepotrzebne zasrane olejki”.

— Przestań, Michael — powiedziała Catherine, która wciąż dochodziła do siebie po ostatnim skurczu. — Kurde, okłamywałeś mnie, zostawiłeś mnie, a teraz ci się wydaje, że po prostu przyjdiesz i wszystko będzie w porządku. Znudziła ci się samotność, więc chcesz przez jakiś czas pobycć sobie tatą, dopóki znowu ci się to nie znudzi. To ja ci mówię, że możesz stąd spieprzać! — krzyknęła.

— Yyy, chciałybyś, żebym ci pomasowała stopy? — spytała Judith z odrobinę speszoną miną.

— Nie, Judith, nie chcę, żebyś mi pomasowała stopy, dziękuję bardzo.

— Posłuchaj, Catherine, wszystko, co mówisz, jest prawdą. Ale to ty chciałaś tak wcześnie mieć dzieci. Ja udawałem, że też chcę, bo pragnąłem, byś była szczęśliwa. Wszystko robiłem po to, żebyś była szczęśliwa.

— A, rozumiem, mieszkałeś za rzeką po to, żebym była szczęśliwa, tak? Ja sobie myślałam, że to dlatego, że jesteś samolubny gnojek, ale teraz widzę, że to ja we wszystkim stawiałam na swoim. Cóż, przepraszam cię, że byłam taka egoistyczna.

— Zaczekaj — powiedziałem nagle. — Co to za hałas?

— Jaki hałas?

Catherine zirytowała się, że ją zatrzymałem w pełnym biegu. Znowu go usłyszałem. Gdzieś z wnętrza pokoju dobiegał

nieziemski, stłumiony jęk. Coś jakby zaćpany starzec stękał w szafie, tyle że baterie by mu się wyczerpywały.

— O, znowu. To okropne. Co to jest? Judith miała urażoną minę.

— Moja kasetka ze śpiewem wielorybów. Ma pomóc Catherine się rozluźnić.

— Aaaaaaaaaauuuuuuuuu! — zawyła Catherine.

— Doskonale działa, co? — zakpiłem. — Kasetka ze śpiewem wielorybów! Boże, jesteś chodzącą karykaturą hipiski! Założę się, że to nie są nawet współczesne piosenki wielorybów. Założę się, że jest to klasyka piosenki wielorybów z lat sześćdziesiątych.

— Gnnnnnnoooooo — stęknął wieloryb.

— Aaaaaaaaaauuuuuuuuu! — zaintonowała znowu Catherine. — Właściwie to mogłabyś coś dla mnie zrobić, Judith — dodała, przekręcając się z bólem.

— Tak? — spytała Judith pełna nadziei.

— Mogłabyś wyłączyć tę zasraną kasetę ze śpiewem wielorybów? I bez tego czuję się jak wielki, tłusty wieloryb.

— No, dobrze, skoro sobie życzysz.

— I przestań mi wcierać w stopy ten cuchnący olejek, bo się porzygam.

Potem Catherine i ja przierzucaliśmy argumentami, ona jednak była w o tyle gorszej sytuacji, że znajdowała się w drugiej fazie porodu. Parę razy sądziłem, że ją pokonałem, bo nie odpowiedziała, ale zawsze się okazało, że właśnie chwycił japotężny skurcz. Kiedy krzyczeliśmy na siebie, uświadamiałem sobie mgliście, że Judith kartkuje podręcznik naturalnego porodu, aby sprawdzić, jakich kryształków albo ziół należy użyć w tej sytuacji. Catherine powiedziała, że zależy mi tylko na sobie, a ja na to: „Nieprawda, kocham cię, ty zasrana debilko!” Nazwała mnie egocentrycznym draniem, a ja powiedziałem, że jest biadolącą cierpiętniczką. Zrezygnowałem z płaszczenia się przed nią, bo do niczego to nie prowadziło, i pomyślałem, że przejdę do ofensywy.

— Słuchaj, wywaliłaś mnie, więc to ty jesteś mi winna przeprosiny.



— Ja jestem ci winna przeprosiny? — spytała z niedowierzaniem.

— No. — Nie wiedziałem, w którą stronę to zmierza, ale brnąłem dalej.

— Ja jestem ci winna przeprosiny? Naprawdę chcesz wiedzieć, co jestem ci winna?

— No, wal.

Na ten sygnał z całej siły uderzyła mnie w pysk. Padłem jak ścięte drzewo, tłukąc tyłem głowy w metalowe zbiorniki z gazem, który miał uśmierzać ból, ale w moim przypadku jego działanie było dokładnie odwrotne. Potem Catherine zaczęła płakać i okładać mnie plastikową kaczką. Zwinąłem się w kulkę na podłodze, a potem Catherine złapał kolejny skurcz i Judith nacisnęła guzik wzywający pomoc.

Kiedy przychodziło na świat moje pierwsze i drugie dziecko, czułem się jakoś dziwnie odsunięty psychicznie od tego wszystkiego. Przy narodzinach trzeciego dziecka zostałem fizycznie usunięty przez dwóch osiłkowatych szpitalnych ochroniarzy. Bezradnie kręciłem się koło szpitala przez jakąś godzinę, patrząc na szczęśliwych gości oddziału położniczego, którzy przychodzili z kwiatami i pluszakami. Był jeden promyczek nadziei, który trzymał mnie pod szpitalem. Catherine powtarzała: „Kocham cię”, kiedy waliła mnie w głowę kaczką. Sądziłem, że mnie nienawidzi. Jednak kiedy ochroniarze chwycili mnie z tyłu za włosy, zgięli wół i wyprowadzili ze szpitala, o mało co nie złamawszy mi ręki, spłynęła na mnie euforyczna błogość, jakby moje stopy oderwały się od ziemi. Zresztą oderwały się, kiedy dwaj goryle rzucili mnie na chodnik.

Po jakimś czasie zbliżyłem się do grupy odwiedzających i nakłoniłem ich, aby przekazali wiadomość do sali numer osiem na oddziale położniczym. Kilka słów nagryzmołonych na odwrocie kartonika znalezionego w budce telefonicznej. Tak bardzo tryskali życzliwością do świata, że nie miałem większych problemów z namówieniem ich do wyświadczenia mi tej przysługi, aczkolwiek przeżyli chwilę wahania, kiedy odwrócili kartonik

i zobaczyli zdjęcie prostytutki z dużymi piersiami na wierzchu i podpisem: „Ty jesteś maso, ona jest sado, czy istnieje lepsze połączenie?” Nie udało mi się znaleźć żadnego innego kawałka papieru.

— To jest taki nasz prywatny żart — wyjąkałem. — Żona wszystkim rządzi w domu.

Zawiadomiłem Catherine, że będę niedaleko i byłbym wdzięczny za telefon, jak dziecko się urodzi. Catherine nie miała szans rozpoznać numeru, gdyż był to numer budki koło Westminster Bridge. Potem spędziłem cały dzień, siedząc na ławce obok wybranego przeze mnie publicznego telefonu. Od czasu do czasu ktoś zbliżał się do budki, zauważał dużą nalepkę: „Nieczynna” i wymienialiśmy spojrzenia pod tytułem: „Co się porobiło z tym krajem!”

Co kwadrans rozbrzmiewał Big Ben, żeby mi przypomnieć, jak powoli mija dzień. Tak się jakoś złożyło, że obserwowałem upływ minut, siedząc naprzeciwko największego zegara na świecie. Koło diabelskie London Eye obracało się powoli, poziom rzeki najpierw się podniósł, a potem zaczął opadać. Zabrałem się do jedzenia lunchu. Zanim usiadłem, podszedłem do oszołomionej pary, która wyszła na szpitalny parking z noworodkiem.

— Gratulacje — powiedziałem.

— Dziękujemy — odparli oboje z dumnymi i zaskoczonymi minami, gdy ojciec pomagał matce i dziecku usadowić się na tylnym siedzeniu.

— Hm, mogę o coś zapytać? — zwróciłem się do ojca. — Zjadła kanapki?

— Słucham?

— Czy zjadła kanapki, które pan dla niej zrobił, kiedy zaczęły się skurcze.

— Nie. Ciekawe, że pan pyta, bo nawet ich nie tknęła.

— Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybym je dal bezdomnym? Prowadzimy tutaj taki program.

— Oczywiście, że nie. Wspaniały pomysł.

Dał mi kanapki, napoje gazowane, a nawet tabliczkę czekola-

dy. Chociaż kobieta dopiero co urodziła i sprawiała wrażenie całkowicie skupionej na maleństwie, z tyłu samochodu dobiegł stanowczy głos:

— Czekolady nie dawaj.

Podczas długiego czuwania koło budki telefonicznej przeszedłem przez kilka faz. Z początku byłem zadowolony, że wykazałem się takim zmysłem organizacyjnym w walce z przeciwnościami losu. Miałem miejsce siedzące z widokiem na Tamizę, z lunchem w torebce po lewej stronie i prywatnym publicznym telefonem po prawej. Pozostawało czekać. Mijała jednak godzina za godziną i chłód zaczął nadgryzać moje morale. Zacząłem się niepokoić. Najpierw się martwiłem, że Catherine nie zadzwoni, że podarła kartonik i będę tu sterczał jeszcze długo po jej wyjściu ze szpitala. Potem zacząłem się martwić, że telefon naprawdę jest zepsuty, że przykleiłem nalepkę, nie sprawdziwszy, czy to jest rzeczywiście kłamstwo. Wszedłem do budki i wystukałem 150.

— Halo, obsługa klienta, Janice przy aparacie, w czym mogę pomóc?

— Dziękuję, tylko tyle chciałem wiedzieć.

Potem ogarnęła mnie obawa, że przez te dziesięć sekund, które zajęła mi ta rozmowa, Catherine próbowała się dodzwonić, usłyszała zajęty sygnał i się zniechęciła. Czy powinienem spróbować wyłudzić od jakiegoś przechodnia dziesięć pensów i zadzwonić na oddział położniczy? Ale Catherine mogłaby wybrać dokładnie ten sam moment. Lęki te wirowały mi w głowie, dopóki ich stamtąd nie przegnałem. Zostały mi tylko prawdziwe, realne zmartwienia. Skąd sobie ubzdurałem, że ona zechce do mnie zadzwonić? A zresztą co bym wtedy zrobił? Wrócił na moją ławkę na Clapham Common? Poszedł spać do garażu pani Conroy? Bezdomni bezrobotni mają więcej problemów niż większość ludzi, ale najgorsze jest to, że nie mają nic do roboty oprócz zastanawiania się nad tymi problemami. Kiedy generał Custer tkwił po uszy w problemach, to przynajmniej miał się czym zająć.

Zapadał zmierzch. Tysiące ludzi, którzy przed południem

przeszli obok mnie w jedną stronę, teraz szli w odwrotnym kierunku. Światła na statkach rzecznych znikwały pod Westminster Bridge, a reflektory samochodów na moście znieruchomiały. Razem z ciemnościami przyszedł chłód i wzmożła się potrzeba oddania moczu. Miałem wcześniej nadzieję, że tej ostatniej się pozbędę, jeśli ją zignoruję, ale teraz stała się moją nadrzędną i zasadniczą troską. Chodziłem tam i z powrotem koło ławki, zakładałem nogę na nogę, podskakiwałem, ale nie mogłem już dłużej wytrzymać. Musiałem pozostać w pobliżu budki, lecz rozpaczliwie musiałem się też załatwić. A więc to dlatego w budkach telefonicznych zawsze cuchnie moczem. Wreszcie wpadłem na pewien pomysł. Ukradkiem podniosłem pustą puszkę po piwie i postanowiłem rozprawić się z moim problemem w budce. Wtedy wydawało mi się to cywilizowanym rozwiązaniem, ale nigdy przedtem nie zmierzyłem całkowitej pojemności swojego pęcherza. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że czterokrotnie przekracza ona pojemność półlitrowej puszkę po piwie. Puszka napełniła się po mniej więcej dwóch sekundach, kiedy to kaskada zdawała się niepowstrzymana. Nie mogłem znieść myśli, że zostałem doprowadzony do takiego upadku, więc ścisnąłem za koniec członka i z bólem zakręciłem kurek. Potem niezgrabnie otworzyłem drzwi budki nogą i tak się powyginałem, żeby móc wylać zawartość puszkę na błotniste poletko trawy obok, a drugą ręką wciąż ścisnąłem mój biedny, obolały członek, napełniały do granic możliwości, jak zatkana rura pożarowa w kreskówce *Tom i Jerry*. W tym momencie zadzwonił telefon. Jednocześnie szarpnąłem się i spanikowałem.

— Halo? — powiedziałem do słuchawki, podczas gdy mocz zalewał mi spodnie, jakby pękła tama. — O nie! — Potem zdałem sobie sprawę, że upuściłem puszkę i leje mi się z niej na buty. — A niech to chuj strzeli!

— To ja — powiedziała Catherine. — Myślałam, że chciałeś, żebym zadzwoniła.

— Tak, tak, chciałem. Przepraszam, ale właśnie upuściłem puszkę z sikami.

— Co?

— Z piwem. Kupiłem jakieś paskudne piwo, które smakuje jak siki. — Próbowałem mówić normalnym tonem, gdy mocz pryskał mi niekontrolowanie po spodniach. — Więc, yyy, co porabiasz?

— Rodziłam dziecko—odparła rzeczowo po chwili milczenia.

— Tak, tak, faktycznie. —Jakiś mężczyzna przechodził obok budki i zajrzał do środka przez szybę, kiedy ja rozpaczliwie usiłowałem ukryć fakt, że używam budki jako publicznego szaletu. — Więc, yyy, co porabiasz?

— Przed chwilą mnie o to pytałeś.

— A, tak, przepraszam. A ty powiedziałaś, że rodziłaś dziecko. Widzisz, słuchałem cię.

Parująca Niagara wewnątrz budki nareszcie się zatrzymała i nie wypuszczając z dłoni słuchawki, drugą ręką zapiąłem rozporek.

— Już urodziłam — powiedziała w końcu.

Miała dziwny głos. Oczywiście zmęczony, ale także chłodny i daleki, co mnie trochę wystraszyło.

— I dziecko w porządku? — spytałem nerwowo. — Znaczy, zdrowe i w ogóle?

— Tak, zupełnie zdrowe i piękne. Trzy cztery. Urodziło się o wpół do drugiej. Nawiasem mówiąc, to chłopczyk, gdybyś miał zamiar spytać.

— Chłopczyk! Fantastycznie! A z tobą wszystko dobrze?

— Tak. Wyszedł naprawdę łatwo.

— Ach, jakie cuda potrafi sprawić śpiew wielorybów — zażartowałem, ale Catherine nie było do śmiechu.

— Posłuchaj, lepiej będzie, jak przyjdiesz się z nami zobaczyć. Przekonałam ich, żeby cię wpuścili. Położyli mnie na szóstym piętrze.

— Świetnie, dziękuję. Przyjdę tak szybko, jak będę mógł — powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.

Mogłem dodać: „Muszę tylko splukać cały ten mocz ze spodni”, ale chwila nie wydawała mi się odpowiednia. Podniosłem nie całkiem jeszcze opróżnioną puszkę i wrzuciłem do pobliskiego kosza na śmieci. Kątem oka zauważyłem obszcymura, który zobaczył,

że z puszkii coś się wylewa. Kiedy pogałem w stronę szpitala, on ciężkim krokiem przydreptał do kosza, ciesząc się na pierwszy łyk.

— Dobry wieczór — powiedziałem radośnie do portiera, który wszedł do szpitalnej toalety.

Uznałem, że jeśli będę się zachowywał tak, jakby było najnormalniejszą rzeczą w świecie, iż ktoś stoi w samych majtkach i trzyma ociekające wodą spodnie pod elektryczną suszarką do rąk, to zdołam go przekonać, że istotnie jest to najnormalniejsza rzecz w świecie. Nie przekonałem go.

— Wylałem sobie kawę na spodnie i musiałem je wypłukać — powiedziałem, dając mu możliwość uśmiechnięcia się z wyrozumieniem. Nie skorzystał z niej.

Niedługo potem znów byłem ubrany. Umyłem szczeciniastą twarz i przyplaszczyłem rzednące włosy. Wyglądałem jak starzec, ale miałem stremowaną minę chłopaka, który idzie na pierwszą w życiu randkę. Przy otwieraniu drzwi zauważyłem, że drży mi ręka. Uniesienie z powodu narodzin dziecka dźwignęło moje osobiste lęki o jeden poziom wyżej. Jedno nowe życie już się tego dnia zaczęło, a w gestii Catherine pozostawało, czy również moje życie zacznie się na nowo. Miałem poczucie, że to moja ostatnia szansa. Powiedziałem jej, że będę inny, że się zmienię. Jeśli nie zechce do mnie wrócić po urodzeniu się naszego trzeciego dziecka, to nigdy nie zechce. Nacisnąłem guzik windy, jakby wzywano mnie na odczytanie wyroku. Powinienem czuć się podekscytowany, lecz byłem stremowany. Powiedziała, że mnie kocha, powtarzałem sobie w kółko, ale wyrznęła mnie w gębę. Sygnały te wydawały się sprzeczne. Jeśli miała zamiar do mnie wrócić, to dlaczego była taka oziębła przez telefon?

Drzwi windy otworzyły się i wyszła z nich radosna młoda para z noworodkiem. Chyba pierwszym dzieckiem, sądząc po zdenerwowaniu, z jakim zabierali je do domu. Zdążyłem zapomnieć, jakie maciupeńkie są noworodki, do jakiego stopnia przypominają coś z filmu przyrodniczego.

— Jakie śliczne — powiedziałem.

— Wiem — odparła dumna matka, podciągając bawełniany niebieski czepek, który zasłaniał dziecku prawie całą buzię.

Narodziny dziecka to jedno z nielicznych wydarzeń, które potrafią skłonić Anglików do rozmowy z zupełnie obcymi ludźmi. Noworodki, szczenięta i wspólne znalezienie się w poważnej katastrofie kolejowej.

Winda przyjechała na szóste piętro. Zadzwoiłem i zostałem wpuszczony na oddział. Ciągnął się przede mną lśniący czystością korytarz. Po prawej zobaczyłem pierwszą salę, w której na sześciu łóżkach leżało sześć kobiet. Catherine wśród nich nie było. Wszystkie matki miały na sobie szlafroki albo nocne koszule, były jednak za bardzo skupione na zawiniątkach w kołyskach z pleksiglasu, żeby się przejmować obcym mężczyzną, który przechodził korytarzem i oglądał je wszystkie po kolei. W następnej sali kolejna gromadka świeżo upieczonych mamusiek, wszystkie tak niepodobne do Catherine, że utwierdziły mnie w przekonaniu, iż nikim innym nie mógłbym się zainteresować. Następny pokój znajdował się koło sali telewizyjnej i przez otwarte drzwi słychać było zniekształcone krzyki aktorów.

— Cześć, Michael — dobiegł głos Catherine zza moich pleców.

Pomiędzy zasłonami otulającymi pierwsze łóżko była niewielka szczelina. Rozchyliłem zasłony i zobaczyłem Catherine, która siedziała na łóżku w moim starym T-shircie z Radiohead. Nie wyglądała na zadowoloną z mojego widoku. Powiem więcej, sprawiała nawet wrażenie trochę przestraszonej. Pochyliłem się, żeby ją pocałować w policzek, i nie stawiała oporu.

— Gratulacje — powiedziałem. Nie zareagowała, tylko patrzyła na mnie tępym wzrokiem. — Yyy, no to gdzie jest mój chłopczyk? — wyjąkałem, próbując zachowywać się jak normalny, rozradowany ojciec, co było tym bardziej surrealistyczne, że z sali telewizyjnej dobiegała jazgotliwa piosenka tytułowa sitcomu.

Potem spojrzałem na maleńkie dzieciątko śpiące w kołysce, zawinięte w szpitalny kocik, z jasnoniebieską bransoletą identyfikacyjną na nadgarstku. Był taką idealną miniaturą człowieka,

z każdym detałem wykonanym ręcznie z taką pieczołowitością, że byłem skłonny uwierzyć w Boga.

— Och, jaki on jest śliczny! — powiedziałem. — Jaki on jest śliczny!

Rzęsy maleństwa były po mistrzowsku wyondulowane i rozmieszczone w mikroskopijnych, lecz identycznych odległościach, a nozdrza miały kształt idealnych kół. A potem usłyszałem głos Catherine:

— To nie jest twoje dziecko, Michael.

Z początku tego nie zarejestrowałem. Potem dotarło do mnie znaczenie jej słów i podniosłem na nią osłupiały wzrok. W jej oczach wzbierały łzy.

— To nie jest twoje dziecko — powtórzyła. — Nigdy nie było cię w domu. — Zaczęła niepowstrzymanie szlochać. — Nigdy nie było cię w domu.

Patrzyłem na nią, próbując się w tym doszukać jakiejś logiki.

— Ale skąd wiesz? Znaczy, z kim jeszcze...

— Klaus.

— Klaus?!

— Czułam się samotna, wypiliśmy razem butelkę wina i... no, nie wiem.

— Co? Kurde, a potem pewnie jakoś tak wyszło!

— Nie krzycz.

— Nie krzyczę! — krzyknąłem. — Odeszłaś ode mnie dlatego, że cię oszukiwałem, a ty przez ten czas nosiłaś w sobie nie moje dziecko.

Jej szlochania zrobiły się głośniejsze. Nieestetyczne, zwierzęce chrząki wykrzywiały jej twarz.

— Ale skąd wiesz, że to jego? Kochaliśmy się bez zabezpieczeń, pamiętasz?

— Zrobiłam to, bo wiedziałam, że jestem w ciąży. Żebyś nigdy nie musiał się dowiedzieć. Wtedy jeszcze uważałam cię za porządnego ojca, ale teraz jest na to za późno.

— Mimo wszystko może być mój — upierałem się bez nadziei. Zajrzałem do kołyski, próbując wypatrzeć jakieś cechy chara-



kterystyczne łączące mnie z tym dzieckiem. Bez powodzenia. Gdyby rozwiązanie zagadki zasadzało się na podobieństwie, to należałoby uznać, że Catherine przespała się z sir Winstonem Churchillem.

— Z dat wynika, że to jego. Po prostu wiem. Możesz zrobić test DNA, jeśli nie jesteś przekonany, ale na razie musisz uwierzyć mi na słowo. To nie jest twoje dziecko.

Utkwiła we mnie spójrzanie. Miała butną minę, sprawiała wrażenie, jakby była dumna z tego, że to ona wbiła ostatni gwóźdź do trumny naszego małżeństwa.

— Klaus wie? Znaczy, powiedziałaś mu, zanim wrócił do Monachium?

— Nie. To dziecko nie ma ojca.

Znowu się rozszlochała i coś we mnie chciało powiedzieć: „Już dobrze, przestań płakać, nic straszego się nie stało”. Ale oczywiście stało się coś bardzo straszego.

Nie wiedziałem, co robić. Wydawało się, że nie ma sensu, abym tam był. Odwiedzałem kobietę, która już wcześniej powiedziała, że nie chce już dłużej być moją żoną, a teraz ujawniła, że ma dziecko z innym mężczyzną. Wszedłem za zasłonę i podreptałem korytarzem do windy. Mijająca mnie pielęgniarka obdarzyła mnie anielskim uśmiechem, co należy do zwyczaju na oddziale położniczym, ja jednak chyba nie odwzajemniłem tego pozdrowienia. Nie pamiętam momentu przechodzenia przez drzwi oddziału, ale musiałem to zrobić.

Przez tyle miesięcy patrzyłem, jak rośnie jej buła, podawałem jej chusteczki higieniczne, kiedy zwymiotowała rano, wpatrywałem się w zdjęcie ultrasonograficzne płodu, chodziłem z nią do szkoły rodzenia, czułem, jak dziecko kopie, z niecierpliwością czekałem na wiadomość, że się urodziło. Cała ta emocjonalna inwestycja została w jednej chwili zniweczona. Kiedy Catherine mnie zostawiła, marzyłem sobie, że dziecko pomoże nam zejść się z powrotem. Teraz definitywnie nas rozdzieliło.

Wezwałem windę, niezdecydowany, co zrobię po wyjściu ze szpitala, wciąż oszołomiony. W głowie wirowały mi setki błędzących, gniewnych myśli. Catherine uważała, że wyrządziłem jej

wielką krzywdę. Zachowywała się jak strona poszkodowana, jak biedna ofiara mojego cynicznego oszustwa, choć przez cały ten czas rósł w niej świadek najgorszej możliwej zdrady. Rozgoryczony i skołowany nie potrafiłem nie mieć jej za złe tego, że przespała się z naszym sąsiadem, mimo że jakoś nigdy nie miała ochoty współżyć ze mną. Nie było tak, że kochaliśmy się trzy razy dziennie, a potem ja nagle zniknąłem, zostawiając ją niewyżytą seksualnie. Odkąd pojawiły się dzieci, stale była za bardzo zmęczona na seks. Powiedziała mi, że po całym dniu bycia obłapianą przez dzieci kobieta nie ma ochoty, żeby obłapiał ją mąż, który wrócił do domu. Nie była jednak za bardzo zmęczona na seks z mieszkającym obok muskularnym młodym studentem. Nic dziwnego, że zawsze był dla mnie taki miły. Odetkał mi zlew, wymieniał kolanka, naprawił kran. Nie odmawiał żadnej prośbie. Zapłodnić ci żonę? Nie ma sprawy, Mikey. Wpadnę, jak cię nie będzie.

Winda nie sprawiała wrażenia, żeby miała zamiar przyjechać, więc naciskałem guzik raz po raz, chociaż wiedziałem, że to nigdy nic nie daje. Czy pomyślała o Millie i Alfiem, kiedy zdradzała męża? Czy pomyślała o tym, co będzie z nimi, kiedy ja się dowiem ojej upojnej nocy? A może to nie była jedna noc, może to było wiele nocy, może ten romans trwał od lat. Może Klaus nie wrócił do Niemiec, tylko zamieszkał gdzieś w Londynie i Catherine sprowadzi się do niego z całą trójką dzieci. Tak, kiedy się dowiedziała o moim podwójnym życiu, miała pretekst, na który czekała. Rozpatrywałem tę teorię na wszystkie strony, po czym uznałem, że ma ona jedną drobną wadę. Osobiście zawiozłem Klause na lotnisko i przysłał mi z Monachium kartkę z podziękowaniami. Taki kamuflaż wydawał się przesadnie rozbudowany. Zresztą Catherine dobrowolnie powiedziała mi, co się stało. Gdyby prawda była jeszcze okrutniejsza, to by nie powstrzymało Catherine przed wyjawieniem mi jej.

Przespała się raz z sąsiadem. Czy powinienem jej to wybaczyć? Czy to jest gorsze niż kłamstwo, które przez dłuższy czas ukrywałem? Czy nie zostawiałem jej dzień w dzień samej? Czy sam prawie jej fizycznie nie zdradziłem? Mój żal rozwiązał się równie szybko, jak we mnie powstał. Tak jakby winda specjalnie

kazała mi czekać, żebym miał czas się zastanowić, od czego odchodzę. Wyobraziłem sobie, jak Catherine, ja i dzieci w pidżamkach siedzimy na sofie i oglądamy razem wideo, pomyślałem o tym, z jaką ufnością patrzyli na mnie Millie i Alfie, i zacząłem płakać. Czym dzieci zasłużyły sobie na tę katastrofę? Jak do tego doszło? „Och, Millie, Alfie, tak was przepraszam”. Wszystko legło w gruzach i łzy trysnęły jak z pękniętej rury. Całe napięcie, które we mnie wzbierało od rozstania z Catherine, nagle przedarło się na powierzchnię. Odwróciłem twarz do tablicy ogłoszeń i usiłowałem pozbierać się do kupy. Patrzyłem na zdjęcia ze spotkania wszystkich dzieci, które dwa lata wcześniej leżały na intensywnej terapii — zdjęcia maleńkich wcześniaków kurczowo chwytających się życia w inkubatorach obok fotografii zdrowych, kwitnących parolatków, na które wyrosły, i znowu się rozczuliłem. Szlochałem rozpaczliwie, odkręciłem kran do końca, żeby wszystko się ze mnie wylało. Drzwi obu wind otworzyły się, a potem zamknęły. Kiedy wreszcie się uspokoiłem, wróciłem pod windy i ponownie nacisnąłem guzik.

Drzwi się rozsunęły i moim oczom ukazał się wychudzony starzec w luźnej i brudnej pidżamie. Sprawiał wrażenie tak bliskiego śmierci, że prawie oczekiwałem, iż pani z kosą wśliznie się przede mną do windy i przeprosi za spóźnienie. Dygoczące ciało starca podtrzymywał w pozycji pionowej chodzik, a plamista skóra była naciągnięta do granic koło ust i na kościach policzkowych.

— Wsiada pan czy nie? — spytał.

Za kilka lat tak będzie wyglądał mój ojciec, samotny i stojący nad grobem. Jeden głupi romans po trzydziestce, a potem przez resztę życia poszukiwanie miłości, którą kiedyś dawała mu moja matka.

— Wsiada pan czy nie? — powtórzył i dodał: — Nie mogę tu sterczeć cały dzień — chociaż nie sądziłem, żeby miał jakieś pilniejsze sprawy.

— Przepraszam! — powiedziałem, po czym odwróciłem się i zostawiłem go.

\*

Podszedłem do zielonych zasłon okalających łóżko Catherine.

— A właśnie że ma — powiedziałem, gdy wszedłem do środka. Podniosła na mnie zaskoczone, wciąż czerwone oczy.

— Co ma?

— Powiedziałaś, że ten chłopczyk nie ma ojca. A ja ci mówię, że ma. Ja mogę być jego ojcem. — Uniosła brwi, co uznałem za zachętę, żebym kontynuował. — Jest bratem Millie i Alfiego, więc czemu nie mógłbym być jego ojcem? Jest dzieckiem kobiety, którą kocham. Nie było mnie przy swoich dzieciach, więc będę przy nie swoim. Obiecuję, Catherine. Będę przy tobie i w łatwych, i w ciężkich chwilach. Wiem, jak czuje się dziecko porzucone przez ojca. Pozwól mi być tatą tego chłopczyka. Pozwól mi pokazać, że potrafię być dobrym ojcem dla Alfiego i Millie.

Szpitalny salowy odciągnął zasłonę, aby zaproponować tacę zjedzeniem.

— Przepraszam, mógłby pan nam dać jeszcze minutkę? — powiedziałem do niego i zaciągnąłem zasłony. — Catherine, będę przy tobie, kiedy będziesz znudzona, wykończona i będziesz chciała sobie do kogoś pojechać, do kogoś, kto okaże ci współczucie, zamiast stale proponować rozwiązania. Będę przy tobie, kiedy będziesz się o niego martwiła, i nawet jeśli uznam, że nie ma się czym trapić, posiedzę, aż omówimy sprawę. Będę się z nim bawił godzinami, udając, że naprawdę sprawia mi przyjemność przestawianie po dywanie plastikowych żołnierzyków. Będę z tobą spędzał bezczynne godziny, bo wcześniej nie rozumiałem, że o to w tym wszystkim chodzi — spędzanie czasu z rodziną jest celem samym w sobie i trzeba wkalkulować pewną ilość wspólnie marnowanego czasu. Teraz, kiedy rozumiem, co powinienem robić, wiem, że potrafię to robić.

Catherine patrzyła na mnie bez słowa.

— Skończyliście państwo? — spytał salowy zza zasłony.

— Tak, dziękuję — odparłem, biorąc od niego tacę.

— To jest wieprzowina w sosie curry.

— Wieprzowina w sosie curry. Cudownie. Ulubiona potrawa mojej żony.

Wyraz twarzy Catherine nie uległ zmianie. Stałem i czekałem na jakąś wskazówkę co do stanu jej uczuć.

— Nie chcę — powiedziała w końcu.

Nagle poczułem się kompletnie pusty w środku.

— Ale, Catherine, musisz nam dać jeszcze jedną szansę.

— Nie chcę wieprzowiny w sosie curry. Możesz sprawdzić, czy mają jakąś sałatkę albo coś podobnego?

— Za chwilę. Najpierw musimy rozstrzygnąć tę sprawę. Zamierzasz wychowywać tego chłopczyka sama czy zrobimy to razem?

— Potrafisz mi wybaczyć? Tak po prostu? — spytała powoli.

— No, chciałem ci zaproponować handel wymienny. Czy w ciągu ostatnich paru lat zdarzyło mi się zrobić coś, byś chciała mi wybaczyć, choćby tylko częściowo?

Po raz pierwszy od rozstania zobaczyłem, że się uśmiecha. Był to tylko opuchnięty półuśmiech, ale jego powrót na jej twarz był jak pierwsze cichutkie piśnięcie kardiogramu: pojawiło się życie tam, gdzie sądziłem, że już go nie ma.

— Ale zawsze będziesz wiedział, że to nie jest twoje dziecko.

— I co z tego? Masz rację, nigdy nie było mnie w domu. A Klaus nie będzie się nim opiekował, więc dlaczego miałabyś znowu zostać sama?

Wszystko rysowało mi się teraz bardzo wyraźnie, mówiłem z misjonarskim zapałem.

— Jesteś naprawdę gotowy wychować cudze dziecko jako swoje?

— Nigdy się nie dowie, że jest w połowie Niemcem. Jak ci się podoba Karl-Heinz Adams? Brzmi nieźle, co?

Znowu się uśmiechnęła, tym razem szerzej.

— Musisz zrozumieć, Michael, że jeśli spróbujemy jeszcze raz, to nigdy nie będzie tak samo jak przedtem. Już nigdy nie będę miała do ciebie takiego zaufania jak przedtem. Coś się na zawsze popsuło. — Skinąłem niespokojnie głową, zadając sobie pytanie, jak spadnie moneta.

— Byłeś samolubny, niedojrzały, nieuczciwy, ślepy, gruboskórny i wygodnicki.

Próbowałem znaleźć na tej liście przymiotnik, który został

wobec mnie użyty niesprawiedliwie, lecz nie udało mi się. Skąd ona ma w zanadrzu tyle słów? Dlaczego zawsze musieliśmy walczyć na słowa? W tej konkurencji nie miałem żadnych szans. Gdybyśmy mogli walczyć na nuty, akordy i linie melodyczne, być może miałbym większe szanse.

— Ale jeśli jesteś gotów mi wybaczyć — podjęła — to może jest na czym budować. Czy możesz mi przyrzec, że od tej pory zawsze będziesz wobec mnie uczciwy, że nigdy nie uciekniesz w jakąś głupią soliptyczną fantazję?

— Ja... nie wiem — odparłem po chwili milczenia. Zrobiła przygnębioną minę. To była zła odpowiedź.

— Jeśli nie jesteś pewien, to nie widzę przed nami wspólnej przyszłości.

— Nie, nie — wyjąkałem. — Chodzi o to, że nie wiem, co to znaczy „soliptyczny”. Chciałem udąć, że wiem i powiedzieć, że przyrzekam, ale przecież mam być wobec ciebie uczciwy.

— To znaczy, że musisz zdać sobie sprawę, że nie jesteś jedyną osobą w całym wszechświecie, do jasnej cholery.

— No, zdaję sobie z tego sprawę. Po prostu nie chciałem przyrzekać, że nie będę soliptyczny, bo zabrzmiało mi to jak jakaś choroba jelit.

— Musisz zdać sobie sprawę, że odkąd masz dzieci, stają się one dla ciebie ważniejsze niż ty sam.

— Są ważniejsze, Catherine, daję ci słowo. Cała trójka. Ale ty jesteś jeszcze ważniejsza. Kocham cię. Zrozumiałem to wyraźniej niż kiedykolwiek, kiedy cię straciłem. Fakt, że wylądowałaś w łóżku z Klausem, tylko potwierdza, jaka musiałaś się czuć porzucona. Zacznijmy od nowa. Proszę cię, Catherine, przyjmij mnie z powrotem.

— Tylko na próbę — odparła po chwili milczenia.

A potem wyciągnęła do mnie ramiona i ścisnęła ją długo i mocno, jakbym właśnie został uratowany przed utonięciem.

— Dziękuję, że mi wybaczyłeś — powiedziała, tuląc się do mnie. — Musiałam wiedzieć, czy mi wybaczysz. Jeśli jesteś naprawdę gotowy wychowywać syna Klausa jak swojego, to musisz być wart tego, żeby dać ci jeszcze jedną szansę.

Catherine trzymała mnie mocno za tył głowy i krzywiłem się z bólu, nie chcąc wspominać o siniaku, którego sobie nabiłem, kiedy upadłem na cylindry z tlenem po jej ciosie. Ale wszystko było dobrze. Znowu byliśmy razem. Byliśmy rodziną.

— Ja też ci wybaczam, chociaż dalej masz poważną wadę, do której nigdy się całkiem nie przyzwyczaję.

— Co masz na myśli? — spytałem wystraszony, odsuwając się od niej. Spojrzała mi prosto w oczy.

— Michael, jeśli naprawdę wierzysz w te pierdoły o przespaniu się z Klausem i o jego dziecku, to jesteś jeszcze większym frajerem, niż sądziłam.

Z sali telewizyjnej dobiegła nas potężna eksplozja nagranych wcześniej śmiechu.

## **Rozdział 12**

### **NAJLEPSZE DLA MĘŻCZYZNY**

— Niniejszym ogłaszam was mężem i żoną — powiedział pełen zapału młody wikary i wśród zgromadzonych wybuchł spontaniczny aplauz.

Starsze kobiety w dziwacznych kapeluszach wymieniały uśmiechy aprobaty i nawet wikary dołączył do tych hucznych gratulacji, aby pokazać, że kościół nie musi być miejscem wyłącznie namaszczonego i poważnym. Klaskałem najgłośniej jak potrafiłem w sytuacji, gdy miałem na ręku dziewięciomiesięczne dziecko. Hałas obudził chłopczyka, który zaczął wierzcąc nogami, wymachiwać rękami i chichotać. Catherine podniosła Alfiego, żeby popatrzeć, jak młoda para całuje się namiętniej, niż zalecały konwenanse. Wikary powiedział: „Może pan teraz pocałować pannę młodą”, nie zaś: „Może pan teraz wsadzić pannie młodej jęzor do gardła i ścisnąć ją za prawy cycek”.

Zaproszenie na wesele było dla mnie sporym szokiem. Wiado-

mość na komórcie od kogoś, z kim od wielu miesięcy nie miałem kontaktu. Jim żenił się z Kate. Człowiek, z którym mieszkałem, miał poślubić dziewczynę, z którą prawie się przespałem. Może należało to wyjaśnić odźwiernym, którzy spytali: „Od panny młodej czy pana młodego?”, i pozwolić im zdecydować. Kiedy się już oswoiłem z myślą o tym związku, bardzo mnie to ucieszyło. Byli doskonale dobrani: ona zarabiała krocie i ciężko pracowała, a on wydawał krocie i w ogóle nie pracował. W białych ślubach jest coś tak rozpaczliwie romantycznego, że nie sposób oprzeć się myśli, iż młoda para będzie ze sobą do końca życia szczęśliwa. Nawet kiedy Henryk VIII żenił się szósty raz, zgromadzeni w kościele ludzie na pewno sobie pomyśleli: „Ach, nareszcie prawdziwa miłość, a on szczerze obiecał, że tym razem nie utnie jej głowy”. Jednak patrząc na Jima i Kate idących w stronę wyjścia, nie mogłem oprzeć się myśli, że nie mają pojęcia, w co się pakują.

W ciągu minionych dziewięciu miesięcy moje małżeństwo powoli wróciło do życia. Chłopcy daliśmy na imię Henry — z jakiegoś powodu wszystkie nasze dzieci miały imiona, które kojarzyły się z sierotami z jakiejś wiktoriańskiej sztuki kostiumowej. Henry był niebieskookim blondynem. Ani Catherine, ani ja nie byliśmy w najmniejszym stopniu blondynami, ale uznałem, że byłoby niewskazane jeszcze raz podnosić kwestię ojcostwa. Wydarzenia z dnia narodzin Henry'ego rozpląły się w dosyć surrealistyczną mgiełkę. Radość z faktu, że jest to jednak mój syn, zmieszała się z tłumioną wściekłością, że Catherine poddała mnie takim emocjonalnym torturom. Przez krótką chwilę byłem nawet w głębi duszy rozczarowany — że nie okazała się równie dwulicowa jak ja, że nie udało mi się doprowadzić do remisu i znowu stałem się jedynym szwarczakiem w tej sztuce. Przez całe lata patrzyłem, jak Catherine robi ludzi w trąbę i rozładowuje pozornie beznadziejne sytuacje skandalicznymi kłamstwami, ale nic nie przygotowało mnie na próbę, której poddała mnie w dniu narodzin Henry'ego. Spytałem ją, co by zrobiła, gdybym nie wrócił, nie wybaczył jej i nie wziął na siebie roli ojca dziecka,



które miałem za Klausowe. Powiedziała, że skontaktowałyby się z prawdziwym ojcem Millie i Alfiego i znowu z nim zesła. Śmiałem się długo, na całe gardło i bez najmniejszego przekonania.

Henry wyrósł na pogodne maleństwo, które śmieje się bez widocznego powodu i budzi nas w nocy ze łzami potwornej rozpacz, szybko przechodzącymi w chichot, kiedy zostanie wzięty w ramiona przez matkę i ojca, darzonych przez niego tak wielką miłością. Małe dzieci przeżywają swoje emocje do granic możliwości, ze skrajnym natężeniem, które wraca, dopiero kiedy same mają dzieci. Sprawował się nienagannie przez cały ślub, a hałasy, które z siebie wydawał podczas śpiewania *Być pielgrzymem*, często lepiej trafiały w tonację niż starania stojącego przed nami krewnego pana młodego. Na weselu zasnął w jasnoniebieskim nosidełku, które źle współgrało kolorystycznie z moim wypożyczonym frakiem, prążkowanymi spodniami i cylindrem. Obsłinił mi kołnierz i dla wszystkich obecnych kobiet natychmiast zrobiłem się pociągający i seksowny, a pozostali mężczyźni poczuli się tak, jakby przyszli na wesele zbyt swobodnie odziani, bo nie mają akcesorium w postaci śliniacego się niemowlaka.

Imię Henry zostało uzgodnione dosyć szybko. Ja je zasugerowałem i kiedy wyłuszczyłem Catherine powody, była zachwycona moim wyborem. Zadzwoiłem do ojca. Podniósł słuchawkę i powiedział: „Henry Adams przy telefonie”. Powiadomiłem go, że dzwonię ze szpitala, bo Catherine i ja znowu jesteśmy razem i właśnie urodziła synka, którego chcę ochrzcić po nim. Przez chwilę milczał.

— A, to dobry pomysł, bo powinienem gdzieś mieć plakietki z Henrym Adamsem i mógłbym ci je dać dla niego.

Miałem ochotę wrzasnąć: „Tato, właśnie ci powiedziałem, że damy naszemu synowi imię po tobie. Na razie nie myśl o zasranych plakietkach”.

— Byłoby super — powiedziałem. — Wielkie dzięki.

Catherine i ja mieszkaliśmy przez kilka tygodni u mojego taty, zanim znaleźliśmy coś do wynajęcia. Posprzątała mu spizarkę.

Twierdziła, że kiedy krzyknęła: „Wojna się skończyła!”, kilka paczek jajek w proszku wychynęło zza suszonych śliwek w puszkach, które służyły im za kryjówkę od 1945 roku. Byliśmy wdzięczni tacie, ale po jakimś czasie nie mogliśmy się już doczekać przeprowadzki do wynajętego mieszkania, w którym ogrzewanie i telewizor nie były zawsze włączone na pełny regulator i gdzie nikt nie zachęcał dzieci, żeby wyszły na dwór i bawiły się na drodze krajowej 347. Wiedziałem, że już nigdy nie wezmę kredytu hipotecznego, ale w naszym życiu wiele rzeczy miało ulec zasadniczym zmianom. Oboje musieliśmy się przystosować do nowych warunków. W końcu wynajęliśmy dom z czterema sypialniami w Archway i ja urządziłem sobie studio w maciupkim pokoiku na poddaszu. W pierwszą noc patrzyliśmy na dzieci śpiące w swoich nowych łóżkach i powiedziałem:

— Trójka dzieci mi wystarczy, Catherine. Wiem, że zawsze chciałaś mieć czwórkę, ale uważam, że powinniśmy poprzestać na trójce.

Po chwili milczenia odparła po prostu:

— Okej.

Potem zeszliśmy na dół i przygotowywałem butelkę na noc. Zdałem sobie sprawę, że chociaż nie wyrównuję proszku nożem, Catherine siedzi przy stole kuchennym i przegląda jakieś czasopismo. Nareszcie uznała, że nie musi mnie we wszystkim kontrolować. Raz się posprzeczaaliśmy, kiedy ją zdenerwowało, że robię coś nie tak, i powiedziałem do niej odważnie:

— Nie możesz mieć wszystkiego, Catherine. Nie możesz mieć mężczyzny, który pomaga ci w domu, a jednocześnie żeby wszystko było zrobione po twojemu.

Po skończonym ślubie wyszliśmy z dziećmi z kościoła na słońce. Bez większego przekonania zasugerowałem, że może Millie nie powinna skakać po płytach nagrobnych, jakby to był plac zabaw. Przede mną stali moi dawni współlokatorzy, którzy przez cały ten czas, kiedy mieszkaliśmy razem, nie wiedzieli, że jestem ojcem. Patrzyli na mnie zdumieni i czułem się szalenie dumny, kiedy do nich podchodziłem. Przedstawiłem swoją trójkę

dzieci trójce dzieci, z którymi swego czasu mieszkałem. Millie i Alfie przywitali się uroczym i grzecznym „Dzień dobry”. Udało mi się ukryć zaskoczenie i zachowywać się tak, jakby to było zupełnie normalne. W dniu ślubu wszystko wydawało się idealne. Słońce świeciło, szampan płynął szerokimi strugami i żadna z pozostałych kobiet nie miała takiej samej sukienki jak Catherine. Catherine potwornie się o to martwiła. Tego typu obawy są dla mnie tak bardzo niezrozumiałe, że dowodzi to chyba, do jakiego stopnia płęć męska i żeńska różnią się od siebie. Wszyscy mężczyźni byli we frakach, prążkowanych spodniach i cylindrach, ale nie zalałem się łzami, kiedy zobaczyłem, że jestem ubrany tak samo jak każdy inny weselnik.

Przedstawiłem moją żonę Jimowi, Paulowi i Simonowi. Sądząc po minie Jima, chyba mu zaimponowało, że udało mi się zachować tę małą tajemnicę dla siebie. Był uroczy dla Catherine, prawił jej komplementy i rozśmieszał ją. Jako pan młody automatycznie znajdował się w centrum uwagi, więc trochę mnie zaniepokoiło, że Catherine dodatkowo sprawiała wrażenie zachwyconej nim. Paul był ze swoim chłopakiem, który zachowywał się wobec mnie chłodno, jakbym wciąż stanowił zagrożenie dla ich związku. Jeśli chodzi o samego Paula, to na moje oko uważał, że fakt, iż mam żonę i troje dzieci, dowodził, do czego potrafią się posunąć niektórzy geje w tłumieniu i negowaniu swojej tożsamości seksualnej. Miał w sobie teraz jednak jakiś spokój. Odniosłem wrażenie, że kiedy panna młoda kroїła tort weselny, nie martwił się już o to, kto umyje nóż.

Simon wciąż był sam i nie stracił dziewictwa. Podczas przyjęcia zaczął rozmawiać z rozwiedzioną matką Kate, która wypīła sporo szampana, miała zarezerwowany pokój w hotelu i, cóż, jakoś tak wyszło...

Kate wyglądała pięknie i kiedy do niej podszedłem, żeby przedstawić jej moją żonę, stwierdziłem, że bardzo bym chciał, aby się polubiły. Stała się jednak straszna rzecz: za bardzo przypadły sobie do gustu. Gawędziły godzinami i Catherine zaproponowała, żeby przyszli do nas na kolację w jakiś wolny wieczór,

ja zaś próbowałem nawiązać z nią kontakt wzrokowy, subtelnie kręcąc głową. Problem polegał na tym, że Kate bardzo mi się podobała i nie sądziłem, żeby miała mi się przestać podobać. Nie chciałem, żeby zrobił się ze mnie jeden z tych grubych staruszków, który po suto zakrapianym winem wieczorze z trochę przesadnym zapalem całuje na pożegnanie przyjaciółki żony.

— Wesele jest wspaniałe — powiedziała Catherine. — Cudowna z was para.

— Dziękuję — odparła Kate.

— I nie przejmuj się, Michael wszystko mi powiedział o wieczorze na basenie.

Postanowiłem, że najlepiej będzie niczego nie ukrywać i być absolutnie szczerym.

— Jest bardzo piękna — powiedziała później Catherine — Jestem zdziwiona, że nie uznałeś jej za szczególnie atrakcyjną.

No, prawie absolutnie szczerym.

Po paru godzinach dałem się przekonać do zagrania na pięknym steinwayu, który stał w sali balowej hotelu. Bezceremonialnie podszedłem do wypolerowanych klawiszy i z dzikim zapamiętaniem zagrałem boogie-woogie. Parkiet taneczny zapełnił się i Millie i Alfie, podekscytowani, zatańczyli szalonego jitterbuga. Każdy numer gładko przechodził w następny, weselnicy pohukiwali, klaskali i krzyczeli. Akurat w momencie, kiedy musieli trochę odetchnąć, Millie usiadła mi na kolanach i spytała czy mogłaby zagrać melodię, której ją nauczyłem. Tłum umilkł i czekał. Moją czteroletni aniołek zagrał pierwsze akordy *Lucy in the Sky with Diamonds* tak doskonale, z takim wyczuciem tempa i nastroju, że wszyscy otworzyli szeroko usta, podziwiając ten samorodny talent. Spojrzałem na Catherine i zobaczyłem że zagryza wargę, usiłując powstrzymać łzy. Uśmiechnęła się do mnie z taką miłością i dumą, że miałem ochotę ulecieć do góry pod sufit.

Wrócił zespół i zacząłem walcować z Millie. Potem zarzuciła mi ramiona na szyję i przytuliła się do mnie mocno. Chciałem żeby już na zawsze pozostała w tym wieku, żeby ze mną tańczyła przywarta do mnie, ufała mi i kochała mnie tak bezgranicznie

Nocowaliśmy w luksusowym hotelu, cała piątka w jednym pokoju. Rano zbudziły mnie hałasujące dzieci. Wskoczyły nam do łóżka, włączyliśmy telewizor i leżały między nami pod kołdrą, gdy my podrzemywaliśmy, usiłując nie spać na podłogę. W telewizji leciała reklama Gillette i usłyszałem mężczyznę śpiewającego: „Najlepsze dla mężczyzny”. Roześmiałem się do siebie i pomyślałem: „Dziękuję, już mam”. Powiedziałem Catherine o tym hasle i o tym, że kiedyś uczyniłem je swoją osobistą dewizą. Odparła, że nigdy nie interpretowała tego sformułowania w taki sposób jak ja. Dla niej hasło to nie oznaczało: „najlepsze, co mężczyzna może dla siebie zagarnąć, zdobyć, mieć”, lecz „najlepsze, czym mężczyzna może być, czym może się stać”.

Być może Catherine patrzyła na mnie, ale jednocześnie zerkała na ekran, bo mogła się pojawić reklama, w której występowała. To była inna konsekwencja dnia, w którym urodził się Henry. Fakt, że spektakl odegrany przez Catherine na oddziale położniczym całkowicie mnie przekonał, przypomniał mi, jaką zawsze była świetną aktorką. Namówiłem ją, żeby się skontaktowała ze swoją dawną agentką i zaczęła znowu chodzić na przesłuchania. Wkrótce dostała niewielką rolę w okropnym sitcomie. Musiała zmobilizować cały swój kunszt aktorski, kiedy scenarzysta spytał ją, czy uważa tekst za śmieszny. Zapłacono jej skandaliczne pieniądze, znacznie większe, niż ja kiedykolwiek dostałem.

Kiedy szła do pracy, ja zajmowałem się dziećmi. Nie było jej od rana do późna wieczór, a czasem zdarzało się jej nawet nie wrócić na noc. Przez parę dni z rzędu byłem więc sam z dziećmi, w nocy prawie nie spałem, ale musiałem się nimi opiekować przez cały następny dzień. Musiałem ubierać je, karmić, próbować zapobiec temu, żeby Millie i Alfie obrzucali się mokrymi płatkami kukurydzianymi, gdy ja przewijałem Henry'ego, ubierać się, szczotkując im zęby, odprowadzać Millie do żłobka na dziewiątą, pchając Alfiego i Henry'ego w podwójnym wózku, i próbować cały czas utrzymać w domu zgodną, pełną miłości atmosferę.

Wszyscy oczekiwali ode mnie stwierdzenia, że zajmowanie się przez cały dzień dziećmi jest najwspanialszą i dającą najwięk-

szą satysfakcję rzeczą, jaką w życiu robiłem. Z pewnością była to najcięższa rzecz, jaką w życiu robiłem, ale nic nie wpłynęło na mój pogląd, że małe dzieci są nudne. Teraz jednak zrozumiałem, że posiadanie rodziny i wychowywanie dzieci jest trudne, bo trudne jest wszystko, co warto osiągnąć. Taka jest różnica pomiędzy którymś z moich dżingli i *IX Symfonią* Beethovena.

Nie puścili reklamy z Catherine, która pocieszyła się w ten sposób, że poszła skorzystać z hotelowej sauny, podczas gdy ja bawiłem się z dziećmi w ogrodzie. Potem zasugerowała, żebym chwilę odetchnął, korzystając z hotelowych obiektów sportowych. Pomysł wydał mi się dobry, ale jak długo można grać sam ze sobą w krokieta? Nareszcie doszliśmy w naszym małżeństwie do jakiejś równowagi, oboje zrozumieliśmy, że jedziemy na tym samym wózku, dla naszego wzajemnego dobra i dla dobra dzieci. Przyrzekliśmy sobie, że będziemy wobec siebie szczerzy i że zawsze będziemy działać jak jedna drużyna. W skrytości ducha byłem bardzo zadowolony z siebie, że po wszystkim, co przeszliśmy, było teraz między nami tyle otwartości i zaufania.

Zapłaciłem rachunek hotelowy, kierownik podziękował nam, po czym, jakby ta myśl z opóźnieniem przyszła mu do głowy, zawołał za nami:

— Do zobaczenia wkrótce, pani Adams.

Kiedy schodziliśmy po schodach, spytałem, dlaczego tak powiedział. Catherine zachichotała i do wszystkiego się przyznała. Żadna z jej aktorskich fuch nie wymagała od niej nocowania poza domem. Wszystkie te noce spędziła sama w luksusowych hotelach takich jak ten.

## **SPIS TREŚCI**

Rozdział 1. Najlepsze dla mężczyzny.....	9
Rozdział 2. Żyj na maksa.....	27
Rozdział 3. Zrób sobie przerwę .....	50
Rozdział 4. Bo jestem tego wart.....	72
Rozdział 5. Dobrze jest porozmawiać.....	95
Rozdział 6. Zakazane rozkosze.....	122
Rozdział 7. Znamię mężczyzny .....	149
Rozdział 8. Po prostu to zrób.....	169
Rozdział 9. Dokąd chcesz dzisiaj pójść?.....	188
Rozdział 10. To możesz być ty .....	205
Rozdział 11. To jest to.....	224
Rozdział 12. Najlepsze dla mężczyzny.....	245